

CHIMERA. TOM X (OSTATNI). ZESZYTY 28/30.

REDAKCYA: WIDOK—1

TREŚĆ.

TOM X. ZESZYTY 28/29/30. — XII/MCMVII.

ZESZYTY 28/29.

ZESZYT 30.

Świetna konstelacya duchowych odrodzicieli Polski dzisiejszej straciła jedną z gwiazd najjaśniej gorejących. Wielki twórca uniwersalny, władca w różnych sztuki dziedzinach jednako absolutny, wskrzesiciel mytów praodwiecznych i nowożytny wyzwolony Hamlet-bohater, wizyoner wielkości, świętości, mocy i nieugięcia, wyczuwacz i ewokator—„w grozie i sile“—„prawdy światów innych, wiedzy zaświatów,“ rapsod życia wszechogarniającego, bez granic w czasie i przestrzeni, harfiarz, „piewca Boży“ tryumfującej ducha wolnego potęgi,

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

zmarł w Krakowie — w całej pełni pragnień, zamysłów i urzeczywistnień twórczych, acz ciałem skruszony i zniszczony, lecz duszą aż do końca zwycięzki — d. 28 listopada w 38 roku życia.

Drogocennej a tajemniczej piękności jest po nim puścizna. Znaczy ona kolejne etapy ducha „w lotnej pogoni“ ku „rzeczom tajemnym,“ „dążącego przejść przez gęstwy ciemne —

za onym dzwonem, co nad gęstwą dzwoni
i świat dzwonieniem inny zapowiada.

Znaczy ona stopniowe wydobywanie się z „ciemności zmysłów,“ z mroku niepewnych, niewyraźnych przeczuć i pragnień, aż ku uświadomieniom najwyższym, aż ku poczuciu — poprzez migotliwie zmienną zjawisk szatę—wiekuiście niezmiennej bytu istoty. Geniusz ewokatorski jest zawsze jednaki, ale jakże wzmaga się moc wizyonerska, jakże rośnie w bezmiar potęga marzenia! Jakież przestrzenie między pierwszemi, nieokreślnemi „wielkiemi tęsknotami za tem co hej w oddali“— a „czuciem i uczuciem człowieka, który chce czynów swoich, sobie przeznaczonych nieomylnie się doczekać.“ Jakież bezbrzeża między tajemnym powiewem ducha, gnącym niby łan zboża tę przeróżnorodną w *Weselu* gromadę — a kolosalną symfoniczną wizyą samotwórczego wszechwskrzeszenia w *Akropolis*. Jakież zbocza strome, jakie orle percie między pierwszą wizyą chylącej się, niby przeznaczenie groźne, trumnicy Stanisławowej w witrażu—a archanielską, „wzniesioną ponad czas, ponad żywot, ponad świat, w tysiąc lat“ transfiguracyą biskupa, jego błogosławieństwem duchowi wybłyskającemu z pogańskiego rapsoda i je-

go nadludzkim ze Śmiercią dyalogiem, pogrzmiewającym w swej cichości niby światów całych stawanie się i walenie.

Na takich wyżynach, horyzonty rozbiegają się w nieskończoność, przestają istnieć przeszłości i przyszłości, niemasz rzeczy martwych i żywych, poeta wzbija się nad czasów bezmiarem, nad wszechistnienia bezbrzeżem, — i wszystkie twory—mówi Emerson — zstępują parami i rodami w głąb' jego duszy, jak do arki Noego, aby potem z niej wyjść jako mieszkańcy nowego świata. Oto Pandora jawi się pośród rusałek i wiślanek, litewskie boginki, świtezianki, wiedźmy, Mendogi nawołują do Mickiewicza z wyżyn kopuły św. Piotra, Jakóby i Ezawy, Hektory i Pryamy zstępują z gobelinów i żyją znów w noc zmartwychwstanną na Wawelu, Demeter z Korą przechodzą pośród spiskowców belwederskich, Noc mówi do Ajasa, Fale do Achillesa, dzwony krakowskie ludzkiemi śpiewają głosami, Wieści, Echa, Świsty, Poświsty naszeptują grozę Bolesławowi, Chochoły słomiane przygrywają tańcom omartwiałości, Erynnie ścigają Konrada po pustej scenie teatru krakowskiego, Śmierć rozmawia z biskupem, Chrystus jednoczy się z Apollem — a rzeczy wypowiadane przez te obrazy bywają stokroć wspanialsze od wszelkiego obrazu.

Zawrotną, upojną śpiewa poeta pieśń Wszechżycia. Jedynem naruszeniem jej olbrzymiej harmonii, jedynem złem, jedyną martwotą wydaje mu się brak „woli dusz.“ To też o nią—w *Weselu*—upomina się naiwnie ludu poczucie („trzeba umieć ino chcieć“), to też jej żądać każe Śmierć biskupowi w ostatnich chwilach ofiarniczych, to też najwyższem zadaniem wielkich duchów, „dorosłych wolą i godziną,“ jest „budzić i wzniecać dusze“ — ku woli, ku samodzielności twórczej, ku zmartwychwstaniu w młodości, ogniu i sile, — nie pouczać, nie poprawiać, nie rozwijać, nie rządzić, lecz budzić i wzniecać, aby *KAŻDY TAKIM BYŁ, JAKIM JEST,* i własną jeno *RÓSŁ DUSZĄ.*

Takie dno przeziera z pod płynnej, ruchliwej, migotnej, szmernej i dźwięcznej gry fal, jaka opływa— równie widza z charakterystycznych syntez linijnych malarza, chwytających same jeno rytmiczności kształtów i ruchów, — jak słuchacza i czytelnika z niewysłownych kantylen i melopej, refrenów i nawrotów, melodyj i harmonij wiersza poety. Dzwoni w tem wszystkiem taka „dusza muzyczna,“ że kto wie, czy nie ona była główną acz skrytą całej wielkiej twórczości tej władczynią i rodzicielką.

Na analizy i charakterystyki przyjdzie kiedyś czas—odpowiedniejszy. Nad świeżym dziś grobem — pożegnanie oto tylko, żarliwe a skupione uprzytomnienie sobie niektórych, najdroższych rysów duchowych tego, co odszedł....

HYMN

VENI CREATOR
NARODU ŚPIEW
DUCHA ŚWIĘTEGO
WEZWANIE:

CZYLI
W SEJMOWEM KOLE
W ŚWIĄTYNI ŚWIĘTYCH
W KATEDRZE
W GROMADZIE GMINY
W ZBORZE PRACUJĄCYCH
W HUFIE ŻOŁNIERZY
W POLU NA ROLI
W DOMIE
W ZAGRODZIE RĘKODZIELNIKA
WE DWORZE W PAŁACU W ZAMKU
W CHAT OKOLU
JAK RZEK STRUMIENIE
OD POMNIKÓW GÓR
PO WÓD ROZTOCZE
WE WICHRZE W PROMIENIU W GROMIE
W ORCE
PRZY ZIAREN SIEJBIE
JAK MOWA SIĘGA

ORĘDZIE:

Zstąp Gołębica Twórczy duch
byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
spólnie żyjący, wzrośli wraz.

Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszechmogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż,
przez czułość serc, zdrój żywy, żar.

Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą Ojca ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztocz wieszczy blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.

Zestąp Światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapał z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męzki ton.

Odwołaj wroga z naszych dróg,
w pokoju pokój zbawczy nam,
powiedziesz nas Wieszczący Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.

Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznan Syn,
zwól w Tobie Światłość światu dać,
zwól z wiarą wieków podjąć CZYN.

Z tekstu łacińskiego napisał Stanisław Wyspiański.

CHIMERA.



TOM X (OSTATNI). ZESZ. 28/30.—XII/MCMVII.—WARSZAWA, WIDOK 13.

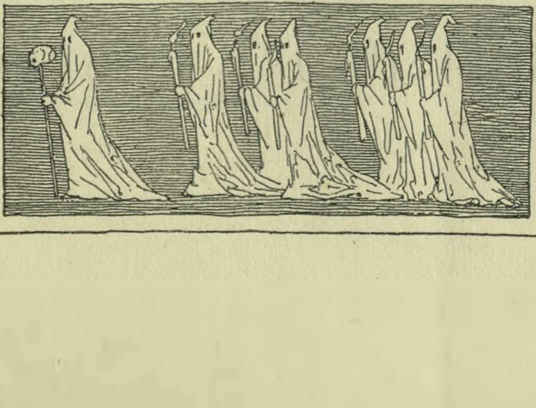
uwaga t.j. tylko zeszyt 30



Narodziny Marcholta

Tragikomedyi Marcholta Grubego a Sprośnego

Część pierwsza.



SZLACHETNE, ZACNE OSOBY,
JAKIMIKOLWIEK SPOSOBY,
WEDLE STANU I GODNOŚCI,
MIANUJĄ WASZE MIŁOŚCI.
TEN ORSZAK MA TE ZWYCZAJE:
NAPRZÓD SŁUŻBY SWE ODDAJE,
POTYM CHCE WDZIĘCZNEMI SŁOWY
ZABAWIĆ WASZ UMYSŁ ZDROWY,
TYLKO PROSI O WYTRWANIE,
MAJĄC O WAS TO UFANIE,
ŻE Z ŁASKĄ SŁUCHAĆ RACZYCIE...

KOMEDYEJ RYBAŁTOWSKIEJ
PROLOG.

NAPISAŁ JAN KASPROWICZ.

NARODZINY MARCHOŁTA.

Izba chłopska. Uroczystość „popielin“ *). Śnieżny czas poświąteczny.

ŻEBRAK, wchodząc:
Pochwalony
Pan...
MACIEK. Na wieki!
Z jakiej strony?
ŻEBRAK. O, z dalekiej,
z ciężkiej drogi!
Nie obeszły apostolskie nogi
tyle ziemi,
ile ja tu schodzić muszę...
MACIEK. Widać po was, żeście duszę
Wypocili...
Coś nie bardzo też kolana...
ŻEBRAK. Moi mili!
Chwalić Pana:
ślepi, niemi,
głusi, chromi i bezdomi
— statki bez ostoi —
u Przedwiecznego w naczelnej są cześci.
Ino że się w torbie mojej
krztynę chleba zmieści,
albo mąki, albo kaszy,
a tu każdy precz mnie straszy
od swojej chudoby.

*) U ludu — uczta towarzysząca narodzinom.

MACIEK. Puste żłoby...
Gdzie się nie da, to się nie da,
w tem niczyjej winy...
ŻEBRAK. Powiadają: u nas bieda,
zaś u Maćka popieliny:
oczekuje gości,
tak z wielkiej radości
z innymi pospołu
posadzi do stołu...
Pan nad waszą świeci grzędą,
rękami obiema
błogosławi waszą strzechę!
Popieliny — — —? Na uciechę!
MACIEK. Jeszcze niema,
ale będą — — jušci, będą —
ino słychnąć! Coś się baby
wygrzebać nie mogą.
ŻEBRAK. Żywot słaby —
wszystko idzie z trwogą...
MACIEK. Ba! leniwie, jakby ciasto gniótł!
ŻEBRAK. Wiecie, ludzie! wiecie, ludzie!
Boży cud!
W wielkim trudzie,
który znamy wieków wiek,
znów się rodzi nowy człek!
— — — — — — — —
Jak myślicie? On czy ona?
MACIEK. Juści-ć on!
Mam nadzieję:
tęgi zbójca!
walny glon!
ŻEBRAK. Niechże będzie pozdrowiona
święta Trójca!
Twoje, Chryste, męki krwawe,
Twój chwalebny skon,
Twoje święte zmartwychwstanie
niech się święcą, Panie,
że nie żadne babskie plemię
nawiedza tę ziemię...
Żegnając się:
Zdrowaś, Marya, łaskiś pełna — — —

Wszystko z grzechu: czarna wełna
na baranie,
sierć na koniu czy na krowie,
włos na głupiej ludzkiej głowie —
wszystko w grzechu ma początek,
a największy zasię wrzątek
wszego złego, co na świecie
w piekielne chwyta nas pęty,
ma przeklęty
czart w kobiecie. —
Cześć i sławę
trzeba oddać Bogu,
że na życia progu
staje chłopak... Taką sprawę
warto, wiecie...

MACIEK. Tsia, zaleję,
ino jeszcze rzecz niepewna — — —

ŻEBRAK. Bardzo pewna! Nie królewna,
a królewicz k'nam zawita...

MACIEK, sięgając po butelkę wódki:
Okowita!..
Mosiek wody nie dożycza...

ŻEBRAK. Pijmy zdrowie królewicza!

MACIEK. Lepiej zdrowie parobasa!

ŻEBRAK. A ja mówię: hasa! hasa!
Z Bożą wolą
to i królem — — —

MACIEK, pijąc:
Z czarnym pyskiem
będzie chodził za broniskiem,
a jak ludzie go wygolą,
ugodzi się za pastucha — — —

ŻEBRAK. Bardzo ładnie,
ino żaden człek nie zgadnie,
na co życie go przedmucha,
na co Bóg go przysposobił — — —

SZEWC, który chwilę stał już w progu, wchodząc do izby:
Może będzie buty robił.

MACIEK. Co do tego, panie kumie,

macie wodę w swym rozumie:
jeszczeć Bóg mnie tak nie schłostał,
żeby syn mój szewcem został.

SZEWC. Przemawiacie bardzo czule —
Nie sierdźcie się!
Człowiek strzela, a zaś kule
Pan Bóg niesie...

MACIEK Sam wiem o tem... Moiściewy!
Przesiewacie szczere plewy,
ziarneczko z nich nie wyleci!
Kabat na was od waszeci,
ale to się byle komu
przypasuje... W moim domu
— co za honor!.. co za cześć? —
żeby nam tu głupstwa pleść?
Czym wam winien choć półgrosza?
Ja-ć nie jestem jak kokosza,
którą lada dureń skubie!
Macie zyski w swej rachubie?
Jaki nowy fałsz uknuty?
Jeszcze-ć u mnie całe buty,
jeszcze mi się nie podarły,
jeszcze-m-ci też nie umarły,
nie potrzeba mi do trumny
pantofelków; widzę, w ręku
macie miarę...

SZEWC. W jaworzynie sęk a w sęku
wielka dziura! Nie bądź dumny,
luby kumie!.. Buczek młody,
a nie żadne przęsło stare,
a już go tam robak wierci. —
Ino po co nam o śmierci
zagadywać! Przyjdzie sama
i do pana i do chama
w samą porę... Przecie gody
wyprawiacie — popieliny!
Tej godziny
ma być cud!
Powinszować wam przychodzę
niby swemu bratu brat!
A jak komu nie dogodzę

na pół funta czy na łut — — —
Ile lat ma wasz ostatni?.. —
Tyle lat,
a dziś jakbyś skręcił bat! — — —

MACIEK. Powiedziałem — moiściewy,
przesiewacie szczere plewy
w swej dobroci bratniej — — —

ŻEBRAK. Prawda... głużą po wsi całej —
moje uszy też słyszały — — —

MACIEK. Co słyszały?

ŻEBRAK. Powiem szczerze,
że ja wcale w to nie wierzę — — —

SZEWC. I ja niby wątpię o tem —
miedź nie będzie nigdy złotem —
ino to, że człek się zmienia
niby drzewo od korzenia
aż do liści — — —
cud się iści!..

MACIEK. A kto w cud ten nie uwierzy,
łotry! zbóje!
tak mu gębę zamaluję,
że w odzieży
nie poniesie gnatów w świat,
potłuczonych kości z ćwierć — —!

ŻEBRAK. W imię Ojca! Syna! Ducha!
Człowiek słucha i nie słucha!
Sprośne, majster, wasze usta,
a tu u mnie torba pusta.
Nie posadzi mnie do stołu
z innymi pospołu!..
Gospodarzu! tak się prawi — — —
I grzesznicę Pan Bóg zbawi!..
Zdrowaś Marya, łaskiś pełna — — —
Wszystko z grzechu! Czarna wełna
na baranie — — —

MACIEK. Tak się stanie,
że was spierze, o, ta żerdź — — —!!

Chwyta kij.

SZEWC. Sierdź się! sierdź!
Ja-ć nie mówię, ino powiem:
zapijmy to waszem zdrowiem —

dajcie wódki!
Czas jest krótki,
a w tym bardzo krótkim czasie,
niby na popasie,
stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina szła po moście — —
poręcz śliska — — —

ŻEBRAK. Hihihihi! Coś się widzi,
że pan majster ze mnie szydzi!
Na bogacza nie wyrosłem,
tak-ci muszę te nożyska
owijać powrósłem...
Dziadulina — hahahaha!
jak kobyła tak się stracha,
nogą wierzga, zadem kręci —
pomagajcie, wszyscy święci!
On ma, rzecze, jedno oko,
ale patrzy niem głęboko,
a ty, dziadu, ócz masz dwoje,
ale nie na serce moje! —
Hahahaha! dziadulątka
już rozlazły się po świecie,
tylko, że to — haha! — wiecie,
nie po mnie pamiątka!..
Stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina szła po moście — — —

Z przyległej komory wychodzi babka.

BABKA. Goście! goście!..
Trochę ciszej!
Przecie chora! ledwie dyszy!
Nie żal wam niewiasty?

MACIEK. Niech wcierniasty!
Kto chorować jej rozkazał?
Kół czy drąg?!

BABKA. Czy już Pan Bóg was wymazał
z swoich ksiąg?

Cóż to wam się śni?
Zkądże mowa ta?
ŻEBRAK. } Hihihihi!
SZEWC. } Hahahaha!

Z komory słychać:

GŁOS CHOREJ. Stary! stary!
Czy nie dosyć tej ofiary?
Miej litość nade mną
w tę godzinę ciemną!..
MACIEK. Było-ć jasno, będzie jaśniej —
ani światu się nie zaśni —
taki-ć sprawię bal!..

Częstuje wódką

Pijcie, kmotry,
święci, łotry — — —
ino, że mi żal — — — —
Cicho Maryś, idę, idę...

Wchodzi do komory.

SZEWC, zaglądając poprzez próg:
Nie powiadam na ohydę —
ino, wiecie, kumoleńko,
coś śpiewacie bardzo cienko,
coś jest z wami bardzo źle!
Krztynę wódki nie zawadzi!
O czeladzi
Pan Bóg radzi,
nienadarmo dał ludziom gorzelnie!
Cieszmy się!
Jest nam smutnie, jest nam i weselnie!
ŻEBRAK. Zdrowaś Marya, łaskiś pełna — — —
Wszystko z grzechu — — — czarna wełna
na baranie — — —
Chryste Panie!
Stał dziadulo
raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina — — —
SZEWC. — — — — — hula! hula —

Sierć na koniu czy na krowie,
włos na mądrej ludzkiej głowie.

Chwyta się za głowę.

MACIEK. Baba zbladła niby kłos,
kiej go słońce do cna spali!
Co za los! Co za los!
Istny śmiech! — — —

Powoli wchodzą goście: Miechodmuch, Wójt, Ławnicy, Organista.

A! witajcie!

MIECHODMUCH. Życie ludzkie jest jak dech:
Pan Bóg dmie w organny miech,
a jak ino dąć przestanie — — —

SZEWC. Całe włoką się kompanie:
organista, kopidołek,
wójt, ławnicy, pan Popiołek —

MACIEK. A, witajcie!

SZEWC. — co rozumy wszystkie zjadł —

MIECHODMUCH. — z filozofią za pan brat —

MACIEK. A, witajcie!

WÓJT. Tyle lat — — —
po ugorze — — —

MACIEK. Wspieraj Boże!..
Człek człekowi rad —
Kieliszeczek?..
Okowita jak dzwoneczek —
Mosiek wody nie dożycza — — —

ŻEBRAK. Pijmy zdrowie królewicza!

WÓJT. Chwała Bogu! On!?

SZEWC. Nie wiada — — —

MACIEK. Jeszcze baba gorzko biada — —
Kiej się to uplęgnie!..

KOPIDOŁEK. Jak jest szczęście, to jest szczęście —
palec je dosięgnie,
a jak niema, to i pięście
nie pomogą: pchaj łopatę
w twardą ziemię,
aż ci ciemię
krwią nabiega, a na stratę
idą trudy i mozoły:

co uderzysz, kamień goły.
Księże śpiewy, księże mowy,
a dół jeszcze nie gotowy
i człek nie ma swej radości...
SZEWC. Tyle gości! tyle gości!
jest i stolarz — —
— ze stolarką — — —!!

Wchodzą pani i pan Wiórek.

WÓJT. Nie zmierzysz ich szewcką miarką —
takie państwo — —.
MACIEK. A, witamy — — —
SZEWC. Dyć, nie proste chamy!..
A cóż waści tu przyniosło?
Kto godniejsze ma rzemiosło?!
Dyć, pan Wiórek! Nie przechera!
Nie sam na bal, tylko parą — — —
MACIEK. Dajcie spokój pustym swarom — —
PANI WIÓREK. Ii! szewcowa też się zbiera,
ale zebrać się nie może:
kryzka jej się oberwała,
a na igłę, choć tak mała,
szydło waści — — —
SZEWC. Mocny Boże!
dla nas wszystkich sprawa znana,
że hebelek u asana — —
STOLARZ. Wara waści do hebelka,
bo on, hebel, rzecz zbyt wielka —
SZEWC. Wiemy, wiemy doskonale:
hebel u was w wielkiej chwale,
ino trochę — — —
JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Przypomnijcie mu macochę
jego syna — —
SZEWC. dyć — — — z macoszki
ponoć ściąga syn pończoszki? —
PANI WIÓREK. Pilnuj waszeć swoich córek — — —
SZEWC. Pani Wiórek! pani Wiórek!
STOLARZ. Karolinko! żono moja!
taka twojej cnoty zbroja? —
A ja ciebie, o jedyna — — —

biada mi niebodze — —
PANI WIÓREK. Czy to ja mam cnotę w nodze?
Rozum stracił pan szewczyna —
duby plecie, duby!..
Chodź do swej pieszczotki,
uściskaj ją, daj-że pyska — —
STOLARZ. Ucałuje i uściska
Karolinkę mąż twój słodki —
Karolińciu, kurko moja — cip!
PANI WIÓREK. Cip! cip!
STOLARZ. A pan szewiec — —
SZEWC. Także cip! cip!
Zapijma to!
Człowiek na to, jak na lato — — cip...
ŻEBRAK. Dziadulina szła po moście,
poręcz była śliska — — —
PANI WIÓREK. Czemu nie szła prościej —?
SZEWC. Anoć proszę, zacni goście,
pijmy za zdrowie miłości!
Bez niej życie, jak na oście
abo na pokrzywie — —
WSZYSCY. Niech nam żywie!
POPIOŁEK. Wiemy o tem wyśmienicie,
czem jest życie!..
WÓJT. Niebem, piekłem —
jak dla kogo...
MIECHODMUCH. Nie! już rzekłem:
Życie ludzkie jest jak dech,
Pan Bóg dmie w organny miech —
ORGANISTA. A ja mówię, co ze słuchu
jest wam znane, bracia moi —
dla piśmiennych rzecz ta stoi
nawet w książce — jako zasię
Stwórca karze w swoim czasie
wszelką pychę. Miechodmuchu!
Z tyłu li organy znasz,
a zaś tyle pychy masz,
że mędrkujesz, oczywista,
nim przemówił organista — —! — —
Przytem, powiedz: gdzie jest dbałość

o mój honor? Co za śmiałość!
Miechodmucha podłe nogi
przekroczyły Maćka progi,
zanim wszedł tu, Chryste Panie,
ten, co tobie na organie
wygra wszelką pieśń — — —

MIECHODMUCH. A juści!
Pan Bóg karę swoją spuści,
kiedy zechce i na kogo...
przemawiacie bardzo srogo — —
ino kto tu jest pyszniejszy? hę?..
I ja także niebu służę...

KOPIDOŁEK. Dyć honory macie duże
i nikt wam ich nie umniejszy —
ino, że ja w te sposoby
równie Bogu miły:
kopię groby,
a kto, panie, bez mogiły
gdzieś tam legnie na rozstaju,
ten nie spocznie w bożym raju — — —

STOLARZ. Jaki dumny! jaki dumny!
A ja czym jest szczur lub piesek?
Czy ja gorszy człek?
Kiedy kto na wieki legł —
ha? — bez trumny?
Czem jest grób bez czterech desek?
Każdy Bogu blizki,
kto żyje na świecie!
Wy śpiewacie, w miechy dmiecie,
ja robię kołyski,
a jak trzeba, to i trumnę skleję —
Panie kumie, wziąć wam miarę?

MACIEK. Moje kości stare,
ale jeszcze mam nadzieję — — —

STOLARZ. Na kołyskę — — —

POPIOŁEK. Przyjdzie pora — — —

STOLARZ. Słyszę, baba ponoć chora — — —

SZEWC A ja powiem jedną sprawę:
chcecie zepsuć tę zabawę?
Stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze — — —

POPIOŁEK. Ja wam rzeknę, słodcy towarzysze:
uszanujcie ciszę!
czy wiadomo, moiściewy,
że my ludzie to niby jak plewy?
Wiatr je precz rozniesie
po łęgach, po lesie,
a najgłupszem, mówię szczerze,
jest zasię to zwierzę,
co śmierci się boi...
I tyś głupi i on głupi!..
STOLARZ. A twą mądrość któż tam kupi?
SZEWC. Kpię z mądrości twojej!
ORGANISTA. Zawsześ w gębie mocny był!
POPIOŁEK. Krew ci bije z moich żył!
STOLARZ. A we mnie co? jucha?
POPIOŁEK. Niech tam pies cię słucha!
SZEWC. Pies wyje na dworze — — —
KOPIDOŁEK. Baba mrze w komorze — — —
MIECHODMUCH. Boże! Boże! Boże!
BABKA, w progu komory:
Poczciwi ludkowie!
Baczcie na jej zdrowie!
MACIEK. Co nam zdrowie! W cztery konie
już ja zdrowia nie dogonię,
kiej sam Pan Bóg nie dba o nie. —
MIECHODMUCH. Prawda! prawda! Ojcze Panie!
Święte twoje królowanie,
ale jedno ci poradzę — hę?
jakbym ja miał twoją władzę,
nigdybym się, przez Bóg żywy,
nie ugodził na te dziwy,
żeby taki rak czerwony, hę...
co to ledwie, że ma ślepie,
miał kosztować życie żony...
ORGANISTA. Nie bluźnijcie, bo wam wrzepię — — —
KOPIDOŁEK. Nie bluźnijcie — — —
MIECHODMUCH. Kto tu bluźni?!..
STOLARZ. I mój kijek się nie spóźni —
Spiorę, zwalę — — —
MIECHODMUCH. Ja nie bluźnię wcale!
Ino żal jest, że ta baba

taka biedna, taka słaba
przez to ślepe i głuche stworzenie,
co się na świat wygrzebać nie może..
Panie Boże! Panie Boże!.. hę...
Życie ludzkie w takiej cenie?
Trzeba króla Salomona,
niech rozstrzyga, kto tu więcej
wart jest życia: smród dziecięcy
czy też matka: — hę? On czy ona?
ORGANISTA. Pan Miechodmuch raz jedyny
rozwarł pysk nie bez przyczyny:
ale kiej tak dobrze prawi,
niech się w posły sam zabawi...
Idź po króla!
MIECHODMUCH. Ja po króla?
Bliższa ciału jest koszula —
ja do takiej pójść jasności —?
ORGANISTA. Nie połamie nikt ci kości —
król a człek to wszystko jedno —
organista abo król...
MIECHODMUCH. Trafiliście w samo sedno — —
tylko niechże pobiedz raczy
kopidołek.
KOPIDOŁEK. Nieinaczej!
Weneruję go ogromnie,
ale król sam przyjdzie do mnie —
phi!.. Pan Wiórek — —
STOLARZ. Panie chrzczony,
ja do takiej iść persony —?
Ni kołyski mu ni trumny — — —
Pan Półdratwię człek rozumny
i wygada się i — — —
SZEWC. W głowie
rozum mam na własne zdrowie —
Na honory ja-ć nie łasy —
tak! za niskie me obcasy — — —
Wójt jest godny, on pogoni!..
WÓJT. Mam ławników, niechże oni — — —
Ja i król?!..
POPIOŁEK. Jeden grzech i jeden ból!
ŁAWNIK. Panie wójcie! od pieczęci

wy i króle... Niech was święci
mają w świętej swej opiece,
ja-ć tam za was nie polecę.
Król to niby miecz jest nagi
abo księga, a zaś miecza
abo księgi dusza człecza
nie ułapi —
Ale kiej wam brak odwagi,
pan Popiołek się pokwapi:
przecie wszystką mądrość zjadł...

POPIOŁEK. Tyś mój brat i ja twój brat,
ty masz skromność w swej rachubie,
ja wywyższać się nie lubię —
to jest moja prawda żywa — —
Organista, co wygrywa
Stwórcy Panu, on jest wart!

ORGANISTA. Prawisz waszeć niby z kart,
ale że, kto Bogu służy,
temu król jest niezbyt duży —
ja i ty — — —

KALEKA, który wszedł w towarzystwie wójta etc.
Widzę, żeście wszyscy kpy!
Czas jest krótki:
dajcie wódki
na otuchę
w moje kości kruche!
Prawiem ślepy i kulawy,
ale na te ludzkie sprawy
nie potrzeba oczu
ani zdrowych nóg!
Rządzi niemi Bóg
i stojący na uboczu
choć wszystko przenika
i choć wszystko czuje,
na durniów nie zważa,
a ino się podśmiechuje
z organisty, z miechodmucha,
z kopidołka i Popiołka,
z szewca i stolarza,
z wójta i ławnika — — —
ja pójdę do króla — —

ORGANISTA. Niech sobie pohula —
będzie mu wyraźniej
bez lęku, bojaźni — — —
KALEKA. Nie boję się wcale,
choć jest w wielkiej chwale:
jedna glina, jedna krew!
jedno żniwo, jeden siew!
jedno życie, jeden skon!
jeden krótki czas!
Serca moje, żegnam was! — —
Wychodzi.
SZEWC. A w tym krótkim czasie,
niby na popasie,
stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina — — —
ŻEBRAK. Hahahaha!
jak kobyła tak się stracha,
nogą wierzga, zadem kręci —
pomagajcie, wszyscy święci!
Hahahaha! dziadulątka
już rozlazły się po świecie,
tylko, że to — haha! — wiecie,
nie po mnie pamiątka — —
Hahahaha!
WSZYSCY. Nogą wierzga, zadem kręci,
pomagajcie wszyscy święci —
Hahahaha!
BABKA, zjawiając się w progu:
Poczciwi ludkowie,
baczcie na jej zdrowie!
Leżąca na płótnie, blada jest jak płótno — — —
SZEWC. Jest nam bardzo smutno,
jest nam i weselnie —
Bóg nam dał gorzelnie — — —
MACIEK. Co mi zdrowie! W cztery konie
już ja zdrowia nie dogonię,
kiej sam Pan Bóg nie dba o nie!
Juścić pijmy! hej! koleją!
Niech się ludzie śmieją!..
POPIOŁEK. Niech się ludzie kłócą,

weselą czy smucą —
śmiech czy smutek wszystko jedno!
STOLARZ. Deska abo wióry —
SZEWC. Podeszew ze skóry,
z filcu czy bibuły —
MIECHODMUCH. Miechy czy organy,
basy czy fistuły —
ORGANISTA. Osły czy barany — —
KOPIDOŁEK. Grobik grzecznie wykopany
abo rów przy drodze — —?
Coś wam się niebodze — —
POPIOŁEK. Miłość albo gniew,
w wszystkiem jedna krew —
Śmiech czy smutek wszystko jedno...
ORGANISTA. Trafiliście w samo sedno — —
ino zkąd wy mądrość taką —?
WÓJT. Ogony podrywał ptakom,
phi! wykręcał gniazda wronie
na wysokiej sośnie — — —
SZEWC. Mądrość wszędy rośnie,
niby oset abo inne zioła —
pełno ich dokoła,
ino sięgnąć po nie — — —
WÓJT. — — — tak też jedną, drugą, trzecią
powiem prawdę — owijać nie będę:
ryby juścić łowim siecią,
a jak chcecie, i na wędę
abo do więcierza;
z dawnego przymierza,
co się nie rozkrusza,
jest jak ryba ludzka dusza,
co ją Pan Bóg w sieć swą łowi —
POPIOŁEK. Co jest dusza!.. Co jest życie!..
Co wy wiecie —!
WÓJT. Bądźcie zdrowi,
jeśli w swym rozumie
nikt pojąć nie umie,
że tu sprawa jest o duszę:
chce ją Pan Bóg mieć i basta!..
ORGANISTA. Ja bo rzeknąć muszę:
umiera niewiasta,

a z niewiasty Ten się rodził,
co nas wszystkich oswobodził.
MIECHODMUCH. A ja tak z ostatka
powiem: ginie matka!
Matka-ć to omdlała
u stóp krzyża stała,
na którym syn jej wisiał — — —
JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Człek by zmisiał
abo i zbaraniał,
żeby wam się kłaniał: — —
o śmierci prawicie,
a tu idzie życie —
dziecko się uchowa,
matka wstanie zdrowa!..
SZEWC. Kto to wie?..
STOLARZ. Kto to wie?
SZEWC. Czyś na trumnę, chciwy kpie,
przyniósł miarę?
STOLARZ. Boże wielki,
miarę masz na pantofelki — — —
KOPIDOŁEK. Chociaż śmierć ostrożna,
nic wiedzieć nie można — — —
ORGANISTA. Na grobik czekacie?
KOPIDOŁEK. A i wam też, bracie,
kapnie coś za Miserere —
ORGANISTA. Chęci Boga zawsze szczere,
nie kłamliwe... Jak Bóg zechce — —
MIECHODMUCH. — — to i miechy człek połechce —
ŁAWNIK. A ja mówię: na co smutki!
O śmierci prawicie,
a tu idzie życie!
Dajcie wódki!
Starzy, młodzi!
Weselić się godzi...
WSZYSCY. Pohulajmy, zaśpiewajmy,
jemu cześć i chwałę dajmy —

Za sceną słychać kolędników: W żłobie leży,
któż pobieży —

W izbie mimowoli kilku z uczestników zaczyna wtórować:

W żłobie leży,
któż pobieży —

WÓJT. Hola! hola! tu nie żarty!
W pysk nabierze, kto uparty —
wiecie, twarda moja ręka!
Tu nie żadna jest Stajenka,
wół i osieł tu nie klęka,
chyba żeście wszyscy osły,
co w stajni wyrosły!
Tu nie Zbawca się nam rodzi! —
Kto jest człek tu, a kto złodziej?
Kto z poczciwych, kto z zbrodniarzy?
Gębę spiorę, kto się waży
szydzić — — —
ŚPIEWAK. Szydzić?.. Chroń mnie Boże!
Chcesz, przysięgę nawet złożę —
Masz dwa palce z dwoma w krzyż!
Dokumenta za mną pisz,
stryczek wieszaj mi na szyi,
jeśli kłamię: po wiliji
co dopiero wszędy, wszędy
wyśpiewują dziś kolędy,
więc, że mamy taką chwilę,
tak i ja też zaśpiewałem —
ORGANISTA. Powiadam wam sercem całem:
nic w tem złego! Bogu mile,
że człek biedny o nim baczy — — —
MIECHODMUCH. Juści! juści! nieinaczej!
Tak zostanie z każdym wiekiem...
ŚPIEWAK. Chrystus Pan się rodził człekiem
i dla człeka! Nie znał pychy,
był pokorny, mały, cichy,
nie znał, co to pan, co cham:
co dla niego, to i nam!
WÓJT. On był król!
ŁAWNIK. Na wielkie się męki rodził!
SZEWC. Na zbawienie.
POPIOŁEK. I na ból — —
że już więcej nie wymienię — —

STOLARZ. Szatan go po górach wodził,
w jego duszę godził —
SZEWC. I od duszy człeka
także nie ucieka.
STOLARZ. ...Panie szewiec? Czy to może
przytyk do mnie?..
SZEWC. Chroń mnie Boże!
Bez przytyków...
ORGANISTA. Na radości
nie przychodzim w gości
na tę biedną ziemię,
tylko czart to ludzkie plemię
ciągle kusi...
MIECHODMUCH. Człek się musi
wciąż oganiać... Ciągłe bitwy
z złem —
A cóż lepsze od modlitwy
czy pobożnej pieśni
w utrapieniu tem — — —
ORGANISTA. Ja to wcześniej
pomyślałem — śpiewaj, bracie —
MIECHODMUCH. — — jak ptaszkowie leśni:
trala tryli — —
ORGANISTA. Zamknij miech swój, bym w tej chwili — —
MIECHODMUCH. Hę? —

Słychać słaby dźwięk harfy.

KOPIDOŁEK. Nie słyszycie?.. Nie słyszycie?..
SZEWC. Gdzież jest picie?
JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Sza! jak gdyby grało coś...
Jakbym jakieś słyszał śpiewy...

Kolędnicy, przebrani za aniołów.

ANIOŁOWIE poza ścianą śpiewają:
Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony — — —

WÓJT. Moiściewy,
widno rozum wasz to fura,
w której się złamała oś...

Oczywiście,
mostem kumotr jechaliście,
w moście była dziura...

Jakby dźwięk harfy.

JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Kto ma uszy, niechaj słucha!
SZEWC. Nadstawiajcie ucha — —
STOLARZ. Nie! i mnie się coś wydaje — — —
ANIOŁOWIE: Ogień krzepnie, blask ściemnieje — —
WÓJT. Baje! baje!
Rozum w ludziach coraz rzadszy!
Wódka mózg wam tłoczy...
KOPIDOŁEK. Kto ma oczy, niechaj patrzy!..
SZEWC. Otwierajcie oczy!..

Widma aniołów-kolędników przesuwają się poza oknami.

MACIEK, wychodząc z komory:
Jest...
SZEWC. Nareszcie...
MACIEK. Ino bardzo źle niewieście...
ŻEBRAK. On czy ona?
MACIEK. Juścić on!
Walny zbójca!
Tęgi glon!
ŻEBRAK. Niechaj będzie pochwalona
Święta Trójca,
że nie żaden babski ród — — — —
Kiedy chrzest..?
ORGANISTA. My wiedzieli, że już jest:
chór aniołów tu go wiódł...
MACIEK. Kpiny w święte popieliny!
ORGANISTA. Nie! rzecz jest wiadoma —
ziarno to nie słoma:
od dawnej pamięci
staroświeckie głoszą mowy,
że gdy człek się rodzi nowy,
aniołowie święci
pieśni mu śpiewają
i na harfach grają;

pod sam próg przychodzą
gdzie się ludzie rodzą,
albo w oknie stają
i na harfach grają...
Ino trza mieć oczy,
by ich ujrzeć w ich przezroczy,
ino trza miec uszy,
by ich w rajskiej słyszeć głuszy...

MACIEK. Widno rak ten jeszcze ślepy,
jeszcze głuchy:
tu mu nucą Pańskie duchy,
a on niby kawał rzepy
leży martwy!.. Hej! ty raku!
Aniołowie ci śpiewają
i na harfach grają,
ty wolisz pieluchy...

BABKA, w progu komory:
Szumy takie jak w przetaku,
jakby zwiewał groch w rzeszocie!
Gadaj tu hołocie!
Trochę ciszej, trochę ciszej,
matka ledwie dyszy — — —
bardzo słaba.

ŻEBRAK. Co nam matka!.. co nam baba,
gdy jest on!..

WÓJT. Dać go tutaj! Z dwoma, z trzema
jego zdrowie wypijema!
W pięciu, w sześciu i dziesięciu!
Człek jest mocny w przedsięwzięciu:
powróz starga, a cóż nićl
Takie zdrowie warto pić!..

BABKA wchodzi z nowonarodzonym.
Rozwinęłam go z pieluszek...

SZEWC. Kłapouszek...

KOPIDOŁEK. A czerwony niby ćwikła,
wszelka słabość w nim zanikła!

WÓJT. Tęgi, gruby, okazały,
będzie pełen wielkiej chwały...

BABKA. A w wnętrznościach co za siła!
Ledwiem sobie rąk domyła...
MIECHODMUCH. Sprośny młodzian, wielce sprośny!..
ORGANISTA. Będzie w świecie bardzo głośny!
WÓJT. Jednem słowem: taki chłop
to jest niby żyta snop —
ino kto go młócić będzie?..
Ale inna rzecz na względzie:
zdrowie wasze, walny kmotrze!
Niech się człowiek o was otrze,
może też zadziwię świat — — —
SZEWC. Tyle lat!
A dziś jakbyś skręcił bat!
Ale prawda: człek się zmienia,
niby drzewo od korzenia
aż do liści —
cud się iści...
MACIEK. A kto w cud ten nie uwierzy,
łotry, zbóje!
tak mu gębę zamaluję,
że w odzieży
nie poniesie gnatów w świat —
potłuczonych kości z ćwierć — — —
ORGANISTA. Sierdź się, sierdź —
tu o inne idzie rzeczy —:
MIECHODMUCH. — — czy ten potwór człeczy,
to łajno olbrzymie —
hę? —
ORGANISTA. — ma już swoje imię —?
MACIEK. Któżby, wiecie, myślał o tem?
przyjdzie pora, przyjdzie chrzest —
STOLARZ. — to i patron święty jest —
SZEWC. A jakże,
pana dyabła szwagrze —
MIECHODMUCH. Nie będzie w tem żadnej sprzeczki —
WÓJT, SZEWC, obstąpiwszy nowonarodzonego:
Gruby na pół beczki.
ŁAWNIK. Jak burak czerwony —
WÓJT. Walne wyda plony —
POPIOŁEK. Istny Marchołt — —
WSZYSCY. Rośnij nam, Marchołcie!

SZEWC. Ledwie sobie rąk domyła —
BABKA. — taka w wnętrzu siła!
ORGANISTA. Będzie w świecie bardzo głośny —
MIECHODMUCH. Taki dziś już sprośny —
STOLARZ. Istny Marchołt — —
WSZYSCY. Rośnij nam, Marchołcie
STOLARZ. Nie żal, prawda szczera —
SZEWC. — kiej matka umiera — hę!
ŻEBRAK. — kiej niewiasta kona
dla takiego glona —
KOPIDOŁEK. Marchołcisko!..
WSZYSCY. Rośnij nam, Marchołcie!

Śpiew:

Narodził się Marchołt, hej!
sprośny i gruby,
dla naszego szczęścia
czy dla naszej zguby!
Radujmy się tej wesołej chwili,
radujmy się, kochani ludkowie!
Albo my go będziem w plecy bili.
albo on nas pomaca po głowie... Hej!

JEDNA Z KOBIET, wchodząc do izby:
A jušci — hej!
Rozlega się wasz krzyk
wkrąg po całym świecie — —
INNA Z KOBIET. We wsi dudni
niby w jakiej studni —
POPIOŁEK. Po co tu idziecie — ?
SZEWC. Dać wam jeden łyk?
JEDNA Z KOBIET. I jeden i dwa —
Życie krótko trwa!
Czy to chłopy same
mają się weselić?
ORGANISTA. Widzieliście damę?
JEDNA Z KOBIET. I my także chcemy się podzielić
wielką wesołością —
dajcie wódki gościom!
Narodził się nowy człek — —
ŻEBRAK. Jušci się narodził,

ino że wam nie dogodził,
bo nie baba, zasię — —
INNA Z KOBIET. — chłop!
chłop! chłopisko!
wszego złego ściek!.!
INNA Z KOBIET. Kłaniaj mu się nisko —
MIECHODMUCH. A on ciebie w czop!..
Tylko, wiecie, gdy o ścieku mowa,
zawszeć prędzej białogłowa,
winna czy niewinna,
jest niby jak rynna —
hę? — do której ścieka
drobny deszcz — człowieka — — —
JEDNA Z KOBIET. Także człowiek!
Także ludzie!
INNA Z KOBIET. Wielkich łask szafarze!
MIECHODMUCH. Nie zamkniecie powiek,
a ja wam pokażę — — —
głośno, z cicha — — —
KOPIDOŁEK. A ja tobie!..
JEDNA Z KOBIET. Hi! do licha!
Co? gdzie? w grobie?
INNA Z KOBIET. Hi! w psiej budzie — —
WÓJT. W rowie, w lesie,
w owsie, w życie — —
ORGANISTA. Kumoszeczko! śmiejecie się,
a w tym ludzkim bycie — —
POPIOŁEK. — wszystko jedno, gdzie się Marchołt rodzi!
SZEWC. Starzy, młodzi!
do roboty —
STOLARZ. Każdy znajdzie warsztat swój!
JEDNA Z KOBIET. Tyś jest mój!
INNA Z KOBIET. Ty mój!
INNA Z KOBIET. Ty, mój złoty,
w mem sercu niesytem — —
SZEWC. Ja tam będę rozbijał kopytem —
Niema takiej skóry,
coby mi się — — —
JEDNA Z KOBIET. Tyś jest mój —!
STOLARZ. A ja rzeknę: hola! stój!
Szewc młoteczkiem w wielkiej biedzie — —

a pan stolarz jak heblem zajedzie,
tak się sypną wióry — —
JEDNA Z KOBIET. Ja wolę stolarza — —
SZEWC. A ja twemu stolarzowi — —
POPIOŁEK. Zgoda! zgoda!
Niechaj świat się nie rozswarza,
wszyscy będziem zdrowi —
stolarz dłoń niech szewcu poda — — —
KOPIDOŁEK. Nie zazdrośnie! nie wyniośle!
Każdy sprawny w swem rzemiośle...
MIECHODMUCH. Tak! ja, grzech to czy nie grzech,
zadmę sobie w miech... hę?..
ORGANISTA. A ja zagram na organie,
ile tchu mi stanie —
KOPIDOŁEK. A ja wlezę na cmentarną grzędę,
walnie kopać będę — —
JEDNA Z KOBIET. Tyś jest mój!
INNA Z KOBIET. A ty mój!
WÓJT. Babo, stój!
ja poorzę — —
ŁAWNIK. A ja pobronuję — —
ŻEBRAK. A ja powiem: mocny Boże!
stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina — —
SZEWC. Hahahaha!
jak kobyła tak się stracha,
nogą wierzga, zadem kręci,
pomagajcie, wszyscy święci,
może cud się zdzierży — —
MACIEK. A kto w cud ten nie uwierzy,
łotry! zbóje! — —

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH wchodzi do izby.
Biedni my świata pielgrzymi,
kroczymy w czarnej żałobie — — —
JEDEN Z GOŚCI. Co to znaczy? Zkąd w tym domu? — —
JEDEN Z BRACI POGRZEBOWYCH.
Nie czynim złego nikomu,

tylko śmierć się ugania po ziemi,
a my stopy zmęczonemi
musimy wlec się za nią,
za naszą wielką Panią...

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH.
Biedni my świata pielgrzymi,
kroczymy w czarnej żałobie...

WÓJT. Biesie, nie biesie!
Cóż ciebie tutaj sprowadza
do wsi, gdzie moja władza?
Broń nas, o Boże łaskawy!

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH.
Chodzimy po polu, po lesie,
gdzie drzewa schną i trawy,
chodzim, gdzie żyto pada,
i tylko to zabieramy,
co niepotrzebne jest w domu...

MACIEK. Mądrość nielada!
Niechcący doznać sromu,
powiedzcie, bezbożne chamy,
kto niepotrzebny jest u mnie?

SZEWC. A toś się spytał rozumnie!
Duszyczki młode i stare,
mały i wielki
i ten, co bierze miarę —

GŁOS Z TŁUMU. — na pantofelki —
dla szewców dobry znak —

SZEWC. Tak! tak!
My wszyscy potrzebni u ciebie —

KOPIDOŁEK. I ten, co grzebie — —

GŁOS Z TŁUMU. Na hak z nim, na hak!

STOLARZ. Tak! tak!
I ten, co układa w trumnie —

ORGANISTA. I ten, co śpiewa rekwijem —

WSZYSCY. Wszyscy, jak żyjem,
potrzebni jesteśmy w twych progach!

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH.
Po świata chodzimy drogach,
z żałoby chodzimy pieśniami,

śmierć postępuje za nami —
Za chwilę będzie i ona...

Znikają.

JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Do pierona!
Co za wieści!
Człek w swej głowie nie pomieści!..
BABKA, we drzwiach komory:
Matka kona!..
POPIOŁEK. Ale Marchołt żyje!
Zgadną rozumy to czyje — —
GŁOS Z TŁUMU. Zgadną co najciekawsze!
POPIOŁEK. — Jak to zawsze
jedno drugie goni:
śmierć i życie — —
MACIEK. Pójdę do niej!

Wychodzi do komory.

ORGANISTA. Na pogrzebie i na ślubie
śpiewać lubię —
A już w takie narodziny
nie będzie w tem winy,
jeśli tu zaintonuję!
Łotry, zbóje!
Przyjaciele!
Choć jest smutek, jest wesele —
Stańcie kołem,
zaśpiewajcie ze mną społem:
Ej! Marchołcie! chwała ci, ej chwała!

BABKA i MACIEK, w drzwiach komory:
Już skonała!..
POPIOŁEK. A ja myślę, dobrzy ludzie —
I wy nad tem pomyślicie,
chociaż w trudzie:
co ważniejsze, śmierć czy życie?

I czy taki Marchołt gruby
wart matczynej zguby?
GŁOSY Z TŁUMU. Tak nam powiedz! — Mądryś przecie —
POPIOŁEK. Najmądrzejszy jest na świecie
król — — niech powie! —

Wchodzi KRÓL z orszakiem.

KRÓL. Cni ludkowie
i poddani!
GŁOSY Z TŁUMU. — Nas to rani.
— Powiedziawszy małowiele:
my obywatele!
— Gdy o lud swój, królu, dbasz,
miej na względzie
honor nasz!
KRÓL. Niech tak będzie!
Obywatel czy poddany — —
POPIOŁEK, przepraszając:
Królu, złoty, malowany! —
KRÓL. — na pośladkach zawsze siedzi!..
GŁOS Z TŁUMU. A ksiądz mówi przy spowiedzi,
że jest pan, i że jest chłop!
KRÓL. Słomy jeden snop,
jedne plewy —
Jam król tylko! — —
GŁOS Z TŁUMU. Moiściewy!
Nie o to jest sprawa!
Jeśli król przed nami stawa,
niech osądzi —
POPIOŁEK. Tak, co więcej warte:
śmierć czy życie?
KRÓL. Na jedną ja kartę
rzucam wszystko! Lecz nie o to,
cna hołoto — —
GŁOS Z TŁUMU. Panie! królu!
juścić w bólu
my wyrośli,
lecz wyrażaj się podnioślej,

bez tej wzgardy:
ból to nazbyt twardy!
KRÓL. Starostowie! wojewody!
PANI STOLARZOWA. Jaki młody!
PANI SZEWCOWA. Ma wąsiki!
GŁOS Z TŁUMU. My tylko ławniki!
WÓJT. Wójcia, panie!
MIECHODMUCH. Miechodmuchy!
ORGANISTA. Na pochlebstwa głuchy
organista, sługa boży — —
STOLARZ. Jak hebelek, tak się złoży
stolarz, królu, przed twą łaską!
SZEWC. Twoim blaskom
szewc się kłania!
PANI STOLARZOWA. Na mnie zerka.
BABKA, pchając się ku królowi:
A ja jestem akuszerka,
znam się na tym interesie —
od spowicia aż do skonu — — —
KRÓL Więc — podpory mego tronu!
Jak wieść niesie,
wielka tutaj jest zabawa!
Nie na sądy tu przychodzę,
tylko wodze
wesołości puścić swojej
w waszem kole!
POPIOŁEK. Śmierci się nie boi!
Napisano ma na czole,
że jest władzcą nade wszystkiem,
nad gałęzią i nad listkiem,
nade śmiercią i nad życiem — — —
KRÓL. Z tem mojem przybyciem
trafię w sedno,
jeśli powiem: wszystko jedno,
ja czy wy!..
PANI STOLARZOWA. Jedne sny!
Jedno łoże!
PANI SZEWCOWA. Może, może
z raz wyskoczy sobie ze mną,
walny władzca, mocny pan!

INNA Z KOBIET. Dzionkiem jasnym, nocką ciemną
radabych z nim poszła w tań!
KRÓL. Z kim zechcecie, pójdę w pląsy!
PANI STOLARZOWA. Co za wąsy!
Ciepło, królu, w mej komórce,
tęgo dzisiaj napalono!
STOLARZ. Żono! żono!
kijem łeb ci ten roztrącę!
PANI SZEWCOWA. Siano u mnie na obórce
miękkie, panie, i pachnące! —
SZEWC. Przeniewiercza! Piekła! nieba!
Gdzie kochanek? gdzie twój mąż!
PANI SZEWCOWA. Dratwę trochę mocniej wiąż!
PANI STOLARZOWA. Ty nie zważaj, królu panie!
Liche jego heblowanie!
Do stolarza:
A twój rozum niech pamięta:
Co za cześć!
Będą w domu królewięta!
PANI SZEWCOWA. U mnie! U mnie! My schudzieli —
Bieda musi wszystkich gnieść —,
lecz my z hrabiów — — —
PANI STOLARZOWA. O, anieli!
A jać pono — —
STOLARZ. Żono! żono!
PANI STOLARZOWA. — z książęcego jestem rodu — —
INNA Z KOBIET. Pójdę, królu, do wywodu,
jeśli tylko łaska twa — —
Taki honor — —
GŁOS Z TŁUMU. Taki grzech!
PANI STOLARZOWA. Niech tam, niech!
PANI SZEWCOWA. Takie grzechy to pociechy —
PANI STOLARZOWA. Rozgrzeszenie ksiądz nam da.
WSZYSTKIE. W tany, królu malowany!
PANI SZEWCOWA. Ze mną w tany!
PANI STOLARZOWA. Ze mną w tany!
BABKA. Na mnie zerka. —
Jestem, królu, akuszerka!
Znam się na tym interesie — —
KRÓL. Król, czy młody, czy też stary,
na to jest, by godził swary!

Niech muzyka odezwie się!
Ani jednej nie zasmucę,
z tą wywinę, z tą obrócę,
z tą rozpocznę, z tamtą skończę!
Tamtej kożuch, tej opończę!
Wszystko blichtr jest! wszystko szych!
Nie żałować skarbów swych,
posiać niemi naokoło,
żeby raźno i wesoło
było wszystkim w kraju mym,
to przed wami jest mój prym! —

WÓJT. Sypie garście ziarn, bez plew —
Nasza kość to, nasza krew!

POPIOŁEK. Jeszcze takich słówek z ćwierć,
co nam życie! co nam śmierć!

STOLARZ. Juścić, powiem to bez bólu,
tak cię kocham, panie królu,
za te hojne, szczodre słowa,
że gdy mi się co uchowa — —

SZEWC. Królu złoty, malowany,
z moją żoną puść się w tany!
Syp nam skarby naokoło,
niech nam raźnie i wesoło
będzie w kraju twym!
Wszystko czczy jest dym!
Tak ci jestem rad,
— nasza krew ty, nasza kość! —
że i żony mam już dość!
Niech się wali świat,
a ty, królu malowany,
z moją żoną puść się w tany!

MIECHODMUCH. Hej! kto może,
sierdź się, sierdź!
Ja w pokorze
zadmę w miechy —
Królu złoty, malowany — — —

ORGANISTA. Wszystko jedno — cnoty, grzechy,
świeża gałąź, sucha żerdź!
Królu złoty, malowany,
li dla ciebie me organy —
Niema ich tu, sam przyniosę — —

KRÓL. Jasnowłose, ciemnowłose!
Gdy jest życie, co nam śmierć!
Niech tam innych boli głowa!
Co się chowa, to się chowa!
Smutny Maćku, wina lej!

MACIEK. Dziś na smutki
kielich wódki!..

Nalewa — częstuje.

KRÓL intonuje, porwawszy Babkę w objęcia:
Narodził się Marchołt — hej!

Muzyka.

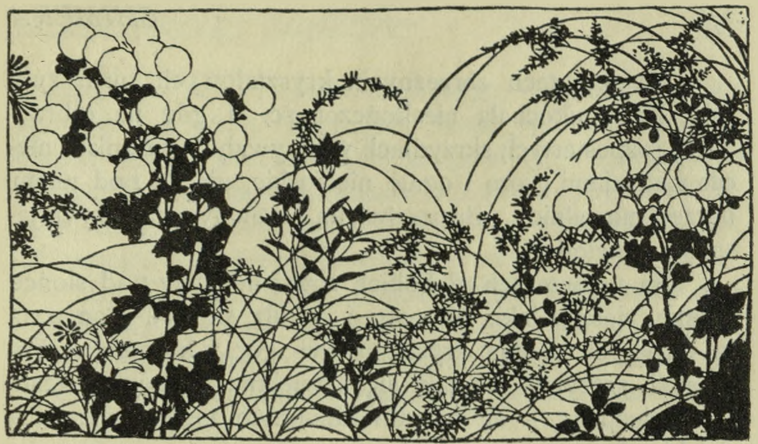
Sprośny i gruby — —

CHÓR. Dla naszego szczęścia, nie dla naszej zguby —
Hej!..

Ogólny taniec; król na przedzie w pląsach z Babką.



LECTOR
BENE-
VOLE,
VALE.



Z „PÓŁNOCNEJ GODZINY“.

I. GENEZIS.

Na oceanie — nieznanym, dalekim, nietkniętym myślą ludzką i głębokim jak niebo oceanie — tajemne moce wulkaniczne dźwignęły z łona ciemnej głębi nowy świat.

A świat ten był niepokalanie poczęty z niezmiernej tęsknoty i woli twórczej.

O kryształowe, zbrzeżne turnie biło wiekuiste morze. Od kryształowych, zbrzeżnych turni odstrzeliwało wiekuiste słońce. Zaś wokół drgała nieustanna światłość i melodya, promienista światłość i melodya, co przysłaniały oczom bogów ten świat, stworzony bez ich wiedzy i woli.

Na szczytach zbrzeżnych, kryształowych turni żyły orły, które ukochała nieskończoność. I gdy na olbrzymich, rozpostartych skrzydłach wylatywały w bezmiar, nieciła nad niemi grozę i ognie niebieskie, nieciła pod niemi burze i nawałnice. Burze światła i melodyi, nawałnice jasności i melodyi!

Na wybrzeżach głębokich zatok falowały pod słońce wonne, zielone łąki, falowały i chyliły się pod słońce aż ku stromym ścianom kryształowych gór, z których niedojrzanych szczytów staczały się z wielkim szumem spienione wodospady, — aż ku zabłękitnionym mgłą i tajemnicą dalekim borom.

I niewiadomo, zkąd zjawiały się czasem w zatokach dziwne okręty, do ludzkich niepodobne. Szły z melodyą i płynęły z falą. I niosły niepodobne ludzkim, a piękne do upojenia postacie, które podążały przez zielone łąki ku szumiącym wodospadom i myły w spienionej wodzie tułacze oczy, aby utracić pamięć zjawisk, widzianych w znikomości. A potem wracały jasne i zwiewne, jak lotne skry i błędne płomyki, na stojące w zatoce okręty. I znikało wszystko. I zostawało po nich tylko różne od światłości i różne od melodyi tchnienie, które mżyło nad łąkami, drgało otęczą nad wodospadami, unosiło się nad wodami, aż rozwiewało się w nieskończoności.

Po pniach odwiecznych dębów, paproci, lilij, cyprysów, palm, wielkoróżanych drzew, jodeł i cisów pięły się olbrzymie powoje i wysoko nad koronami puszcz rozchylały w słońcu ogromne, jak największe dzwony, z wiatrem kołyszące się kielichy. A w szafirowych cieniach gajów bujała, rosła i kwitła nieprzebrana gęstwa kwiatów; kwiatów, co były jak róże, a woniały jak fijołki, konwalij o zmiennych barwach złota i purpury, storczyków, w których gałęziach jakieś czarodziejskie ptactwo wiło sobie gniazda, złocieni, których pąki otwierały się z hukiem

głośniejszym od wystrzału działowego, — kwiatów, które śpiewały jak ptaki, zachodziły łzami jak oczy ludzkie, zrywały się do lotu i błyskały jak gwiazdy, — i wielu, wielu innych, stworzonych na podobieństwo rozchylonych pocałunkiem, świeżych ust dziewczęcych, a woni takiej, jaką jest pamięć najpiękniejszej chwili w życiu.

Ze złocistych łodyg ciemno-purpurowych malw osypywały się w rwące nurty rzek wielkie, jak największe muszle, płatki kwietne, które, płynąc z falą, wydawały się z daleka różanemi i świetlistemi, jak najpierwsza na cichem niebie jutrzenka.

Nad słonecznemi łęgami, nad niezgłębionemi jeziorami przelatywały istoty kształtu gdyby człowieka i błyskawicy, a cudne jak marzenie.

We wnętrzu kryształowych gór otwierały się nowe światy: podziemia przestrzenne jak największe krainy, pełne żywej, wonnej jasności, tryskającej i zlewającej się z przezroczystych sklepień na jeziora, rzeki i kaskady płynnych metali, na olbrzymie turnie różowych, czarnych i przejrzystych jak źródło dyamentów, na mieniące się i błyskające, jednolite, napłask rzucone zwierciadła szmaragdów, topazów, szafirów, agatów, opali oraz nieprzeliczonej mnogości różnych innych drogich kamieni, które zdaleka tęczowały nito pokrajane miedzami smugi ugorów i zagonów różnobarwnego zboża i ziela. Jasność drżała i promieniała nawet od kolumn ciemnego bazaltu, okwitających u góry lśniącemi kryształami ametystu, ułożonemi na kształt liścia akantu. Olbrzymie bryły malachitu przeświecały pod światło ciemną zielenią bezdennych mórz północnych.

A wśród oślepiającej cudowności tego podziemnego świata krzewiła się roślinność odmienna od rozwijającej się pod wolnem niebem, lecz niemniej piękna i niemniejszą bujna żywotnością. Zbocza skał dyamentowych po-

rastały lasy olbrzymich mchów, na podłożu z jednolitych płyt chryzolitu lub jakby przydymionego krzemienia wznosiły się gąszcze skrzypów, widłaków, porostów i grzybów. Na jeziorach i zaciszniejszych odnogach rzek płynnych kruszców chwiały się ponoszone falą wodorosty, szumiały sitowia i trzciny, rozkładały się szerokie koliste liście grzybienia, obok szkarłatnego, białego i złocistego, dyszącego stłumionym blaskiem fosforycznych wyziewów kwiecia jaskrów, skrzących się jaśniej od kręgu słonecznego, i srebrnych, płytkich czar lotosów, nalanych senną wonią.

Gdzieś z ziejących bezdni wirów oceanowych, na szafirowych, przymglonych tłach oddali, wybuchały w gwiaździste noce purpurowe kolumny ogniotrysków, smukłe u dołu, a rozszerzające się ku górze gdyby kielich kwiatu. Tryskały wzwyż, potem nagle przewężały się w połowie, jakby ujęte w poprzek olbrzymią ciemną dłonią, drżały przez chwilę na powietrzu nito spadające gwiazdy, zataczały płomieniste łuki, a wreszcie gasły i znikały, czyniąc na widnokręgu ciemność i zadumę nocy głębszą i tajniejszą.

I nigdy tam nie pożółkł ani jeden liść, nie zwiądł ani jeden kwiat, nie zeschło najdrobniejsze źdźbło trawy, nie rozsypał się kryształ i nie przygasł promień. — Przemiana treści i kształtu odbywała się niedostrzegalnie bez oznak rozkładu i śmierci. Nie było czasu dojrzewania i owocowania, nie było czasu przeżycia ni obumarcia. Nie było początku ni kresu i nie było przyczyny ni celu. We wszystkiem biło tętno wieczystej młodości, krasy i siły.

I był tam czar niezmiernej tajemnicy i niezmiernej oddali. I była moc i piękność niczem nietkniętej dziewiczości. I były tam rzeczy, dziwy, marzenia i myśli, które raz tylko jeden jawią się największym z ludzi w jasnościach snu, a nigdy w mrocznych godzinach czuwania. Były cudy, których nie zdoła uczynić wszechmoc boska,

ani nieśmiertelniejsza od bogów dusza ludzka. Było ciągłe objawienie nieskończoności, rozmiłowanej w przejasnej krasie i niespętanej twórczej potędze. Była we wszystkiem i wszystko było w niej.

A świat ten był niepokalanie poczęty z niezmiernej tęsknoty i woli twórczej, bez wiedzy i woli bogów.

II. W OGROJCU.

Ileż to razy marła mi dusza w twych unicestwiających uściskach i szedłem na dno z myślą o tobie, ciężko, bezwładnie, jak trup z ołowianą kulą u nogi! O, jakże często w głuchem podziemiu zapomnianego grobu twojego huczał wzgardliwy śmiech mój, bluźniąc twym prochom i pamięci twojej:

acz żałość wielka łkała mi w piersi, a dusza składała więzie swych najczarniejszych cyprysów na grobowca twego marmurową biel.

Precz odpędzałem ongi niewidzialne rybitwy kornych twych tęsknot, odtrącałem twe słodkie ramiona, co niewidzialnie niosły mi pieszczotę i upojenie. Oh, dumna wola ścinała myśli w anielstwa wyniosłego posągi! Chciałem być sam w łodzi mej tułaczej, co gore w ciemną noc na oceanie.

A wiesz ty, jakie mijałem wybrzeża, jakie lądy, jakie na szczytach złote ognie? Pomnisz złowieszcze czarodziejstwo snu?

Wypiłem płomię zimnych źrenic twoich, urosłem w falę, co w swym krysztale niesie z pod bieguna mistyczne łuny zorzy polarnej, by w blask roztajać i w złotogłowie południowych mórz. Sam sobie jestem wielką tajemnicą —

zda mi się niemal, iż opętałem serce gwiazd —

gwiazd mi nieznanych, tajnych, dalekich, a jednak odbitych w głębi fali mojej.

Na iluż to rozdrożach krzyżowałem bolesne tęsknot mych anioły!

Znam nudę świętości, błahość tryumfu, gorycz marzenia i wstręt, bezbrzeżny, wiecznie czujny wstręt. Pękł w mojej dłoni zawodny brzeszczot czynu. Niechaj nim walczą węże!

Jesteś najciemniejszym snem mojego życia. Odgadłem smętną twoją tajemnicę. Męką twej duszy było istnienie, a człowieczeństwo zniewagą. Byłem jej bratem za dni przedwcielenia, lotność jej orlą miłowałem i jej lwie godło. Więc ci tej skazy przebaczyć nie mogę. I nie zapomnę królewskości twej.

Dlaczego żaden nie ziścił się sen, dlaczego z żadnej zadumy nie rozokolił się step, jarzący się w sinej poświacie miesięcznej? nie wybuchnęły z pod ziemi hufy olbrzymie, idące naprzód z złotym chrzęstem zbrój?

Ogrójce moje zamknęły się za mną. Surowa, bujna ziemia dymi. W srebrnych opyłach czernieją cyprysy. Z oliw pobrzeżnych nad cichą wodę zwiesza się księżyc jak lampa złota. Żal mój jest gdyby dzika woń traw.

Na dalekościach wykwitły płomienie. Wracają moi! Wracają bracia! W swych lotnych łodziach mnogi wiozą łup:

z murów świątyni wydarte podwoje, posągi, księgi, klejnoty i zbroje, gołębie stado niewolniczych dziew! —

Módlmy się:

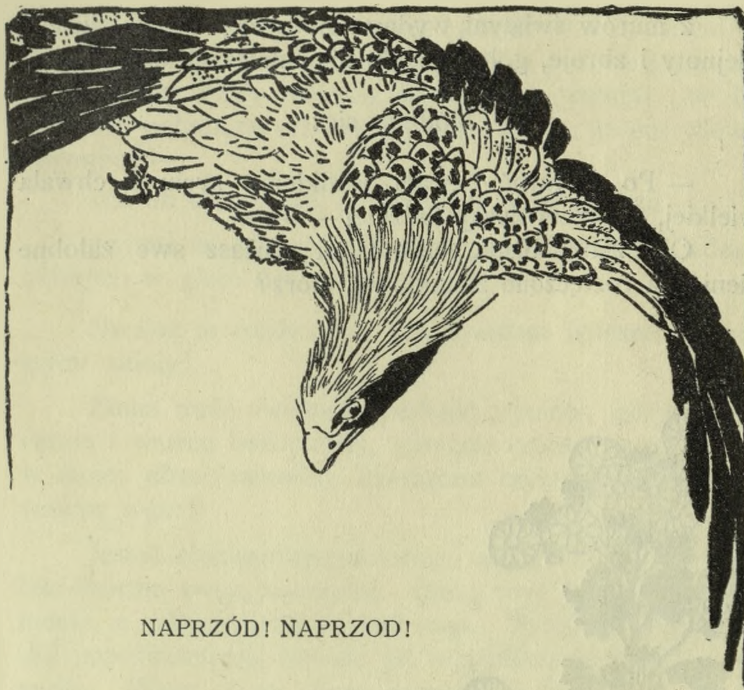
— Po trzykroć chwała wielkiemu życiu i chwała wielkiej, twórczej duszy ludzkiej — — —

Oh, zjawo blada, czemu mi rzucasz swe żałobne cienie na roztęczone złotogłowie mórz?



Stanisław Wyrzykowski.

Z UTWORÓW G. CARDUCCI'EGO.



NAPRZÓD! NAPRZOD!

I.

Naprzód, hej naprzód, rumaku poezyi burzliwy!
Niech w siodło ci skoczę, twej szorstkiej chwyciwszy się grzywy,
Biegunie dziki ty!
Dla nas — pył gonitw, wzruszenia, bój wichrów w przestrzeni,
Wód szumy gwałtowne a dumne, z rozbitych krzemieni
Pod kopytami skry.

Włoskie człapaki włos mają trefiony od młodu,
A miękkie gazony, ozdobne trawniki ogrodu —
Miejscem zapasów ich;
Tam to harcują w obliczu zalotnych kochanek,
W takt grzywa powiewa, w kwiat zdobna, wstąg wianek,
Wkrąg gędźba, radość, śmiéch;

Skoro zdaleka pył biegu naszego spostrzegą,
W łuk karki gną nędzne, stal gryzą munsztuka twardego
I — zda się — rżą nam: — Stój! —
Klacz, co drożyną się wlecze od kurzu zbielałą,
W czapraku, rzemieniach, kryjących kościste jej ciało,
Krok powstrzymuje swój.

I, wspominając wiek młody, stadniny tętenty,
Stajenkę swą ciepłą, żłób pełny, karm' z łąki nietkniętej,
Ze zgrozą widzi nas.
A my — za widmem miłości nieznanej — przez słońca,
Przez gwiazdy, etery — rycerze zaklęci — bez końca
Przez przestrzeń gnamy, czas.

Naprzód, hej naprzód, burzliwy rumaku, mój druhu!
Czy widzisz, paryjską białością na wzgórz tam łańcuchu
Jak stary błyska chram?
Widzisz, jak tam Andżeliki zasłona złotawą
Na niebie lśni chmurką? — O, witaj nam, sławo,
Wolności, witaj nam!

II.

W pierwszych mych latach, o sławo, już w serca głębinach mi wzrosła,
W dumnem, wyniosłem milczeniu, i miłość ku tobie wyniosła!
W laurów posępnej ozdobie wspaniały wysokich rząd czół
Z zimnych marmurów rozpalił mi w łonie rażący blask złoty —
I porzuciłem maj wonny, i dziewcząt tańczących pustoty,
I ich ramiona śnieżyste, po których włos płowy się snuł.

Wszystko, co wtedy tak łatwo młodzieńcze dawały mi lata,
Wszystko oddałem z zapałem za łzawy uragan trosk świata,
Za uściśnienie powietrzne przyszłości niepewnej mdłych mar.
O, ty, olbrzymi posągu bronzowy nad skałą spiętrzoną,
Wielcy snadź tylko dosięgną stóp twoich, na zimne twe łono
Złożą, znużeni, skroń zimną i życia już gorzki im dar.

Dziksze wszak, grzmiące porywy miłości i gniewu ludzkiego
W serca głębinie zażegły mi dwie te ostatnie, co strzegą
Świata, boginie: swoboda i słuszność — płomiennym swym tchem;
Śniłem, żem wieszczem-prorokiem er nowych italskiej krainy,

Strof mych, że w niebo aż grzmocą, jak miecze, płomienne drużyny,
Że uskrzydlone — jak pożar — po wszystkie granice mkną ziem.

Ach, lecz przy muskułach twardych czem mogą skrzydlate być rymy?
Z mieczem żelaznym w prawicy, jak burza, przez wrzawę i dymy
Rzuca się, tygrys szlachetny, w namiętny szał walk Desmoulins:
Gruz wnet — z Bastylii! A dalej, tam turze ot ramię Dantona
Śmie, o respubliko, tłuszczy narodów, co czeka spragniona,
Nagie okazać, o niepokalana, bez szat łono twe!

Dla nas daremne walk rzuty. Ty padłeś, o drogi Mameli,
Z modrą źrenicą utkwioną gdzieś w niebios rozwartej topieli,
Padłeś mi, druhu, od hymnów natchnionych w bój biegnąc; jak kwiat
W duszy ci śmiała się wiara młodzieńcza, gdy piękną swą głowę
Mrąc pochyliłeś na piersi w omdleniu, a trójkolorowe
Wiały chorągwie i Rzymu cień gwiezdny na czoło ci padł;

Lecz, zanim dusza ci z ciała uciekła, nad zbladłe twe czoło
Święta respublika ramię potężne ściągnęła, wokoło
Władzę objąwszy od słońca zachodu do Romula wzgórz! —
Ja zaś tyrana i raba wkrąg widzę, ofiarę i kata,
Czuję, nad głową jak lotnie pierzchliwe uchodzą mi lata:
— Co on tam śpiewa — szept słyszę —posępny ów złudzeń swych stróż?

Śpiewa i do snu kołysze żałosne widziadła swych marzeń,
Nie wie, co wstrząsa dziś światem, i nie dba o zmianę wydarzeń. —
Słuchaj mię, ludu Italii, coś życiem jest wszystkich mych dum,
Słuchaj mię, stary tytanie z zamarłą już dawnych lat sławą!
Podłość twą w twarz ci rzuciłem — — rozgłośnie odkrzyknął mi:
I w pogrzebowe me wiersze ustroił puhary swe tłum! [„Brawo!“

III.

Naprzód, hej, naprzód śpiesz, hymnów skrzydlaty rumaku!
W niepamięć los puszczę — na jazdy szalonej twej szlaku —
I dni posępnych ciąg.
Pomnisz, mój piękny biegunie, jak pierwsze twe skoki
Sokoły radośnie witały, wzlatując w obłoki,
Jak bawół ryczał z łąk?

Pomnisz te nagie wybrzeża toskańskich wód toni,

Gdzie ponad zasianą równiną pochmurnie się kłoni
Feudalnej wieży słup
I, ze swym cieniem podłużnym, z wyżyny przyległej
Grobowych snów strzeże miast w gruzach, co legły
W zaroślach u jej stóp?

Duszny sirocco tam dręczy figowce spragnione,
Co z ponad olbrzymich skał złomów, wieczyście zielone,
Chwieją się w tył i w przód;
Na te skaliska to kupcy tyrreńscy przed wieki
Drapali się śledzić fenickich bark żagle w dalekiej
Przestrzeni modrych wód.

A Populonię, Roselle, a stołb niedostępny
Ów Donoratycki — pamiętasz, gdzie hrabia posępny
Ugolin bił do bram,
Gdy, pod Meloryą straciwszy swą tarcz i sztandary,
Zdjął hełm tutaj z czoła, przed którem w otchłani Dant stary
Ze zgrozą zadrżał sam?

Dziś tam (o słodkie wspomnienie!) dąb wielki na straży
Nad mostem zwodzonym coś szemrze, a pod nim znów gwarzy
O hrabi łowiec rad;
W łunach szkarłatnych wieczoru nad wieżą niewierną
Zgłodniałe sokoły latają wciąż z wrzawą niezmierną,
Pies patrzy ku nim w ślad.

Tam ze mną rosłeś, płomienny rumaku mych pieśni,
A głaz pelazgijski, tyrreńska jaskinia w skał cieśni
Ołtarzem były nam;
W ciszę południa skwarnego grobową, tajemną,
Królowie, augurzy odwiecznych praojców mych ze mną
Rozhowor wiedli tam.

Tam-eś żył, koniu mój, ziarnem, co w glebę stuleci,
Przez konsulów rzymskich mieczami zoraną, w zamieci
Walk ciągłych, zamiat soch,
Dant rzucił, nowy ów kapłan etruski, by kwiecie
Ztąd maja trzeciego wykwitło na dziw w całym świecie,
Jedności święta Włoch!

Pośród walk z Niemcem i psalmów chrześciańskich, to ziarno
Przy pracy swobodnej rolnika nad skibą swą czarną
Wzrastało z dnia na dzień;
Kto się niem karmił, mój dzielny biegunie, potężne
Ma muskuły, nerwy i serce wytrwałe a mężne,
Szlachetnych pełne drgnień.

Skaczę więc, koniu Apolla, na grzbiet twój skrzydlaty
I wodze na kark ci porzucam, pędź choćby za światy,
Pędź, dzielne zwierzę, w cwał!
Depcz przeciwnikom w tym pędzie i łona, i głowy,
Aż zbroczysz kopyta w potworów tych krwi purpurowej — —
I dla nas wiosny szał,

Wiosny pagórków italskich, i kwiecia, i zboża,
Tej wiosny duchowej, gdy znów człek na uczuć bezdroża,
W myśli się rzuca las!
Lećmy, aż grom nas Jowisza dosięgnie w chmur łonie,
Oczyści i spali, lub potok spieniony pochłonie
Rumaka z jeźdźcem wraz,

Albo aż z siodła gwiezdnego sam zstąpię i, zorzę
Światłości i widzeń unosząc, do snu się położę
W toskańskiej ziemi w grób.
Wtedy przy brata mogile odpocznij pochmurny,
Skub liść koniczyny, co rośnie z antycznej tam urny
Na słońcu u jej stóp.

WSPOMNIENIA ZE SZKOŁY.

Był koniec czerwca, był czarownie piękny
Dzień messidora żyznego; weselnie
W objęciach słońca rozpłonęła ziemia.
Jak potok ognia lało słońce blaski
Na rozpaloną niebios toń; pod boskim
Jego uśmiechem i morze się śmiało.
Ja się nie śmiałem, dziecko: ksiądz posępny
Chrapliwym głosem bluźnił *amo, amas,*
A w twarzy jego znać było znudzenie.
Tymczasem w okno szkoły zaglądała

Zuchwale wiśnia i koralowemi
Błyskała wabnie w słońcu owocami,
Tajemne baśnie szeleszcząc z wietrzykiem.
Tu, zapomniawszy o księdzu, o długich
Czarnych kolumnach nudnych konjugacyj,
Co wyglądały na zżółkłej stronicy
Jak sznurki mrówek na glinie siwawej, —
Pełen pragnienia, puściłem za okno
Oczy i myśli, na góry, na niebo
I na błyszczącą w dali smugę morza.
Tysiącznych chórów ptasich harmonijne
Głosy mięszały się z światła powodzią.
Z rozśpiewanemi gniazdami ich stróże,
Prastare drzewa i młode krzewiny,
Zdały się gwarzyć, a pszczoły brzęczały,
Kwiaty wzdychały, śniąc o pocałunkach
Motyli; trawa i piasek złocisty
Tysiącem żywych roiły się istot
I drgały lekko pod tchnieniem miłości.
Jasne pagórki, w mgły owite góry,
Zbóż płowe łany, śród gajów i winnic
Płonących złotem sennie falujące,
Bór ciemny w dali, liście żywopłotów,
Bagno zielone, — wszystko w blaskach słońca
Zdało się święcić wieczną młodość swoją.
Nagle—sam nie wiem, w jaki sposób—z owej
Krynicy życia wytrysła mi w sercu
Przerażająca myśl o śmierci, z nią zaś
Myśl o bezkształtnej nadeszła nicości.
I naraz jąłem porównywać owo
Uczucie życia nieskończone z groźną
Martwotą: w czarnej widziałem już ziemi
Swe ciało nieme, zimne, nieruchome,
A tutaj ptaków słyszałem wesołe
Śpiewy, drzew gwary, rzek szumy przeciągłe
I radość żywych istot, które słońce
Boskiemi swemi oblewało blaski; —
I nagle-m pojął w całej pełni grozę
Śmierci i strach mię przejął rzeczywisty.
I jeszcze dzisiaj ta śmieszna dziecięcej
Fantazyi mara stoi mi w pamięci

I zawsze, niby strumień lodowatej
Wody, na sercu ołowiem mi ciąży.

IDYLLA MAREMMAŃSKA.

Z blaskami nowej wiosny, których rosa
Różana pada w mą izbę, — jak żywa
Wstajesz mi w sercu, Maryo złotowłosa;

A serce, w którem burz tylu ogniwa
Starły twój obraz, o pierwsza miłości
Moja, — przy tobie słodko odpoczywa.

Gdzie-ś ty? Bez ślubu, męża, w samotności
Nie żyjesz dotąd: pewnie wieś rodzona
Szczęścia ci, matce i żonie, zazdrości;

Toć kształtne boki i pierś utoczona
Rozkoszy nazbyt aż obiecywały
Mężowi, gdy cię przyciśnie do łona.

Dzieciaków pewnie wisiał rój tam cały,
Silnych, co teraz wskakują na konie
Dzikie, w twem oku szukając pochwały.

Jak piękna byłaś, dziewczę, gdyś przez błonie,
Śród falujących zbóż, wolnym szła krokiem
A z wieńcem kwiatów igrały twe dłonie!

Smukła, śmiejąca, z pod brwi ciemnych okiem,
W którem tęsknota namiętna się pali,
Spojrzałaś na mnie — błękitnem, głębokiem!

Jak modry chaber w kłosów płowej fali,
Tak mi to oko błysło lazurowe
Z twych złotych włosów: — przed tobą i dalej

Naokół skwary płonęły lipcowe;
Tu — owdzie — słońcem lśnił w liści gęstwinie
Kwiat granatowy, skry sypiąc różowe.

Gdyś przechodziła, jak na swą boginię
Patrzył paw piękny i ogon stuoczny
Otwierał, z krzykiem sunąc po drożynie.

Ach, jakiż odtąd mój żywot był mroczny,
Zimny i marny! O, było za żonę
Wziąć mi cię, Maryo, w tej dobie wyrocznej!

Lepiej bez drogi przez puszcze zamglone
Za pierzchającym gnać bawołem czarnym,
Który się kryje w zarośla zgęszczone,

Niźli się pocić nad wierszykiem marnym!
Lepiej zapomnieć w pracy tajń wszechświata,
Niż — by ją pojąć — uznać się niezdarnym!

Teraz czerw' myśli w głowie mi kołata,
Żre mózg — a jednak boleść wieści głucha,
Że to, co piszę, pisać — czasu strata.

Muskuły, serce zniszczył mi szał ducha,
Kości złamały społeczne niedole,
Szarpię się próżno i zrywam z łańcucha.

O wy, szumiące na wietrze topole
W alei długiej! Wiejska w cieniu ławo,
Gdzieśmy w niedzielę siadali w półkole!

Tu błoń zorana mieni się szarawo,
Tam wzgórz zielonych sznur, a owdzie morze
Z żaglami — w prawo cmentarz zrosły trawą!

O, błogo pędzić chwile w rozhoworze
Drużnym w południe, albo przy kominie
W wieczór zimowy, gdy wiatr dmie na dworze!

O, lepsza sława, gdy w wolnej godzinie
Maluję dzieciom prób ciężkich tysiące,
Trudów, zasadzek w górskiej rozpadlinie,

I, mówiąc, palcem wskazuję ziejące

Rany odyńca, co krwią broczy ziemię, —
Niż gdy w złośliwej satyrze zatrącę

Nędzne pismaków i świętoszków plemię!

WÓŁ.

Kocham cię, dobry wole; ty wlewasz mi w łono
Błogi spokój, uczucie potęgi pogodnej,
Czy to stoisz poważnie, jak posąg, z wpatrzoną
Źrenicą w niezmierzony pas pól wolny, płodny,

Czy też w jarzmie, pług ciągnąc, z głową pochyloną
Idziesz, miarkując krok swój z krokiem człeka zgodny:
On pogania cię, kłuje, — czemu cię skarcono,
Zdajesz się pytać, wzrok nań zwracając łagodny.

Z wilgotnych, czarnych nozdrzy twych, smugą w przezroczu
Widzialną, płynie oddech; jako pieśń wesoła,
Przeciągłe ryki w jasnem powietrzu gdzieś giną;

A w słodyczy poważnych, błękitnych twych oczu
Zwierciedli się ta wielka cisza, co dokoła
Nad zieloną bez granic króluje równiną.

ROZMOWY Z DRZEWAMI.

Co ocieniasz samotne skały i doliny,
Już cię nie kocham, dębie senny, zamyślony
Boś dał młodych gałązek zielone kończyny
Dla dzikich najezdników na wieńce, korony.

I za tobą nie tęsknię, nie wielbię cię, płonny,
Kłamny, hańbiący laurze, co — pośród równiny
Pustej zimą — podnosisz obcy strój zielony,
Lub liśćmi kryjesz rzymskich cezarów łysiny.

Kocham cię, łozo winna, co maisz stok szary

I, dojrzewając, uczysz w pogodzie słonecznej,
Jak troski życia topić w toni zapomnienia.

Ale więcej czczę jodłę: ta na schludne mary
Daje mi cztery deski, w których na sen wieczny
Spoczną burze mych myśli i próżne pragnienia.

PRZED URNĄ PERCY BYSSHE SHELLEYA.

Lalage, wiem, jaki sen ci w serca powstaje głębinie,
Wiem, jakie szczęście stracone błędna twa ściga źrenica.

Złudą jest chwila dzisiejsza; ledwie uderzy, już pierzchnie;
Tylko w przeszłości jest piękno, w śmierci jedynie jest prawda.

Stawia na górze stuleci Klio płomienna polotną
Stopę, i śpiewa, i dumne rozwiera skrzydła ku niebu.

Pod jej lotem przestwornym świat rozsłania, rozświeca
Swe cmentarzysko niezmierne, w twarz mu śmieje się słońce

Wieku nowego. O strofy, młodzieńczych lat moich myśli,
W kraj swoich dawnych miłości ulećcie teraz bezpiecznie;

Lećcie przez nieba, przez niebios wielką pogodę, gdzie piękny
Ostrów czarownie się jarzy w mórz tajemniczych odmęcie.

Wsparci na włóczniach tam Zygfryd i Achill, smukli i płowi,
Błądzą, śpiewy zawodząc, u morza grzmiącego wybrzeży.

Kwiat temu daje Ofelia, bladego rzuciwszy kochanka,
Do tamtego od obiat Ifigeneja przychodzi.

Śród zielonej dąbrowy Roland z Hektorem coś gwarzą,
Djamentami i złotem roziskrza się w słońcu Durandal.

Andromacha tymczasem do piersi ciśnie synaczka,
Piękna Alda, bez ruchu, na męża srogiego spogląda.

Lear długowłosy się zwierza z niedoli swej Edypowi,
Edyp okiem niepewnem wciąż jeszcze Sfinksa szuka.

Zbożna woła Kordelia: — „Biada, pójdź, Antygono,
Pójdź, siostrzyco ma grecka! Zwiastujmyż ojcom raz pokój!“

Mirtów cieniem w zadumie Helena przechodzi z Izoldą,
Zachód różany z uśmiechem przegląda się w złotych ich włosach.

Patrzy na fale Helena; Izoldzie otwiera objęcia
Marek, i płowa głowa na długą brodę mu spada.

W jaśni miesięcznej nad brzegiem ze szkocką stoi królową
Klitemnestra; śnieżyste nurzają się w morzu ramiona,

Cofa się morze wezbrane krwią gorącą: żałosny
Jęk nieszczęsnych rozbrzmiewa wzdłuż skalistego wybrzeża.

O, daleka od życia, od twardych prac śmiertelników,
Wyspo kobiet przecudnych, wyspo cnych bohaterów,

Wyspo poetów! Pianami śnieży się ocean wkoło,
Klucze ptaków nieznanych pod niebem latają płomiennem.

Trzęsąc laurami niezmierna przewala się w dal epopeja,
Niby wichura majowa nad wielkiem niw falowaniem.

Jako gdy Wagner potężny dusz nagle tysiąc rozpęta
W łonie dźwięczących metali, — serce w człowieczej drga piersi.

Ach, lecz na ostrów ten żaden nie wstąpił już z nowych poetów,
Ty chyba jeden, Shelleyu, duchu potężny tytana

W ciała dziewiczej postaci: z boskich objęć Tetydy
W lot cię porwał Sofokles i w chóry wwiódł bohaterów.

O serc serce, nad urną, co zimne twe kryje popioły,
Wonie, ciepło i blaski wiosna śle rozkwiecona.

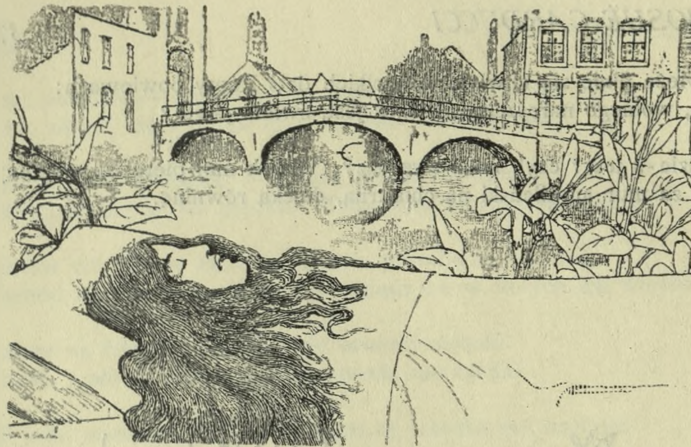
O serc serce! Promiennem — słońce, ojciec niebieski,
Miłowaniem cię tuli, biedne, nieme już serce.

Swieże pinie się chwieją w wielkich dziś Romy powiewach:
Ty, wolnego nareszcie, gdzieżeś jest, świata poeto?

Gdzie-ś jest? czyli mnie słyszysz? Wzrok mój pierzcha wilgotny
Po za mur aureliański na chmurną, daleką równinę.



PRZEŁOŻYŁ Miriam.



KARYATYDY STRĄCONE.

Przelotnym połuśmiechem zadowolenia i pogodnego współczucia witałem zawsze dwie Karyatydy, stojące u wejścia pewnego domu.

Majestatycznie i polotnie dźwigały na barkach swoich ociężały kamienny balkon, owiany kaskadą bluszczu i flirtujących bratków o cichem rozłzawionem wejrzeniu.

Kiedy rzeźwiące tchnienie poranne oskrzydliło ulicę, a blado-złote pasma wstającego słońca oprzędły attykę, gzemsy i festony, — żartki płomień ocknienia przenikał bronzowe ciała Karyatyd: — ich muskularne torsy, wyolbrzymione barki, zwarte, zastygłe w trudzie ramiona drgały tętnem życia i beznamiętną pogardą dla nieobarczonych.

Karyatydy nie mówiły wiele; czasem tylko zwiewny pośmiech wyginał prostolinijne usta, darząc strzałą kró-

lewskiego współczucia pierwodzienne uznojenie zamiataczy pracujących o świcie. Zresztą półsenne milczenie trzymało z lekka błękitny palec swój na ustach bogiń dźwigających, a w zagiętkach kamiennych szat zdawał się panować jeszcze niepodzielnie wysmukły cień o melancholijnie zazdrosnej twarzy. —

Ale war dnia robił swoje.

Po zwilgotnionych flizach chodnika przesunął się długi, apatycznie szary wąż robotników fabrycznych.

Z otwartych na ścieżaj bram wypełzły ciche, samotne postacie kupujących i spiesznie rozbiegły się na wsze strony...

Mijały chwile...

Na balkonie zjawił się jasny szlafroczek w śmiałe błękitne rzuty i jął podlewać półsenne kwiecie; woda spływała po rozchwianych na wietrze zielonych wstęgach pnączy, darząc przechodniów niewinnie filuternym dżdżem złoconym w przelocie. Karyatydy dobrotliwie poglądały na wesołe harce kwiecia, zefiru, roztęczonych kropel wody i na zdziwione twarze przechodniów, zagabniętych znienacka. —

Wtedy to Karyatydy rozpoczynały krótką rozmowę poranną.

— Ożywcze światło wlewa moc w kamienne żyły nasze, ale długo-rzęsy spoczynek, o matowej twarzy, nie złożył dotąd całunku ukojenia na czołach naszych.

— Zapewne poszedł tulić słabych, tęskniących...

— I... mniej wyniosłych.

— Pamiętasz, siostro, śmiałka, co chciał dotknąć ust twoich i piersi? —

— Pomnę: — nazywał siebie snem rozkoszy i rozmarzeniem wieczornem, lecz dążąc ku mnie, zwalił się, strzaskawszy głowę o kraj złomu, na którym stoję.... Chciałam wtedy skruszyć żelazne więzy, opierścieniające

mi ramiona, rozkiełznać wolę swoją i runąć razem z nim i z tymi, których dźwigam, — ale żal mi było ofiar nadaremnych, — zawarłam przeto miłość swą w nieogarnionem współczuciu serc spętanych i odtąd wyniośle pełnię dostojną służbę moją... —

W tej chwili rozciekawione milczenie zsunęło się nieznacznie po złotawo-szarej obrzeży muru i zbłękitnioną falą ciszy przesłoniło usta Karyatyd...

Naokół szeroką zwrotną wstęgą płynęło życie dnia. —

Rój ponętnie wonnych kobiet rozsypał się barwami opalu i migotliwą grą błyskotnych oczu rozpłomienił ulicę...

Wartkie tętno południa pulsowało śpieszniej... goręcej. —

Wreszcie, na szybkolotnym wozie nadbiegł senny upojeniem, rozkosznie omdlewający — Zenit: cicho wstrzymał rwące bieguny i — stanął. Wszystkie twory żywe zapatrzyły się w jego złotem lśniący wóz o pogodnej, leniwie rozkołysanej linii — i poczęły chciwie pić nektar sennego czaru oplatającego zmysły.

Nawet ruchliwe wszędobylskie cienie skurczyły się i ociężały pociesznie...

Na odchylonnych z lekka ustach Karyatyd przysiadł płochliwy, złotowłosy rozwiew szczęścia i — zastygł. —

Po chwil zabiegliwe skrętne życie dnia, znowu na długo weszło w prawa swoje...

Wieczorem — jakieś zbłąkane, rzeźwiące tchnienie pól ze zdziwienia zawisło w powietrzu. Bladawy rozblask księżyca szeroką smugą legł u stóp Karyatyd, tworząc niespodziane a subtelne kontrasty barw, ginących w otchłannej paszczy bramy —

Na balkonie bawiono się wesoło: — ciemna opaska

zieleni pieszczotliwie tuliła jasne postacie kobiet, harmonizując przedziwnie z falami srebrnego śmiechu i ponętnym szeptem rozbawionych. —

Tymczasem bronzowe, połyskliwe ciała Karyatyd tonęły prawie w granatowej czerni, bijącej od ścian i balkonu. Ich olbrzymiejące surowe kontury nabrały niezłomnej powagi i królewskiej mocy — NIEZASTĄPIONYCH.

Przez rozedrgane płochliwe fale śmiechu przedarł się szept bogiń.

— Prawda, siostro, że moc nasza pozwala nam gardzić tymi, co nie znają godzin trudu i uznojenia? —

— Albo raczej — litować się beztwórczej ich doli. —

...Dalsze słowa zwiał przelotny wietrzyk, szukający chwilowego spoczynku po tryumfach wieczoru...

Tak płynęły długie dni, miesiące i lata...

Aż przekorny traf zdarzył, że właściciel budowli, o której mowa, zachciał unowożytnić dom swój. Nie wiem, czy chodziło mu o pretekst do podwyższenia czynszów dzierżawnych, czy poprostu o uzewnętrznienie postępowej swej duszy — dość, że, nim minął tydzień, postawiono sztandary rusztowań, zasłano pomosty, i kilka dziesiątków par rąk jęło ucieleśniać sławetne myśli przerabiaczy.

Szczęk narzędzi, charkot rozbijanego muru, odgłosy przekleństw i nawoływań, tonących w obłokach pyłu i gruzu, — opierścieniły wszystko. —

Dopiero po kilku tygodniach zamętu i oczekiwania, z poza rusztowań i białych figur malarzy, lękliwie wyjrzały kształty nowe. —

Rozkiełzane, obłąkańcze linie pracowicie wymuszonej „secesyi“ rozpacznie wydzierały się z objęć pogodnego „odrodzenia“, tworząc bezkreśnie trwający rozdźwięk. ..

Karyatyd już nie było; zastąpiono je wspornikami anemicznej struktury, które, pod ciężarem kamiennego balkonu, zdawały się giąć ku ziemi i resztką sił przeraźliwie wzywać ratunku.

Nadeszła jesień. —

Wiatr ospale zwiewał jakiś zbłąkany liść, snujący się po bruku, gdy na podwórzu odświeżonego domostwa podjęto sponiewierane figury, by w imię modnego, utylitarnie estetycznego zwyczaju postawić je przy wejściu do jednej z oficyn. —

Ociężale i chmurnie wzniosły się dumne niegdyś głowy Karyatyd. — Ich obrzękłe od długoletnich trudów ramiona spotworniały widocznie w rozłamnym stanie bezczynu i poniżenia; — oliwkowe ciała nabrały zielono-zgniłych plam, rozpływających się w szarej, wyprzałej atmosferze poranka.

U poszczerbionych podstaw stanęło bezzębne osłupienie i bezczelnie-padalczym wzrokiem obnażało srom bogiń strąconych. —

Długo stały Karyatydy bez skargi... Ale żałosny bursztynowo-licy rozwiew jesienny kusił do zwierzeń. Jak duże krople łez spadających w kryształowe urny zapomnienia, potoczyły się słowa beznadziei:

— Bezsłoneczna moja!.. odjęli nam szczęście i krasę, jako ściętym drzewom koronę złoto-zielonych liści i ramion wzniesionych ku szczytom.

— I moc naszą wzięto również, — bo czemże jest ramię silne, konwulsyjnie dźwigające próżnię.

— Pod ciężarem nicości gną się potężne bary nasze, a wyniosłe czoła padają w pomrok i upodlenie.

— Wielką jest moc Beztreści...

— I życiozwalną...

I znowu spłynęła fala czasu nad głowami strąconych.

Podwórzowa społeczność poufaliła się z niemi szybko. Z początku poglądano na wyniosłe postacie ze wzgardliwie-nieśmiałem zdziwieniem; ale ktoś obrzucił je nazwą: „murowane panny“, i ten epitet, czy może czas poprostu, rozpętał palce natarczywości pospólnej.

Pewnego ranka na odchylonej nieco dłoni jednej z Karyatyd, półpijany woźnica powiesił zabłocony, przegniły łachman od czyszczenia kół i stopni powozu.

To ośmieliło innych: stróż za kamienną postacią począł chować miotłę, opierając ją niedbale o głowę bogini.

Niekiedy wieszano na niej jakiś pstry, wydeptany dywan dla przewietrzenia, — to znowu dziatwa podwórza obrzucała pogodną twarz bogini grudkami błotnej ziemi lub gruzu, ćwicząc celność oka i dłoni.

Czasem blady pośmiech słońca obwiesił szychem zdawkowego uznania — oplwaną błotem postać Karyatydy; lubieżnie gładząc jej biodra, spływał do kolan i niknął w fałdach szaty. Wtedy zbrukany łachman płonął rdzawym blaskiem, a godło ulicznego porządku, szeptem ociekających kropel brudu, gwarzyło nad uchem strąconej.

Na drugą los był „mniej łaskawy“.

Zrzadka jeno i z lekceważeniem muskały ją promienie słońca — stała chmurna i chłodu pełna. Nie wieszano na niej ścierek ani dywanów. Sąsiedztwo okna jakiejś pracowni chroniło głowę jej od błotnych pocisków i zwierzeń miotły ulicznej. Tylko któryś z synów stróża odwiedzał ją każdego ranka i wieczora, a niekiedy częściej. Wytropił on był, że część podstawy „murowanej panny“ daje się wyjmować i wkładać z powrotem bez trudu (wykruszono ją pewnie przy lekceważącem ustawianiu sponiewieranych kolosów). Wyjęty złom odsłaniał niewielką przestrzeń pustą, gdzie szczęśliwy odkrywca

począł chować najcenniejsze zabawki przed okiem zbyt natrętnych towarzyszy. Niebawem zjawiły się tam nadłamane kolorowe ołówki, skrawki zagadkowo pokreślonego papieru, kilku fantazyjnie wystrojonych żołnierzy, i jakaś szpilka od włosów, koloru krwi zaskrzepłej w złocie. — Wieczorem zabawki szły spać. Rano uchylały się ciężkie podwoje i z miniaturowej groty wyciągano je znowu na jaśnię. — Niekiedy przecie mijał dzień i mały posiadacz nie mógł zbliżyć się do swoich skarbów. Zabawki dąsały się nieco, gdyż nowa siedziba nie należała do wygodnych, zwłaszcza krwawo-złota szpilka sarkała mocno, tęskniąc za wonią i miękkością kruczych włosów, które tuliła niegdyś.

Ale skarby poczęły rosnąć: przybył jakiś świeżo podmalowany oficer papierowej armii i kilka szpulek z resztkami niezmotanego jedwabiu. W grocie miejsca zbrakło. Młodociany właściciel nie dał jednak za wygranę: chwycił ukradkiem żelazny pręt, wyłamany niegdyś z okratowań bramy, i jął zaciekle wypruwać okruchy nawpół zwietrzałej podstawy. Kaleczył sobie ręce, darł odzież, ale w trudzie grążył się dalej... Nie dostrzegł nawet, że nad bezruchem osmętniałego podwórza zwisły sine skrzydła burzy o nabrzmiałem łonie. —

Wreszcie Karyatyda usłyszała pogłos wątłych ciosów dziecięcych.

Drgnienia lęku i radosnego niepokoju rozfalowały jej pierś zastygłą.

Na zamarłe usta padł chwiejny szept osypującego się gruzu i zbudził je do życia.

Bogini strącona — przemówiła.

— Miedziana obręcz poniżenia wżera się w skroń moją i piersi... Gdy z półnagich bioder twych, siostro,

zsunie się wyuzdany refleks latarni i zajrzy mi w oczy — płonę wstydem!.. Ale noc moja zbliża się krokami wichru... Jeno żal mi ciebie — siostro!..

— Żal ten jest jak całunek księżyca: srebrny i — zimny; — a jednak, gdyby kark twój stał się giętszym i zwrotniejszym, dostrzegłabyś może, jak wieloramienne szczęście rozświetla czoła tym, co umieją „cierpieć pożytecznie“.

Odpowiedź zakrzepła na ustach Karyatydy, zasłuchanej w pogłosy dziecięcego oskarda. — Ale i one gasły omotane gędźbą wichru...

Wtedy zwiewnem skrzydłem dotknął czoła strąconej ów świetny sen rozkoszy, co niewykwitłą żądzą pełni pierś bogiń „zbyt wyniosłych“.

I minął szybko — jak skra.

W stalowo-sinych rozblaskach burzy znowu jawiła się postać Karyatydy, zestrzelonego wysiłku pełna: — zdawała się tężyć ramiona, przeć dziewiczą piersią do rzutu, grążyć w czyhającej u stóp otchłani...

Wreszcie runęła z wyży jak grom!..

Złowrogi bełkot wichru, pomieszany z krzykiem dziecka, zatonął w suchym grzechocie pękającego kolosu. —

Teraz burza miłośnie otwarła swoje łono: — strugi wodnego pyłu poczęły śpiesznie spłukiwać królewską purpurę krwi, przywarłą do złomów miażdżącego olbrzyma.

Kalekie, paralitycznie powyginane krzewy podwórzowego ogródka, lękliwie wychyliły z za krat brzemienne deszczowemi łzami okiście... Jedna z nich nawet, ulegając zapewne przelotnej namowie wiatru, — pieszczotliwie muskała czoło strąconej...

W końcu, chybkim lotem spóźnionego z rubinowych schodów oburzenia, zbiegł Zew doli przyszłej. Chciwie

począł zaplatać Karyatydowych czynów i tęsknic nić porwaną, motać ją na złotostrunne naczynie gędziebne, aby w godzinie zmierzchu mocarnie dźwignąć nizinną życia pieśń!..

Może wówczas śmigłe ramię Przeznaczenia ciosać zechce duchy podobne Karyatydom strąconym, a głodne fale Życia nie rozprzęgną już mocy, ani staną w poprzek złotemu czynowi NIEUGIĘTYCH...

Na drugie rano skwapliwie usunięto szczątki morderczyni. Ale i druga siostra - Karyatyda, „niewinna“, padła pod ciosami oprawców. Podobno niedowierzano jej... choć zdaje się, że po prostu psuła symetryę podwórzową, i to stało się przyczyną jej zagłady.



Zygmunt Zaleski.



K O S M O S.

SYMFONIA.

PROLOGOS.

... Wielki poemat kosmiczny niewyczytalnym,
bo treść przestrzeni — largo — niewyczuwalnem...
Zakończenie li ozdobne —
— gwiazd wielokropek widzimy...

STASIMON I. NA ZIEMI.

— Dzień —

CHOR I. Rozleję przed tobą wschodu taflę srebrzystą.
Zwierciadło ducha postawię.
I wchodzić w nie będziesz i będziesz takim,
jakim zwierciadło cię w siebie weźmie i odda mi.
Snopy strzał świetlnych — blasków — barw.
CHÓR II. By potem —
marzenia płynące tęczami baniek mydlanych

pękały na puklerzach piersi kobiecych.
By potem —
lot promieni, pędzący gwiazdy te zamarłe
rozbrzmiewać w seledynowe księżyce, —
był uwięziony i skuty w błyszczące pryzmaty
na puklerzach piersi kobiecych.
CHÓR I. By potem —
blaski pełgały po miękich przepastnych tłach futer —
walc, undulujący w głębokim przepychu
drogocennych materyj...

STROFA I.

Na oczach płonie mi
Ust twych czar — —
Ust drogich, ust twoich, szkarłatnych ust łona,
I fala uśmiechów rozwiana, zemdlona, —
Jak kwiaty słania się
Perfum żar. — —

CHÓR II. By potem —
łzy ściekające z mgieł — kamieniały w perły lamp
[elektrycznych — —
na placach, ulicach, fabrykach, teatrach —
By potem —
z blasków — cienie szły
od wiru tłumnego, pędu maszyn i bagnetów. —
[...bo jakże zresztą samemu Bogu przykro
jest, że do celów panharmonii naginać się
musi...]
By potem —
cienie szły, jak siła...

ANTISTROFA I.

Odgrodzona od nieba dymów łachmanami,
Grzmotem parowych młotów pierś moja pulsuje,
Dyszy hutniczych pieców krwawemi żarami, —
Dynamitowym jękiem rwę ziemię ranami,

Porozpruwane rany brudnym żużlem truję, — —
Dal wściekłemi ślepiami zgłębiam lokomotyw,
Nie dbam, że ginie wystrzelona
Iskra z krateru kampaona — — —

CHÓR I. Cień jest synem światła i materyi —
Jak dźwięk jest synem ciszy —
Zespół — cudem misteryi — — —

[... to rozmowa w poblizkim pokoju — jak łąka szumiąca pod wiatrem: gdzieniegdzie wystrzela złota dziewanna śmiechu, purpurowieje mak jaskrawego zapytania, brzękiem owadów snuje się lekkie preludyowanie — — a łąka szumi — — szumi...]

STROFA II.

Zespół a rozdźwięk — — duet:
SOPRAN. Złotem tężejące zorze — —
TENOR. Usta — sonet: z tezą antyteza
Łączy myśli o podwójnym prądzie — —
Jak łaskawe są one w uśmiechu,
Jak wzgardliwe, gdy gniew na nie siądzie.
SOPRAN. Wiosenne rzeczułki w puchach zieleni,
A w zórz tężejących złocieni —
TENOR. Usta — sonet.

CHÓR II. By potem —
cienie szły, jak ból...

ANTISTROFA II.

Ból tępy — —
... Majaczą mgielne płachty pól,
Szarość splamiona w krzaków kępy — —
Tępy ból — —
W łzach deszczu giną puszcz ostępy,
Ich jędrną czerń rozemglił król
Ból tępy.

A jednak duchem tętniący rytm jest jak rytm zegaru,
roztłukujący fale melodyi.

[...to jak głębokie podwórze o żółtej siatce muru, niby brudna klatka papugi z wędrownej menażeryi, — a w nie, jak codzienność, słota cieknie, — a w niem, jak wstydliwe marzenia o tęczowych puszczach, słaniają się anemiczne etiudy i nokturny...]

EPODOS.

CHÓR I. Obojętne krople deszczu o dniu apatycznym — —
CHÓR II. Ach! jakież straszne dramaty mienią się na skrzydłach [parawanu!
CHÓR I. Sine kwiaty liliowe, na podłożu krwistem — —
CHÓR II. Ach, jakież cudne kwiaty rosną na portyerach!
CHÓR I. Jak błękitne spojrzenie w purpurze uśmiechu, —
Jak żar, co świetlnie rozpylony po liściach
tężeje złoty
i obezwładnia się w cienie granatowe, —
Jak żar a dzień —
a lasów półzmrok, cień.

EPEISODION I.

Złote snopy jutrzenki mą Astarot zawaliły.
Znikła w ciemnej alkowie i nocy welonach.
Welon posowy
zakrył alkowy —
Na niebo wszedł Apollo-dzień
— — — — — — — — — — —
[Zalany krzykiem słonecznego blasku
Lepiej widziałem go w pełzaniu czarnych run.]
— — — — — — — — — — — —
Granat morza głęboki, acz słońcem opiły,
Chmur flotylla tak srebrna, acz tonie w lazurach,
Przez dzień cały cyprysy czerniały po górach,

Przez dzień ślepiła oczy wybrzeż żółta glina,
A ścieżki zwoje
jak węża zwoje
marzenia moje
w podwoje skryły
Astarte — —
W grozę skryły przed dniem — pod trójstraszliwą wartę:
Tyzyfony, Alekto, Megery — —
— — — — — — — — — — — — — —
Czekam, czekam ze wschodu nocnej gwiaździstej galery!

STASIMON II. KU NIEBU.

— Wieczór —

CHÓR I. Srebrzysta tafla zwierciadła spurpurowiała,
a drży barwami. —
Jest piękną jak róża w rozkwicie,
pełnym rozkwicie. —
Falowaniem się mieni,
drga w melodyi czerwieni
korona kwiatu.
CHÓR II. Przez drzew sznury widnokrężne
purpura pełznie.
Szarzeją w żarze skrzącego zachodu
dalekie góry — jak kupy popiołu.
A sine cielska chmur, gniotące piersi szczytów,
wpierające się w łona przepaści rozdarte,
trwają tak w akcie tej — idącej już — Astarte. — —
Nad borem tłami pochodów hordowych
fiolet grozy sunie.
Zimny — w głębinach zenitowych
kamieniejący granat. —
CHOR I. Falą nadpływa mdlejącą, rozwiewną,
w bezmiar rozlewa się niebiańskie largo.

STROFA I.

Spłynęła w zachód słoneczna perła,
Niebem zakwitła tęczowa koncha — —
Jakby pod berła wróżki skinieniem,
Niebo tęcz pyły na ziemię strząchа:
  Koncha drżeniem się mieni,
  Falowaniem się mieni,
  Drga w melodyi czerwieni,
  W ciszach bławatu, —
  Pełna różu, zieleni,
  W stu odcieniach złocieni,
  Seledynu, fioletu, szkarłatu — —

W bezmiar rozlewa się się niebiańskie largo,
Podpływa falą mdlejącą, rozwiewną, —
Śpiewną, — rzewną — —

I melodya mgielnych fal
rozpłakała się jeszcze łzami akordów,
deszczem akordów,
jak świetlną kaskadą drogich kamieni, rozsypujących się
[z zerwanego naszyjnika, —
kaskadą drogich kamieni,
staczających się w fałdy czarnego aksamitu sukni. — —

CHÓR II. Oto w nadpływającym zmierzchu majaczy jeszcze biel kobiecego karku w kłębach włosów czarnych — zasłaniających wązki pasek złota zachodu.
Oto w oknach gotyckich zamków — małpy, owiane melodyą, jednostajnemi ruchami zasłaniające senny błękit dalekich perspektyw.
Oto staranni, ryzykowni przemywacze szyb w oknach gotyckich zamków, — nienawidzący witraży [bo rozpryskują pejzaż w marzenie] — jednostajnemi ruchami zasłaniający senne błękity dalekich perspektyw. — —

Gdy tam:
W bezmiar rozlewa się niebieskie largo
I ginie falą mdlejącą —
Zamierającą, straszną płynie skargą
Dalą łkającą —

ANTISTROFA I.

Mglista godzino cichych rozczarowań,
Gdy rozpaczają myśli pośród rozstań
I krążą nakształt jeziora falowań —
O, nie odpływaj z mej duszy — pozostań
(Bolesna chwilo mglistych rozczarowań —)
Niebieskie largo — —

Już ginie w dalach, tonie w nieba łonie —
Przewiało — tylko wielkie cienie zmysłów
Pełzną — a każdy światy w siebie chłonie:
W mroku, w milczeniu — giń, ducha nie wysłów. —

CHÓR I. Hej! hen w zachody płyńmy — jak w purpurą jesienną
(broczący park,
Niechaj krwawemi liśćmi łkają nam pod stopy drzewa,
Niech na oczy, na gondole spływa ich czerwona ulewa, —
Miast potoku rzewnej pieśni, co spłynąćby miała z na-
(szych pięknych szkarłatnych warg.
W umierającym przepychu płyńmy (w milczeniu kró-
(lewskiem),
A drżące koronki gałęzi niech nam niebo zdobią sinym
(freskiem. —
Hej! hen w zachody płyńmy — jak w purpurą jesienną
(broczący park.

CHÓR II. Oto zachodu serenada —
błyszczy jak uszminkowana śpiewaczka,
a ona — jak barwny motyl — oplątaną jest w pajęczy-
(nach pijackich spojrzeń.
Pijackich spojrzeń —
— — jak drą one tabu
Sztuki-kobiety czaru i powabu.

Zmilknij i wstrzymaj na klawiszach dłonie,
Co jako para stęsknionych łabędzi
Błądzą po białej pianie klawiatury, —
Dostać się pragną w głąb'? w zaklęty zamek,
Gdzie na posłaniu strun spoczywa duch?
Twe białe ręce jak śnieżne łabędzie
Muskały pianę zlekka swemi pióry — —

Ponad wodami wicher niesie chmury
W szerokim, zimnym, pogardliwym pędzie —
On wzburzy-ć falę, uzmąci. — —

Zmilknij i wstrzymaj na klawiszach dłonie.
I w zmroku,
Niechwytna uchem, niewidzialna oku,
Pieśń o potędze szarości zawionie
Milczeniem.
— — Czarne kwiaty wmyślonych w siebie postaci,
omywane szarą mgłą melodyi —
Pasaże szeregów —
Czarne kwiaty postaci wtopione w długie szare go-
[dziny przygnębień,
co lodowaty ból myśli kroplą po kropli rozpryskują
[o serce —
Akordy grup —
[...i cichą jest głębia myśli, jak burzliwą
powierzchnia twarzy...]

CHÓR I. Ciszo płynącego zmroku,
Przeklętą bądź!
Boś się zrodziła:
Orkanem, gradem kamiennym w ogrodach kwiatowych,
Piorunem, miażdżącym sploty miłosnych uścisków,
Otchłanią wirów,
Pożarem świata,
Zachodem — —
Przeklętą bądź! —
CHÓR II. Wprzód, nim błogosławioną — —

STROFA II.

CHÓR I. Już we mnie cisza — kamienna pustynia,
Cała w ruinach poszarpanych skał,
Zżarta spiekotą milczenia.
Już we mnie cisza. — Gdzie chram dawniej stał
W kolumnach śnieżnych zachwycenia,
A święte źródło łez z pod stóp mu biło,

Strzaskany, zbity piorunową siłą,
Leży rumowisk zwał.

Już we mnie cisza — pustka z kresu w kres —
Rumowisk zwał zasypał źródło łez.
W ciszy pustynnej, kamiennej, bezkresnej,
Gdzie kształt się tylko ostrzem wirchów piętrzy,
Gdzie zdruzgotany czar w przepaściach legł strącony,
Gdzie w wydmy law skrzepł zachwyt najgorętszy,
W tej ciszy, ciężkiemi zgony
Mrze pieśń! — —

Z śmiertelnych klęsk
Rodzi się tęsk-....

CHÓR II. ... cicho — css — cicho — —
Nie zabijajmy słowem tego, co się rodzi.
Trwać — czekać — —
Oto pierwsza — oto gwiazda wschodzi,
Za nią korowód długi.
Trwać i czekać, aż głębie niebios przepaścistych
Skrysztalą się w tryszczący, świetlany gwiazd dystych,
W świetlany dystych bez słów,
W ulicę sfinksów - gwiazd — —
Wtedy — — rozdźwięczyć je z wieczystych snów — —

ANTISTROFA II.

Długa aleja — — drzemiący sfinksów rząd porfirowy.
Zbudźcie się! — idę z labiryntu sal,
Milczą tam runy ścian z za pajęczej posowy,
Krwawy krzyk bólu ściął się w słupów las kobaltowy,
Tylko wrzeciądzów jęczy rdzawa stal.

Cisza — w milczeniu sfinksy mnie wiodą oczyma
[Dziwnie się każdy uśmiecha].
Przeszedłem pylonów próg.
Ścięta w głaz piramida wspina swą myśl olbrzyma—
Skamieniały — zmarły Bóg. —
Cisza— milczeniem wspływa kształt obelisku ważki.

Hej! — a obudziż w was echa
Huk o was strzaskanej czaszki! —

EPODOS.

CHÓR I. I rozpaczają myśli pośród rozstań —
CHÓR II. Rozpacza ciało, klnie duszę — pozostań!
CHÓR I. I płyną chwile krwawych rozczarowań —
CHÓR II. Rozpłyną chwile w jeziornych kształt falowań.
CHÓR I i II. W bezmiar rozlewa się niebieskie largo,
A po niem pełzną fale - cienie zmysłów,
Pełzną ze skargą, — wskróś fal wionie largo,
Uleci w dal i w łonie nieb utonie.

EPEISODION II.

Tobie, płynącej ze wchodu w nocnej gwiaździstej galerze —
Astarte!
W stosie płonącym - zachodem w krwawej się spalam ofierze —
Astarte!
K' tobie w gwiazdy wznoszę treść — rwącego ducha potęgę —
A przeciężką ciała księgę
Na stos składam płomienisty, —
Niech wchłania za kartą kartę. — —

Oto zachodu zmarły ostatnie już jaśnie.
Krwią skrzy na przestwór gwiaździsty
Stos — co moim zachodem — co długo nie zgaśnie. —
Jędze - Trismegisty
Z księgi rwą za kartą kartę,
Niech ginie, —
W stos rzucają płomienisty —
Na wieki wieków — a ninie — — —

... niewymówione słowa, co rwąc się z warg jak ptaki śmiertelnie ranione zapadały w gąszcze duszy...
... niewylane łzy, co spalały się w oczach, w obłędnych przerażonych oczach, chłonących w swe głębie — nic...

Rwij zaciekle — zażarcie
Z księgi kartę po karcie,
Ty — w grozie nieprzejednana — Alekto. — —

Z zachodu mego widzę — pochodów pełzną żmije,
Poprzez wnętrza pierścieni ognistych
Poszum tłumów z dymnemi kłębami się wije.
Chórów słyszę gromady,
Szczękające jak szpady
W pogrzebowem, jęczącem requie...

Buchaj, ogniu — hucz, płomieniu!
W przemienieniu — w przetworzeniu
Bluzgaj w niebo swe łuny czerwone!

...a tych, co we mnie zmarli...
...słów mych szkielety, staczające się z chrzęstem z gór w przepaście...
Ty szarp — mścicielko mordu — Tysyphone. —

...rozpaczliwe, wściekłe obrony duszy przed gwałtami grzechu...
...kłamstwa w imię prawdy...
...kłamstwa w imię miłości...
...kłamstwa w imię szczęścia...
Twoje-ć są — pałająca zazdrością — Megero. —

Żarowi na pożarcie
Karta po karcie — — niech ginie
Na wieki wieków — a ninie. — — —

Płomień już w serce wgryzł się ciału-księdze —
Rwie je potworna zwierzęca chuć —
Szał stosu siny nakrywa dym.
A duch, przed dniem ukrywany przez jędze,
Wichorym lotem wspływa w swej potędze
W nieba objęcia rozwarte —
W gwiazdy — w ciebie — — Astarte! — —

EPILOGOS. W ZENICIE.

— Noc —

...I spłynął jak miriady światów,
W nieubłaganych kręgach, z zawrotną szybkością
Spłynął w noc wicher, gaszący blade gwiazdy...
...Blade gwiazdy...
...Twórcze, dziejowe tragedye Bogów,
rozszalałe pomniki ich cierpień,
z których na ziemię spływa tylko — cisza...
...Spłynął...

...I spływa tylko cisza z kosmosu przestrzeni,
Cisza cmentarza
Idei-Bogów, pomordowanych na ziemi...



Kazimierz Wroczyński.



Ostatni.

Słońce leciało nisko nad wodami, niby ptak zmęczony i z trudem wlekący za sobą skrzydła złociste, a spiętrzone wybrzeża, wyniosłe kępy drzew, dzikie wychlusty skał, rozwarte gardziele zatok, przygięte maszty, wieże kościołów i samotne menhiry, zdały się pochylać za niem i wyciągać błagalne ramiona jakby do powstrzymania — ale słońce, pobladłe, zmącone, trwożne jakieś, uciekało niepowstrzymanie, opadało coraz szybciej, bo górą, po zasępionem niebie, goniły szare, potworne kadłuby chmur — zabiegały od północy, pełzały groźnie od południa, płynęły nieprzeliczoną ciżbą od wschodu, sunęły trop w trop, i zwierając się w półkole goniły już zgrają zajadłą, jakby głodnem, rozwścieczonem stadem...

Mroczyło się chwilami, bo już niektóre wyrywały się naprzód i, skołtunione lotem szalonym a jak bydlęta spienione, rzucały się na oślep w rozżarzoną otchłań słońca...

Dzień zadrżał niepokojem, światem wionęła trwoga, wszystek głos zamarł, wszystko stworzenie dech przytaiło, ocean znieruchomiał na mgnienie, stała się cisza oczekiwań, cisza przerażenia,

że tylko szemrały wody cofające się bezwładnie w przepaście lęku i milczenia, tylko wśród skał, szczerzących czarne kły, ostatnie fale załkały, a długie szory pian czepiały się kamieni z żałosnym, konającym pluskiem.

Naraz, dzień zaczął się rozpadać.

Chmury dopadły słońca ze wszystkich stron i zwalając się na nie rwały je w strzępy ogniste, pożerały chciwie błotnistemi paszczami, że jakby zapadło się w brudnych gardzielach i zgasło.

Popielny, żałosny mrok posypał się na dzień oślepły.

Gdzieś, daleko, daleko, zahuczał posępny, głuchy grom.

A potem zawisło trupie, niezgłębione milczenie.

Na świecie stawało się coś niepojętego.

Jakieś Niewiadome szło ciężko po ołowianych wodach oceanu, aż lądy zadygotały, mewy porwane trwogą uciekały z gniazd skalnych i lękiem zaszemrały drzewa.

A z wioski rybackiej rozrzuconej nad zatoką, z wąskich uliczek, z granitowych domków, z białych dróg obrzeżonych pogiętemi dębami, wybiegały czarno odziane kobiety; klekotały saboty po granitach, chwiały się białe kornety i wstęgi wiewały za niemi; szły śpiesznie na urwisty brzeg oceanu, szły po dwie, po trzy, po cztery, jak krótkie spienione fale, co przed burzą lecą; na skałach nieruchomo stawały, a oczy ich niespokojnie błądziły po ołowianych wodach, a oczy ich trwożnie krążyły w posępnych mrokach, niby ptaki napróżno ziemi wypatrujące.

Ni jeden żagiel się nie ważył w szarej topieli, ni jedna smuga dymu się nie znaczyła, ni jeden plusk się nie łyskał w przestrzeni.

Tylko saboty wciąż klekotały; z wąskich uliczek, z granitowych domków, z białych dróg, wciąż wybiegały kobiety, szły po dwie, po trzy, po cztery, robiły pończochy i szły zapatrzone w dal szarą, szły śpiesznie, aż chwiały się kornety i białe wstęgi wiewały za niemi.

Pięły się po złomach na wyniosłą kupę skał, jakby ręką cyklopów zwaloną daleko w morze, aż pod wysmukłą kaplicę, która wyrastała z potrzaskanych złomów zastygłą, dziko spiętrzoną falą granitów, i patrzyły w pustkę oceanu, z lękiem nasłuchując groźnego milczenia.

A potem, siadły na brzegu urwistym, rzędem, jak żałobne, czarne ptaki z białemi głowami; robiły pończochy, druty migotały im w rękach, a niekiedy szept się zrywał z ust pobladłych — siedziały nieruchome, wpatrzone w ciche, nieprzejrzane dale, a dusze się ich nosiły po głębiach horyzontu, po przepaściach mrocznych

pustek krążyły, po ołowianych wodach szukały, wołając niememi głosami, wołając żałośnie.

Ni jeden żagiel się nie wychylał z głębin, ni jednym pluskiem wioseł nie odpowiadała cisza.

Jakieś niewiadome szło ciężko ku sercom strapionym.

Stawało się wokół coś niepojętego.

Oto niebo jakby się nagle rozpadło, szare, olbrzymie cielska chmur runęły z wysokości, jęły się walić na wody i ziemię potwornemi kłębami popiołów rozsypujących się w szare mgły.

Zerwała się nieprzeniknioną zamieć, zakłębił się niemy huragan kurzawy. W głuchem, bezdennem milczeniu szare, sypkie mgły zasypywały wszystek świat; podnosiły się z wód rozchwianym tumanem, z lądów ciągnęły kłębiącą się, szarą masą, z nieba, jakby z niewyczerpanych kraterów, buchały słupami bladych dymów, pełzały zwolna, wznosiły się, strzelały spienionemi fontannami, krzewiły się jak puszcza nieprzebyta i nieskończonością zarysów ledwie dojrzanych majacząca, rozlewały się coraz szerzej i płynęły wciąż, nieustannie, cichem, spienionem morzem szarości i smutku.

Kobiety zaczęły się skrzykiwać i błądząc w tumanach zbierały się pod kaplicą; tuliły się do ścian, przysiadały we drzwiach otwartych i nie przestając migotać drutami patrzyły we świat ślepnący z coraz większym niepokojem.

Już wieś utonęła w szarzyźnie, już najwyższe czuby dębów chwiały się nikłemi cieniami jakby z pod wody, menhiry stróżujące od prawieków na wybrzeżach były tylko majaczeniem, a ocean usuwał się zwolna w mętną głąb', przebłyskując jeszcze niekiedy z pod bielm, jak oko zasypiające, aż się zapadł w tumanach, aż się w końcu wszystko zapadło w szarą, sypką, nieprzeniknioną topiel.

Jakby zetlałe próchno starło się wszystko w proch i przepadło w bezdniach nicości.

Pod kaplicą zaszemrał niekiedy głos trwożny, czasem sabot uderzył, a chwilami skarżyło się żałośnie czyjeś szlochanie.

A potem szły długie, bolesne, ciężkie chwile milczenia.

Nagle, w tej śmiertelnej ciszy rozległ się jakiś dźwięk przenikliwy, jakiś dzwon zadzwonił gdzieś daleko, daleko.

— U świętej Anny dzwonią! — ktoś rzekł.

I zaraz odezwał się drugi dzwon, jakby z głębin wód się wynosił i błądząc wskróś mgieł wołał cicho, żałośnie, długo.

— To u świętego Filiberta, w Treguen dzwonią! —ktoś rzekł.

Potem trzeci zahuczał, jakiś górny, niebosiężny, jakby echem chórów anielskich spływał.

— To u świętej Zity dzwonią! —ktoś rzekł.

A potem odezwał się czwarty, i piąty, i dalsze, ledwie już dosłyszalne.

Co mgnienie nadpływał głos nowy, co mgnienie z innej strony podnosił się głos i śpiewał wraz jedną pieśń, że niekiedy już razem biły śpiżowym chórem na wszystek świat ogromnym, i na wszystek ocean, jak stado ptactwa, żałośnie rozełkanym.

Zaś niekiedy, chwilami, rwał się ten wtór zgodny, mącił, przycichał i rozbiegał, że tylko pojedyncze, samotne dźwięki, jak krzyki przerażenia, jak wołania tonących, jak płacze dzieci, błądziły pogubione w szarych, niezgłębionych otchłaniach.

Mgły, jakby podarte nieustannemi głosami dzwonów, jęły się miotać gwałtownie, stawały się poczerniałem i wrzącem mrowiskiem, a w zatopionych przestrzeniach plusnęły fale i ciężki, przyduszony oddech oceanu się wydarł. Ciepły wiatr zawiewał od lądów, przedzierał się cicho przez tumany, całował pieszczotliwie zapłakane oczy kobiet i uciekał trwożnie, przepadał w głuszy.

A dzwony wciąż wołały na pobłąkanych, wołały, jak matki strapione, głębokim, serdecznym głosem niepokojów, że już całe wybrzeże się rozjęczało śpiżowym szlochem, jakby cała ziemia błagała żałośnie ocean o zmiłowanie.

Kobiety w grobowem milczeniu wchodziły do kaplicy i we mgłach również nieprzeniknionych klękały po dwie, po trzy, po cztery.

Matka Boska, w granicie ciosana, we złocie cała i błękitach szat, siedziała z dzieciątkiem na niskim ołtarzu; jej wyciągnięta ręka, i twarz blada, i nieruchome oczy, ledwie widniały w rozpierzchłych brzaskach lampek płonących.

Klękały pokornie i chyląc czoła do ziemi pacierze szeptały gorące.

Jakaś dziewczyna, ująwszy za sznur zwisający tuż przed ołtarzem, zadzwoniła. Pochylała się wolno, rytmicznie, i wpatrzona w nieruchome święte oczy, dzwoniła na trwogę, dawała znak zabłąkanym na oceanie, wołała, że czuwają, że się trwożą, że płaczą.

Pacierze szemrały niby cichy i ciężki deszcz, rwały się niekiedy westchnienia, stłumione łkania się zatrzęsły, czasem jakieś ręce wyciągały się błagalnie, a dzwon szarpał się bezustannie i bił gorączkowo, jak te serca strwożone, a z przestrzeni zamglonej odpowiadały mu inne, dalekie i bliskie, jednakim, przeciągłym jękiem, jak te wszystkie serca, co tam gdzieś po wybrzeżach pustych, po

nędznych wioskach rybackich, po samotnych skałach, dygotały w trwodze śmiertelnej.

Kobiety przyczołgały się przed sam ołtarz i z udręczonych dusz wyrwał się błagalny, łzami przepojony śpiew:

Ave, ave, ave, Maria!
Les saints et les anges
En choeurs glorieux
Chantent vos louanges,
O reine des cieux!

U sznura zmieniały się kobiety, że dzwon nie milknął ani na chwilę, szarpał się bezustannie, łkał gorączkowo, błagał, a niekiedy jęczał boleśnie, jak te śpiewy wznoszące się z pod stóp Matki Boskiej, w serdecznym lamencie, jak te żałosne błagania:

Ave, ave, ave, Maria!
Soyez le refuge
Des pauvres pécheurs,
O mère du juge
Qui sonde les coeurs.

Ale łodzie nie wracały.

Już noc, słaniając się wśród wzburzonych topieli, rzucała na świat swój cień złowrogi. Poczerniałe mgły topniały, ściekając drobnym i zimnym deszczem. Niekiedy słychać było wiatr szarpiący drzewami, a niekiedy zawarczał groźnie ocean, ale potem cisza stawała się jeszcze głębszą, w której głosy dzwonów, bijących nieprzestannie, wznosiły się niby niebosiężne słupy dźwięków, wołające do Pana, a śpiewy kobiet, krwawe krzyki błagań rozpryskiwały się bez echa, jak kwilenie piskląt w nieskończonościach nocy i milczenia.

Długie, nieskończone godziny modliły się żarliwie, wpatrzone w nieruchome oczy Matki, już mdlały im dusze w niepokojach, gdy naraz ktoś zawołał:

— Światła na morzu!

Dzwon umilkł, pieśń się przerwała, wybiegły na wybrzeże i, czepiając się głazów, wżerały się oczami w ciemności.

Już gdzieś niedaleko, jakby na drodze do zatoki, zamigotały jakieś błyskotliwe roje, wynosząc się niekiedy na falach niedojrzanych płochliwą, nikłą fosforencyą i ginąc na nieskończenie długie chwile.

Kobiety przecierały zapłakane oczy i z zapartym oddechem, przykładając uszy do ziemi, łowiły chciwie dalekie jeszcze, ledwie odczute brzmienia głosów i pluski wioseł.

— Wracają! Wracają!

Wołania rzuciły się we mgły rozśpiewanem stadem głosów.

— Wracają! Dzwonić! Wchodzą między skały! Świateł!

Dzwon znowu zahuczał z kaplicy, a na wybrzeżu, w nieprzeniknionych tumanach, zatrzepotały kręgi brzasków, niby złote motyle, rozklekotały się saboty, buchnęła radosna, bezładna wrzawa, przekrzyki latały rozświegotanem, weselnem ptactwem, bo już coraz bliżej uderzały wiosła, smugi świateł wypełzały zwolna z głębin oślizgłemi ostrzami, a tuż za niemi wychylał się korowód mar jakby z mgieł i cieniów utkany, sznur łodzi majaczył coraz wyraźniej.

— Kto na przedzie? Kto? — pytały, zwisając nad oceanem.

— „Święta Barbara," — odpowiedziano z mgieł.

Kilka kobiet pędem wyrwało się do przystani.

— Wszyscy wracacie?

— Niewiadomo. Pogubiliśmy się we mgłach.

— Dobry był połów? Kto mówi?

— „Rosa Mystica".

— Kto płynie za wami?

— „Trzy gwiazdy".—Krzyżowały się wołania pomiędzy majakami a brzegiem. Kobiety, potykając się w ciemnościach, śpiesznie wracały do przystani, a korowód mglistych zarysów już wpływał do zatoki, wody bulgotały rozdzierane ostremi dziobami, wiosła biły rytmicznie, skrzypiały reje opuszczone.

I dzwony już milkły na wybrzeżach, co chwila w innej stronie zapadały się nagle dźwięki, noc głuchła, przez czarne mgły, ściekające coraz gęstszym deszczem, zaczęły się przewijać błyskawicowe mioty, światła niewidzialnych latarń wybiegały na ocean czuwającemi oczami, a w przystani było coraz ludniej i radośniej. Co chwila lądowano, co chwila jakaś łódź czarna wychlustywała na brzeg niby ryba i kładła się na boku. Wybrzeże zamrowiło się światłami, w których mgły chwiały się brudnemi strzępami, jak poszarpane mokre siecie; klekotały saboty, trzaskały drzwi, pryskały śmiechy i radosne krzyki powitań, co chwila jakaś gromada znikała w granitowych domkach, w wąskich uliczkach lub w przemglonych gardzielach dróg.

Tylko dzwon w kaplicy jeszcze wołał jękliwie, bo brakowało trzech łodzi, a gromadka kobiet czuwała na skałach.

Ale dwie z nich wróciły jeszcze przed północą, i gdy załoga, pozbierawszy siecie, szła ku domom, zastąpiła im drogę stara kobieta.

— Daleko jeszcze „Je cherche?“ — pytała cicho.

— Nie wiemy, matko. Zaraz po południu chwyciła nas mgła i wiatr, pogubiliśmy się. Może płynie za nami, może błądzi, a może czeka przy Syrenach, aż mgły opadną. Zły czas, na pełnem fala z dołu i krótki wiatr, a mgła tak dusi, że dopiero przy skałach dosłyszeliśmy dzwony. Ale niema obawy, powrócą rano. Dobranoc, matko Caradec.

Nie odezwała się, zapatrzona i wsłuchana w ocean.

Już dawno ucichło wybrzeże, już ostatnie kosze ryb wyniesiono z barek, już gdzieś ostatnie drzwi się zawarły, ostatni szynk zamknięto i ostatnie okno zagasło, a matka Caradec jeszcze czuwała.

Czekała na syna, na jego dumną „Je cherche“ czekała.

Noc zapadła głucha, ciemna i mokra. Mgły obtulały świat niby w czarne, przemiękłe całuny, po których lśniły niekiedy srebrne rzuty świateł dalekich. Ocean przewalał się ciężko w ciemnościach, wzbierały wody, słychać było, jak tłumne roje fal nadbiegały z głębin i rozpryskiwały się z jękiem o brzegi. Rozpoczynała się znów dzika, zawzięta walka z ziemią.

Rybacka wioska spała, granitowe domki usnęły, a wąskie uliczki i nieskończone drogi legły martwo na dnie ciemności.

Tylko w przemglonej, pustej kaplicy paliła się lampka jedyna, a z drżących, złotawych brzasków wychylała się widmowo sina twarz Matki Boskiej i patrzyły jej oczy nieruchome — patrzyły wskróś mgieł, wskróś całego świata.

I Matka Caradec siedziała w progu; przesuwając ziarna różańca, nasłuchiwała bełkotliwej gędźby oceanu.

Czekała cierpliwie na syna i na jego dumną „Je cherche“ —

Deszcz mżył nieustannie, trzepiąc ją po głowie z monotonnym, usypiającym szmerem, czasem fale przypływu pluły słoną, brudną śliną piany, ale ona nie czuła zimna, nie wiedziała, co się dokoła niej dzieje, pogrążona w modlitwie. Odmawiała różaniec, długo ważąc każde ziarno i każde słowo szepcąc z bezgraniczną miłością, bo tym pacierzem broniła się od trwóg i niepokojów, co jak ogniste węże okręcały jej serce duszącemi pierścieniami, że już niekiedy zapominała modlitwy, różaniec wypadał z palców, i niosła się wylękłemi oczyma w groźne, złowieszcze ciemności.

Syna tam szukała i znajdowała przerażenie, bo jakby z mgieł wyłonione otoczyły jej duszę przerażające widma przeszłości.

Zbudziły się w niej dawne, przebolesne, przeklęte chwile.

— Ulituj się nade mną, Matko miłosierdzia, — szeptała błagalnie, powracając w krąg złotawych brzasków i jak opuszczone pisklę

tuląc się z ufnością do stóp świętych. Chciała uciec od tych widm złowróżbnych, ale jak trupy wstawały z trumien zapomnienia dawne męki, rozpacze dawne, i przysłaniały wszelką nadzieję.

Bo tak samo, jak teraz, czekała kiedyś na męża; w tem samem miejscu, w taką samą okropną, przemgloną noc jesieni.

I nie powrócił.

— Matko pełna litości, zmiłuj się nade mną! — łkała rozpacznie. Nowe wspomnienie wypełzło z jam pamięci, korowód zmartwychwstających cierpień rozrywał jej serce.

Bo tak samo, tak samo czekała kiedyś na syna starszego, w straszliwą noc huraganów czekała, i u tych samych stóp świętych żebrała zmiłowania.

I nie powrócił.

Wichura nagłej, okropnej trwogi wyrwała ją z miejsca i rzuciła w proch, przed ołtarz, przed blade, ledwie dojrzane oblicze.

Nieruchome oczy patrzyły z brzasków złotawych, przeszywając ją nawskróś zimno i nieubłaganie, że porwała się z krzykiem szaleństwa i na wybrzeże uciekła. I błądząc wśród skał, potykając się w ciemnościach, długo krzyczała krzykiem rozpaczy, długo wołała syna i nieskończoność błagała o zmiłowanie.

Ocean pod czarnemi zwojami mgieł i nocy burzył się złowrogo, fale przypływu wynosiły się z głębin, chlustały coraz wyżej i bijąc o skały z hukiem waliły się w przepaście. Ocean już poczynał się miotać w swej dzikiej i ślepej mocy, hymn potęg straszliwych rozkrążał się w nieskończonościach, że ten głos umęczonej duszy matczynej był jakby szelestem opadającego liścia przy biciu piorunów, a jej łzy, jej rozpacze, jej nadzieje, cała męka człowieczego bytu ważyła niby pióro porwane huraganem, była kroplą, była drgnieniem przepadłem na wieki w chaosie, niczem była.

Matka Caradec, poczuwszy tę niemoc bezgraniczną, wsunęła się pokornie do kaplicy, ujęła za sznur i zatargała dzwonem z całych sił, ze wszystkich mocy nadziei.

Obłąkane rozpaczą oczy, oczy żebracze, oczy umierające wpiła w te święte nieruchome oczy, skomląc żałośnie:

— Powróć go! Powróć!

I dzwoniła zawzięcie, bezustannie, niestrudzenie.

A dzwon wołał głosem trwogi, wołał głosem rozpaczy, wołał tęsknotą oczekiwań, wołał żałośnie — jak to serce matczyne:

— niekiedy zrywał się gwałtownie i jakby w śmiertelnej gorączce krzyczał dziko i bezładnie, krzyczał, jak krzyczą tonący, miotał się w strasznym szale boleści — jak to serce matczyne;

— niekiedy, jakby z sił wyczerpany, płakał tylko, skarżąc się cicho, i wśród rozdzierających szlochów, wśród jęków, zanosił się bolesnym, wstrząsającym krzykiem — jak to serce matczyne;

— a niekiedy milknął zdrętwiały i dopiero po długiej chwili wybuchał potężnie, gniew nim targał, i nienawiść, i bunt ponosił, że bił groźnie w noc ślepą, jakby pięścią zaciśniętą, i przeklinał gromowym głosem krzywdy — jak to serce matczyne.

Dzwoniła jednak wciąż, ręce targały sznurem bezwiednie, grzbiet się zginał i prężył automatycznie, cała nadzieja wisiała u serca dzwonu i własnem, stężałem z bólu sercem w śpiż biła a oczyma przywarła w święte, nieruchome oczy.

Dzwoniła już nieprzytomna siebie, ale z coraz większą wiarą i ufnością, z coraz większą nadzieją, bo się jej zdawało, że ta kamienna ręka wyciąga się i obciera pieszczotliwie jej twarz zalaną łzami, co jak nieskończony sznur pereł toczyły się bezustannie, że te nieruchome oczy zalśniły się współczuciem, a te kamiennne, sine usta coś mówią do niej, że wyraźnie słyszy słodki głos miłosierdzia i litości.

I dzwoniła wciąż, bezustannie, w ekstatycznem upojeniu, nasłuchując tych szeptów świętych, co jakby chórem anielskim spływały do jej duszy niosąc ukojenie, i ciszę, i niezmierne, niewypowiedziane szczęście zapomnienia.

. . . .

Rano oderwano ją od sznura już bez zmysłów.

I zapadła się na wieki w tamtą noc straszliwą oczekiwań.

Zniknęła potem z wioski, mówiono nawet, że umarła, ale rybacy widywali ją nieraz na pustych, dzikich wybrzeżach oceanu, jak wpatrzona błędnie jakby w tamte, nieruchome oczy, szarpała próżnię rękoma, jakby wciąż dzwoniła, bijąc niestrudzenie w dzwon wiecznej, obłędnej nadziei...

Ale syn nie powrócił.

Wł. St. Reymont.



Z POEZYI OBCEJ.

Z poetów francuzkich i belgijskich. Przekłady Miriama.

MOJŻESZ.

Słońce rzucało jeszcze na namiotów szczyty
Długie skośne promienie, płomieniste świty,
Szerokie smugi złota, jak to zawsze czyni,
Nim do snu się ułoży śród piasków pustyni.
Kraj zdawał się roztapiać w złoto i purpurę.
Wstępując na jałową, smutną Nebo górę,
Mojżesz, ów człowiek boży, staje i bez pychy
Po wielkich widnokręgach wzrok przesuwa cichy.
I widzi naprzód Fasga w figowców koronie;
Potem, poza górami, oko jego tonie
W żyznych ziemicach Galaad, Efraim, Manasse,
Co swą na prawo odeń rozpostarły krasę;
Na południe do toni mórz zachodnich płowej
Legł wielką piasków ławą kraj Judy jałowy;

Dalej jeszcze, w dolinie skrytej w mroku fali,
W wieńcu gajów oliwnych spostrzega Neftali;
Na równinie, wspaniałych drzew kwieciem porosłej,
Widać białe Jerycho, gród to palm wyniosły;
A dalej, jak wzrok sięgnie, od płaszczyzn Betfegor
Gęste bory lentyszków ciągną się do Segor.
On widzi ten Chanaan, ziemię obiecaną,
Gdzie jego prochom — wie to — ledz nie będzie dano.
Widzi; dłoń nad swym ludem wyciąga potężną
I dalej znów pod górę stąpa niebosiężną.

Tymczasem, równie Moab okrywszy szeroko,
Cisnąc się pod stóp góry poświętną opoką,
Synowie Izraela burzyli się w dole,
Jak burzy się pod wichrem zboża gęste pole.
Od godziny, gdy rosa wilży złoto piasków
I na szczytach drzew wiesza perły pełne blasków,
Wódz, prorok ów stuletni, czczony, uwielbiany,
Mojżesz — odszedł, by z Panem rozmawiać nad Pany.
Śledzono okiem blaski, lśniące mu nad czołem,
A kiedy go ujrzano nad góry wierzchołem,
Gdy skroń jego przebiła chmury bożej łono,
Co wieńczyła szczyt góry błyskawic koroną,
Kadzidło zapłonęło na ołtarzach świętych,
I sześćkroć sto tysięcy Hebreów w proch zgiętych,
W ozłoconych przez słońce kłębach woni dymnej,
Śpiewało jednym głosem ubłagalne hymny,
A Lewici, górując ponad ludu morzem,
Jak smukłych las cyprysów nad piasków bezdrożem,
I wtórując na harfach głosów ludzkich fali,
Ku niebu Króla królów pieśni kierowali.

A Mojżesz stał przed Bogiem, powstrzymawszy kroku,
I twarz w twarz z nim rozmawiał w piorunnym obłoku.
I mówił tak do Pana: „Nie będę-ż miał końca?
Gdzież chcesz, by jeszcze noga poniosła mnie rwąca?
Czyż wiecznie tak żyć będę, samotny, choć silny?
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej.
Co-m ci uczynił, Panie, by być twym wybrańcem?
Wiodłem lud twój, gdzie chciałeś, i byłem mu szańcem.
Oto już stopa jego Chanaanu tyka.

Innego im i sobie wybierz pośrednika,
Niech kto inny rumaki kiełzna Izraela,
Przekażę mu swą księgę i rózgę mściciela.

„Czemuż ci trzeba było zniszczyć me nadzieje,
Czemu-ś mi wziął człowieka ciemnego koleje,
Czemu od góry Horeb aż do góry Nebo
Nie mogłem znaleźć grobu, co mi już potrzebą?
Niestety! wyniosłeś mię nad wszech mędrców ziemi!
Ma dłoń krokami ludu rządziła błędnemi.
Rzucałem deszcze ognia na króle i trony;
Potomność na kolanach uczci me zakony;
Z mogił ludzkich otwieram najstarsze mogiły,
I prochy, gdy chcę, wstają, by mi proroczyły,
Jestem wielki, pod stopą mam ludów mrowiska,
Dłoń moja pokolenia stwarza i w grób ciska. —
Niestety! jestem, Panie, samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej!

„Niestety! znam też wszystkie niebios tajemnice,
Potęgą ócz swych moją-ś napełnił źrenicę.
Na rozkaz mój, noc mroków rozdziera zawoje;
Me usta, według imion, gwiazd zliczyły roje,
I skoro, na firmament przyzwę którą gestem,
Każda śpieszy pokornie, mówiąc: „Oto jestem.“
Kładę obie me dłonie na chmur czarne czoła
I wysuszam w ich łonach źródła burz dokoła,
Skinę — i grody całe chłoną piasków fale;
Skrzydłami uraganów gór olbrzymy walę;
Ma noga nad przestrzenie silniejsza jest w drodze;
Wody rzek murem stają, kiedy ja przechodzę,
I olbrzymi głos morza milknie przed mym głosem.
Gdy lud praw potrzebuje, lub gnie się pod ciosem,
Wznoszę oczy ku niebu, duch twój mnie owiewa;
Ziemia chwieje się wówczas, słońce się zaćmiewa.
Anieli mi zazdroszczą, lecz gną się przed żywym,
A jednak ja, o Panie, nie jestem szczęśliwym;
Z twej woli-m się zestarzał samotny choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej.

„Od owej, gdy w pasterza duch twój wstąpił, chwili

Ludzie: „On nam jest obcy,“ pocichu gwarzyli
I spuszczali źrenice przed ogniem mych oczu,
Coś więcej, niż mą duszę, widząc w ich przezroczu.
Widziałem, jak schły źródła miłości, przyjaźni;
Dziewy się zasłaniały, lękając się kaźni.
Owinąwszy się tedy w obłok niedostępny,
Szedłem przed ludem smutny, sam w sławie posępnej,
I mówiłem do siebie: „Czegóż chcieć mi jeszcze?“
By śnić u łon, zbyt ciężkie czoło moje wieszcze,
Dłoń ma przeraża dłonie, których się dotyka,
Pioruny na mych ustach, w głosie burza dzika;
To też, zamiast mię kochać, lud z trwogą tajemną,
Gdy otwieram ramiona, pada w proch przede mną.
O Panie! żyłem długo samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej!“

A lud czekał — i w trwodze, że kaźń spadnie sroga,
Nie śmiał patrzeć na górę zazdrosnego Boga;
Bo, gdy tylko wzniósł oczy, skrajne czarne chmury
Drgały wnet, i zdwajał się grzmotów huk ponury,
I węże piorunowe, oślepiając oczy,
Wkrąg czół nakształt ognistych wiły się warkoczy.
Wkrótce szczyt góry wyjrzał, ale bez Mojżesza. —
Płakano go. — Ku ziemi obiecanej rzesza
Szła, a przed nią Jozue, blady, zadumany,
Bo już mężem wybranym był Pana nad pany.

A. de Vigny.

SEN KONDORA.

Ponad stromą wyżyną skalnych Kordylierów,
Nad mgłami, gdzie się ledwie orzeł zbłąka wzbity,
Wyżej nad pożłobione lejkowato szczyty,
Gdzie wrą law krwawe wary śród złowrogich szmerów,
Ze skrzydłami zwisłemi, które krew mu plami,
Ptak olbrzymi, zapadłszy w chmurne odrętwienie,
Milcząc na Amerykę patrzy, na przestrzenie
I na słońce, co smętnie mrze mu przed oczami.
Noc napływa od Wschodu, gdzie dzikie pampasy
U stóp gór wypiętrzonych bezkreśnie się szerzą;

Sieje senność na Chili, miasta, brzegi, lasy,
Na Pacyfik, widnokrąg z purpury rubieżą;
Zawładnęła już całym niemym kontynentem,
Piaski wzgórz, gór wąwozy przyodziała w kiry,
Teraz ze szczytu na szczyt, rosnącemi wiry,
Stąpa ciężkim przypływu ciemności odmętem.
On — jak widmo — samotny — na cypla koronie,
Skąpan w blaskach, któremi śniegi krwawią zorze,
Czeka na to złowieszczo wzbierające morze:
Ono zbliża się, wzdyma, w fali swej go chłonie.
Gdzieś — w otchłaniach bezdennych — na niebieskim sklepie
Krzyż Południa zapala gwiaździstą latarnię.
On zachrapał z rozkoszy, piór swych lasem trzepie,
Nagą, wygiętą szyję pręży muskularnie,
Zrywa się, chłoszcząc Andów śnieżyste opoki,
Z krzykiem głuchym się wzbija, gdzie wiatr nie dochodzi.
Zdala od czarnej kuli, od żywych powodzi,
Na rozpostartych skrzydłach śni w ciszy głębokiej.

IN EXCELSIS.

Potężniej, niźli orzeł, zwykły chmur mieszkaniec,
Ty, człowiecze, wzbijaj się, gdzie światłości sfera.
W dole — cichnie, maleje stary ziemi szaniec.

Wzbijaj się! Jasna przepaść lotom twym otwiera
Smagane słońca ogniem lazurów odmęty.
W dole — glob we mgłach szarych tonie, doumiera.

Wzbijaj się! Żar drga, blednie, strop nieb mrozem ścięty,
Zmrok ponury bezbrzeża w opończę swą mota.
Wzbijaj się, wzbijaj, zgub się w nocy niepoczętej:

Otchłań spokojna, czarna, bezkształtna niemota,
Rozemdlenie materyi w nicość doskonałe,
I niewypowiedzialna, zupełna ślepota.

Duchu! ty więc leć w światła jedynego chwałę,
Niech mrą w dole nikczemne pochodnie dawniejsze,
Ty leć, gdzie Źródło ognia wre i tryska całe.

Przez sny leć, przez marzenia, wciąż lepsze, piękniejsze!
By na Szczeble bez kresu drzeć się niezachwianie,
Depcz śpiące w grobach świętych bóstwa najmocniejsze!

Zrozumiałe się kończy, i oto konanie,
Wzgarda dla siebie, pomrok, zgryzota, co wierci,
I wściekłej rezygnacyi geniuszu otchłanie!

Światłości, gdzieżeś, gdzieżeś? Być może — aż w śmierci.

Leconte de Lisle.

KWIATY.

Ze złotośnieżnych chmur, któremi w pierwszy dzień
Stworzenia lazur lśnił, i z bieli gwiazd wieczystej
Utkałeś, Boże mój, kielichy wonnych tchnień
Dla nieznającej klęsk ziemi dziewiczo-czystej.

Kosaćce żółte niw z łabędzich wdziękiem szyj
I boski wawrzyn ów przez świat wygnanych duchów,
Różany jako dłoń Serafa w bieli swej,
Gdy ją zrumieni wstyd porannych złotych puchów.

Hyacynty słodkich barw, śnieżysty mirtu czar,
I różę, równą płci kobiecych ciał przezroczej,
Tę Herodyadę-kwiat, lejącą w ogród żar,
Którą codziennie krew promieniejąca broczy!

Tyś stworzył lilij biel, łkań pełną, smutku, łez,
Która, kołysząc się na smętnem westchnień morzu,
Przez lazurowe mgły, nad widnokręgów kres
Ku księżycowi mknie, co roni łzy w przestworzu.

Hozanna, Ojcze nasz, z kadzielnic, z dźwięków lir,
Za cudny ogród ten na naszych nędz padole!
Hozanna — echem brzmi mistyczny nocy kir,
Namiętny zachwyt ócz i światłość w nimbów kole!

Lecz, Ojcze, większy dzięk, żeś twórczym swoim tchem
Dał ziemi kielich ów czarodziejskiego kwiatu,

Co balsamiczną Śmierć ukrywa w łonie swem
Dla wieszczów, których już znużyło służyć światu.

OKNA.

Znużon smutkiem szpitala i kadzidłem wstrętnem,
Co bije śród banalnej firanek białości
Ku krzyżowi na murze nagim, obojętnym, —
Konający prostuje czasem stare kości,

Zwłóczy się i — nietyle, by rozgrzać swe padło,
Ile, by ujrzeć słońce na głazach — przyciska
Biały zarost i twarz swą kościstą, wybladłą,
Do szyb, gdzie blask wypala tęczowe zjawiska.

Usta wyschłe a żądne nieb, lazurów trunku,
Jak zamłodu wdychały skarb, świeżość dziewczęcą,
Zatłuszczają w przeciągłym, gorzkim pocałunku
Ciepłe i lśniące tafle z radością zwierzęcą.

Pjany, żyje, zapomniał o olejach świętych,
Lekach, kaszlu, zegarze, łożu w ciemnym kącie...
A gdy wieczór krwią zbroczy zręby dachów ściętych,
Oko jego, na sytym światłem horyzoncie,

Widzi galery złote, piękne jak łabędzie,
Śpiące cicho na rzece z purpur i wonności
I kołyszące lśniące swych linij krawędzie
W ogromnej, wspomnieniami brzemiennej gnuśności.

Tak ja, zdjęty niesmakiem, wstrętem do człowieka
Twardej duszy, co w szczęściu brodzi życie całe
I plugastwo rozkoszy zwiększyć się zacieka,
Aby je dać kobiecie karmiącej mu małe,

Pierzcham — i wszystkich okien czepiam się przebojem,
Gdzie tyłem się do życia staje, — i z zachwytem
W ich szybach, zmytych rosy wiekuistej zdrojem,
Nieskończoności czystym ozłoconych świtem,

Przeglądam się — i nagle widzę się aniołem!
Mrę i — czy szybą sztuka, czy mistyka — szczytnie
Odradzam się, w djademie marzenia nad czołem,
Pod jakiemś dawnem niebem, kędy Piękno kwitnie!

Lecz biada! Rzeczywistość jest panem: jej tchnienie
I w tem pewnem schronieniu ściga mię i plami,
A gdy Głupota rzygnie nieczyste swe rdzenie,
Muszę śpiesznie zatykać nos przed lazurami.

Niepodobna-ż, o moje Ja, co znasz gorycze,
Rozbić szkło, przez potworu zelżone wszeteczność,
I skrzydły bez piór wzbić się w sfery tajemnicze,
— Chociażby potem przyszło spadać całą wieczność?

St. Mallarmé.

(Z „LA BONNE CHANSON").

V.

Zanim, ranna gwiazdo blada,
Z lazurowych zejdziesz łąk,
— W cząbrach stada
Przepiórczane dzwonią wkrąg —

Zwróć ku piewcy, który oczy
Ma miłosnych pełne śnień,
— W nieb roztoczy
Już skowronek wita dzień —

Zwróć spojrzenie, co w jasności
Już się topi rannych zórz;
— O, radości
Pośród łanu złotych zbóż! —

Potem myślą zaświeć moją
W dali tam — oh, w dali, tak!
— Rosy stoją
Na źdźbłach sian, djamentów szlak —

W słodkie sny, pieszczące miętko
Drużkę mą, co jeszcze śpi...
— Prędko, prędko,
Bo już oto słońce lśni!

VI.

Biały sierp wązki
Wzeszedł nad bór;
Z każdej gałązki
Świegotów chór
Płynie gęstwiną...

O, ma dziewczyno!

Stawu tajemne
Lustro bez dna
Odbija ciemne
Wierzb sennych tła,
Gdzie wiatr wspomina...

Marzeń godzina.

Ogromna, tkliwa
Cichość i mir
Z szafirów spływa,
Z gwiaździstych lir
Słodko się chyli!..

O, czar tej chwili!

(Z „ROMANCES SANS PAROLES").

Łzy mżą na dnie serca,
Jak deszcz mży ponad miastem.
Cóż za ból się wwierca
Aż do głębi serca?

O, słodki szelest deszczu
Na ziemi, na dachach!

Dla serca w męki dreszczu —
O, ten miękki śpiew deszczu!

Łzy mżą bez przyczyny
W sercu, które się dręczy.
Co? żadnej zdrady, winy?
Ten żal — bez przyczyny.

Najgorsza to z żałości,
Gdy się nie wie, dla czego...
Bez złości, bez miłości,
Serce w takiej żałości!

(„Z SAGESSE“).

Nieba widać, przez dachu kąt,
Modrość i ciszę.
Drzewo jakieś, przez dachu kąt,
Liście kołysze.

Dzwonek w niebie, widocznem ztąd,
Dzwoni cichutki,
Ptak na drzewie, widocznem ztąd,
Śpiewa swe smutki.

Boże, Boże, życie jest tam,
Proste, spokojne.
Ten łagodny pogwar ot tam
To miasto rojne.

Cóżeś zrobił, ty, co, tak sam,
Szlochasz w żałości,
Cóżeś zrobił, ty, co-ś tak sam,
Ze swej młodości?

P. Verlaine.

NA MORZU.

Z pokładu statku, w bryzgach pian,
Gdzie fala łasząc się rozpływa,

Jak pereł błyski błyskotliwa,
Na wieczny morza patrzę tan.

W dal fala mknie, w fali się żali
Coś jakby sen łkających wód,
Prócz wód nic jednak w tył i w przód,
I słucham fali łkań w odali.

Cudowna rzecz te we mgłach tła,
Widnokrąg chmur i burz bezdroże!
Godzina druga z rana gra;
Piosnkę na fletni, kotku-morze!

Piosnkę na fletni czystą, miękką,
Jak całująca statek fala;
Pod świt, co w dali się rozpala,
Piosnkę na fletni cichuteńką.

Wszystkim leżącym w tej otchłani,
Jedzonym przez wesołe rybki,
By tan zatoczyć mogli chybki,
Jedną z mych drobnych piosnek w dani!

Rzecz niewydana. W przyszły zbiór
Włożę ją z pieczą niewygasłą.
Dziś ten sardelom święcę twór,
Niech go przerobią na swe masło.

Cudowna rzecz te we mgłach tła,
Widnokrąg chmur i burz bezdroże!
Godzina druga zrana gra — —
Rzuciłem fletnię swą w morze.

M. Waller.

DO KAMILA LEMMONNIER.

Twa sława jak te wielkie zda mi się okręty,
Które — dumnych zdobywców magnetyczne tchnienie
Gnało na Atlantyków dziewicze bezdenie,
Ku wyspom złotym z baśni, w oddali zaklętej.

Wychodzono pod żagle, kiedy firmamenty,
Spłomienione w zachodów prorocze czerwienie,
Hojnie zlewają bogactw mistycznych olśnienie
W głąb' piersi marynarza dumnym szałem wzdętej.

A ludzie, którzy w porcie wylegli na brzegi,
Patrzyli, jak grążyły się masztów szeregi,
Niby senne widziadła, w horyzonty lśniące;

I w ich ciemnych mózgowiach, u schyłku żywota,
Wytryskała wciąż jeszcze czarodziejska, złota
Wizya czarnych korabi, co wpłynęły w słońce.

A. Giraud.

PIOSNKA MISTYCZNA.

Nowe-ż to jakieś słońce
Lśni w modrym niebios progu?
Wszystko jest młode, skrzące,
Wszystko się budzi w Bogu.

Hozanna! jak ognista
Róża, świat się otwiera.
Oto istota czysta,
W cień uszła zjawisk sfera.

Rozumu po cóż drgnienia
Ze zmysłów mdłą koleją?
Nic nie ma już imienia
I rzeczy nie istnieją.

Czas znikł i przestrzeń znikła,
Świat przyczyn znikł! O myśli,
Mrze pamięć twoja nikła,
Moc twoją przeszłość kreśli.

Bez pragnień, bez wyglądań
Poję się prawd jasnością.

Zbyłem się chceń, pożądań,
Ja jestem sam wiecznością.

I. Gilkin.

PIOSNKA.

— Zapaliliście w izbie lampy...
O, jak w ogrodzie słońce lśni!
Zapaliliście w izbie lampy;
Ja widzę słońca blask przez szpary,
Otwórzcie do ogrodu drzwi! —

— — Klucze ode drzwi gdzieś zginęły;
Trzeba nam czekać, trzeba czekać! — —
— Z wieży spadają klucze trzy! —
— — Trzeba nam czekać, trzeba czekać.
Trzeba nam czekać innych dni.

Dni innych ciąg te drzwi otworzy;
Zazdrośnie rygli strzeże las. — —
— Las cały płonie wkoło nas! —
— — To zgniłe liście blaskiem zorzy
U domu płoną tak przedproży. — —

— Dni inne również są znużone;
Dni inne czują strach, jak my;
Nie przyjdą inne dni pragnione;
Dni inne umrą też, jak my;
My też umrzemy w ciemni tej... —

M. Maeterlinck.

PIOSNKA.

W złocistej barce ze Wchodu
Wracały trzy młode dziewy,
Trzy młode dziewy ze Wchodu
Wracały w barce złocistej.

I ona z nich kruczowłosa,

Co barki trzymała ster,
Na drobnych ustach o róż wonnem tchnieniu
Wiozła nam dziwne historye —
W milczeniu.

A ona znów ciemnowłosa,
Co w dłoni miała zasłonę,
A u stóp — skrzydeł łabędzie białości,
Wiozła nam ruchy anielskie —
W swej nieruchomości.

Lecz ta z jasnemi włosy,
Co spała na łodzi przodzie,
I której w wodę złote spadły kosy,
Jak brzaski złote o wschodzie,
Wiozła — za powiek ukryte przepaski —
Światłości blaski.

Ch. Van Lerberghe.

Z poetów włoskich. Przekłady Anny Bronisławskiej.

POTOK ŻYCIA.

Była cicha, słodka, przejrzysta
ugwiaździona cała wokoło
ta noc, którą zapamiętało
smutne serce moje na wieki.
Oh, ileż łez, od dawna, dawna
nagromadzonych i zastygłych,
odtajało i popłynęło
po mej twarzy deszczem rzęsistym
podczas trwania tej smutnej nocy!..
Nad baryerą starego mostu
pochylony, stałem w bezruchu

z twarzą w dłonie ujętą obie
i śledziłem na niebie Plejady,
i gwiazdozbiory Oriona,
i spokojny księżyc, płynący
w uciszeniu wielkiem, przez tonie
lazurowych ciepłych przestworów
nieskończenia. I bez przestanku,
bez wytchnienia, bez odpoczynku
popod mostem płynęły ciemne,
szybkie, wielkie, złowrogie fale.
A ogromne drzewa, stojące
ponad brzegiem, rzucały cienie
czarne, długie, co się łamały
na pośpiesznie pędzących wodach.
Nieustanne fal tych lamenty
zdały mi się ludzkiem szlochaniem
i echami tłumionych jęków
mego serca, co, bijąc silnie,
odpowiadało myślom moim.

. . . .

Potem, z twarzą w dół pochyloną
ku tym falom nieukojonym,
patrząc na ich ciągłe przypływy
nieruchomem i tęsknem okiem,
zatraciłem pamięć o sobie.
I widziałem w nich obraz żywy
nieustannego żeglowania
istot ludzkich, śpieszących tłumnie
ku przystani, co wszystko chłonie.
I dumałem, dumałem długo
nad pochodem nieustającym
starców siwych i umęczonych,
młodych, pięknych kobiet i dzieci,
co przechodzą jedni po drugich,
dążąc poprzez kalwaryę życia
do przystani — otchłani — Śmierci.

. . . .

Każda fala ma głos swój własny,
każda dusza ma jęk swój własny.
Jako organy, co ogromny,
tum wypełniają aż po brzegi

wezbraną rzeką rozpłakanych,
żałobnych tonów, gdy pośrodku
katafalk stoi w kirze cały,
tak pogrzebowe chóry ludzi
przyrodę całą napełniają
lamentami nieustannemi.
I niezliczony tłum nędzarzy,
trawionych głodem i chorobą,
co głowy gdzie nie mają złożyć
w grudniowe noce, tłumy starców
odzianych w strzępy, chudych, sinych,
płyną i płaczą. Płacze, płynąc,
ogromna rzeka, powódź cała
posępnych, bladych robotników,
co życie całe zmarnowali
wśród huku maszyn i kół zgrzytu
dla kęsa chleba powszedniego.
Gdzieniegdzie, przez łzy uśmiechnięci,
z oczyma we Wschód utkwionemi
z tęsknotą, — snują się poeci.
Tłum niezliczony, nieprzebrane
łzy! Słychać jęki i szlochania,
krzyk bojowy i płacz pokorny,
przeplatany cichą modlitwą.
Chorał olbrzymi, płacz odwieczny,
gorzki jak wody Oceanu
i jak Ocean wiekuisty.

E. Nencioni.

KLIMENA.

Za czasu dożów, w tej bujnej zieleni
migały z brzękiem po drzewach nożyce,
dziś drzew gałęzie zaplotły ulice,
w dzień długi słychać tylko brzęk szerszeni.

Milczą fontanny, co kiedyś tak świetnie
różnobarwnemi wodami tryskały,
tylko szerszeni i świerszczów chorały
ochrypłe, słychać dziś w wieczory letnie.

Porost oplata Trytonowi skronie,
zielonozłote mchy konchę zatkały,
Neptun bez ramion patrzy osowiały
na swoje zbiegłe nieruchome konie.

Wzdłuż balustrady zniszczone posągi,
a między niemi puste urny duże
antycznej formy, w których kwitły róże —
ręką staranną hodowane — ongi.

Lśnią w cieniu gładkie liście bukszpanowe,
świątynia dumań zdaleka bieleje,
śniąc dożów świetność i miłosne dzieje,
wspomina może niejedną rozmowę.

Ale czyż to jest świątynia marzenia,
co tam się bieli? Słyszę lekkie kroki
w alei. Spokój dokoła głęboki,
słychaj najlżejsze listków poruszenia.

Jakaś istota zwiedza to ustronie
samotnie... Z jakiej tu wyszła mogiły?
jakie ją znowu losy zawróciły
do życia? Czemu słania się i płonie?

Nadchodzi, strojna w szaty atłasowe,
antyczne, białe w fijołkowe pręgi,
wielki kapelusz z szerokiemi wstęgi
ocienia lice jej bladoróżowe.

Oczy podłużne, jasne jak topazy,
świecą się łzami powstrzymywanemi:
księżyc nie świeci tak łagodnie ziemi,
gdy się zasłoni mgłą obłocznej gazy.

Falują ciemne wstęgi kapelusza,
sypią się iskry z złotego warkocza.
Nadchodzi. Zda się, do tego ubocza
spragniona wspomnień pociąga ją dusza.

Przystaje czasem i szepce: Alceście...

Z bladym uśmiechem spogląda na kwiaty.
Chrzęści liść, rąbka uczepiony szaty,
i słychać słowa w tym cichym szeleście:

„Czyż to nie wczoraj? Nie wczoraj to było?
Róże dla niego woń miały mych loków...
Gdzie on? Gdzie Alcest mój? Nie słyszę kroków...
Jam jest Klimena. Tak. Wczoraj to było.“

DOBRA NOWINA.

„A latorózgi nowe, co puściły
moc drobnych listków? a wielkie niebiosy?
a groby ojców? a dziecięce głosy?
a matka twoja? a dom sercu miły?..“

O, jak to dobrze słyszeć takie słowa!
Siostro, więc w lasach, ogrodach i wszędy
nowe, wiosenne wybujały pędy
i drobne listki złocą się? Perłowa

rosa lśni, siostro? i chwytasz ją w rękę?
Prawda!.. to wszystko takie wzruszające...
I serce matki koiłaś płaczące,
śpiewając o kimś dalekim piosenkę?

Niechaj nie płacze. Ten syn upragniony
wróci do domu. Kłamstwa go znużyły.
Wróci. I nigdy nie będzie miał siły
odjechać znowu. Zbyt jest opuszczony.

Chcesz, siostro? Jutro już będzie z powrotem
nazawsze. A więc czekaj mię, o miła.
Niech się napatrzę, jak wiosna okryła
drzewa i krzewy zielenią i złotem.

Na wody wartkie, na te dnie przejrzyste,
na błękit jakby przepojony mlekiem,
na zmierzchy z cichem wzdychaniem dalekiem,
na noce wielką ciszą uroczyste:

niech się napatrzę, nacieszę, napatrzę!
Ale niech będę sam z wami, jedyne.
Tylko w twe modre oczy i w matczyne
oczy niech wierzę, niech się w nich obaczę.

O, niech powitam z dziecięcym zachwytem
drzewa i krzewy. Niech wszystkie pragnienia
usną. Dziś wielka dobroć mi odmienia
serce, wszelakim znużone przesytem.

Dobroć, od której dusza zolbrzymiała
w bezmiar... — Więc powiedz, w ogrodach i wszędy
nowe wiosenne wybujały pędy?
I listki drobne lśnią? i tyś śpiewała?..

G. d'Annunzio.

CYTRA ACHILLESA.

I.

Króle i rycerze achejscy, w śpiż zakuci,
sługi, wszyscy mocno zasnęli, zwyciężeni
snem roskosznym, a ich rumaki, uwolnione
od ciężaru, stały do wozów przywiązane
i wzdychając jadły sporek i biały jęczmień.
Spali także wszyscy stróżowie nocnych ognisk,
położywszy głowy zmęczone na puklerzach
lśniących i okrągłych, blisko płomieni żywych,
od migania których świeciły długie ostrza
broni, jako chmury w noc ciemną zgromadzone,
zwiastujące burzę błyskaniem. Sen zwycięzca
zwalczył czarem swoim brodatych Panachejów,
niezwalczonych w boju, tej nocy, która miała
być ostatnią nocą Pelidy Achillesa.
I wiedzieli o tem w swych sercach wszyscy w niebie
i na ziemi wszyscy. Teraz bezwładni męże,
chrapiąc i zgrzytając w uśpieniu ciężkiem, widzą,
jak Achilles boski upada z łukiem swoim,
a dokoła niego podnosi się kurzawa.
Ale w śnie ich padał bez łoskotu żadnego,
już podobny cieniom. I oto wraz bezdźwięczne,

głuche się ozwało rżenie i jęk rycerzy,
a z bojowych wozów spadali w proch woźnice:
tak pod Ilionem głos się złamał straszliwy,
dziki — głos śpiżowy Pelidy Achillesa.

II.

Spali, spali ciągle. A poprzez sen ich niemy
jęk dochodził wielki zrozpaczonego morza.
Zawodziły córy błękitne Oceanu,
zawodziły głośno nad żywym Achillesem.
Jedne łkały w dali, ażeby ich nie słyszał,
drugie znowu biegły przed siebie, oszalałe,
rozlamentowane, na brzeg, ku herojowi,
by mu Los oznajmić i z sobą uprowadzić.
Lecz napróżno: pędzą—i wnet uchodzą z płaczem,
zostawiając tylko na brzegu białe piany.
Wcale ich nie słyszy Achilles, chociaż czuwa.
Czuwa w samotności. Napawa uszy chciwe
pieśnią własną swoją i przedziwnemi dźwięki
Dedalowej cytry, wybranej między łupy
z Teb przeświętych, które swą własną zburzył ręką.
Serce mając pełne tych jasnych, czystych tonów,
nie mógł słyszeć zgoła, jak nad nim płacze morze.
I nie słyszał wcale, jak rumak jego Xanthos
mówił głosem ludzkim do brata wielkiej sławy,
do Pioruna, który odpowiadał mu rżeniem.
Śpiewał heroj boski herojów zmarłych, śpiewał
siebie, na tej cytrze, wybranej z wszystkich łupów.
Miał na barkach nagich wielką skórę kosmatą
ze lwa czerwonego, którego sam powalił,
długą, sięgającą aż do stóp szybkobiegich.

III.

Tak pochwałę wszystkich herojów, co spłonęli
w ogniu stosów, śpiewał Achill. I siebie śpiewał
sam, czuwając pośród Achajów snem zmożonych.
Nagle staje przed nim zgarbiony starzec siwy
— wędrownemu bogu podobny był z postaci —
prędko się uniża, całuje ze czcią groźne

ręce bohatera. I porwie się ze stołka
Achill zadziwiony — patrzy, a lew nieżywy
swym pazurem zgiętym zadrasnął go po nodze.
I zapyta heroj słowami skrzydlatemi:
— Starcze, kto zacz jesteś? zkąd idziesz? Zdajesz mi się
do Priama króla podobny, ale płaszcz ten,
co od wichrów chroni, królewskim nie jest płaszczem.
Któryż bóg cię przywiódł aż do mnie w tę noc ciemną?
Mów, a wszystko jasno opowiedz mi z kolei. —
I odpowiadając rzekł starzec siwobrody:
— Nie, nie jestem królem, o dumny Achillesie,
żaden bóg łaskawy nie przywiódł mnie do ciebie,
sam ze siebie-m przyszedł! Tu wszyscy, nawet stróże,
śpią w pobliżu ogni płonących z suchym trzaskiem.
Ty sam jeden czuwasz; nic nie słyszałem wchodząc,
tylko oddech silny uśpionych bohaterów
żywych — i łagodne westchnienia tych poległych.
A w tej świętej nocy moim był przewodnikiem
śpiew — dźwięk twojej cytry, o boski Achillesie.

IV.

Chmurnym wzrokiem spojrzy Achilles i odrzecze:
— Nie słyszałem jeszcze imienia szanownego,
nie wiem, zkąd i po co przychodzisz. Może jesteś
z tych, co na okręty achejskie zatopione
w noc się wyprawiają, łatwym dzielą się łupem? —
I odpowiadając przemówił siwobrody:
— Jam Aojdos tylko, Pelido szybkobiegi,
drogi-m jest rycerzom, rycerzem sam nie jestem.
Urodzony byłem pod Plako, z lasów słynną,
w świętych Tebach, mieście, zburzonem twą prawicą.
Nie przychodzę tutaj o ciało żebrać syna,
broczącego we krwi, którą pies twój zlizuje.
Nie po syna jestem, darów ci nie przywożę
na ogromnych wozach, ani trójnogów świetnych,
ni peplosów, płaszczów, ni złota pełnej skrzyni.
I mnie na to nie stać — i tobie jest nic po tem,
skoroś Losu swego dostąpił. Bowiem wszyscy,
w niebie i na ziemi, na morzu niezmierzonem,
dobrze wiedzą o tem. I ty już wiesz. Rozdałeś

drogim przyjaciołom swe łupy — i podarki
świetne i bezcenne: trójnogi, tarcze, konie,
muły, cielce tłuste i piękne białogłowy,
i swój oręż cały. Hektora-ś oddał ojcu,
a swe życie młode oddajesz pięknej sprawie...
Och, więc oddaj cytrę Aojdowi, Achillu!

V.

Rzekł, wyciągnął rękę ku owej pięknej cytrze
dedalowej — ale jej szyjka z srebra kuta
kryła się wciąż jeszcze pod skórą lwa czerwoną.
Serce Achillesa zachybło się jak morze,
co się waha nad tem, czy schłonąć drobną łódkę
na bok przechyloną... I rzekł, odpowiadając:
„Tobie". I podawał swą cytrę śpiewakowi,
ale z drżeniem widać, bo oto uderzyła
o złocony stołek i zajęczała cicho.
Potem już umilkła w aojdosowych rękach.
I dopiero wtedy Pelida równy bogom
wielkich swoich koni usłyszał dzikie rżenie,
i usłyszał, jak Xanthos człowieczą mówił gwarą
i śmierć jego pewną oznajmiał swemu bratu,
Piorunowi, który odzywał mu się rżeniem.
I dopiero wtedy posłyszał, jak się żali
nad nim morze czarne, jak płaczą Nereidy
nad nim, co tak piękny rozkwitłą swą młodością.
A niektóre biegły, zawodząc wniebogłosy,
by go uprowadzić ze sobą, lecz daremnie.
I zobaczył jeszcze w tę świętą noc ostatnią
Los, co oczekiwał na niego u Wrót ciemnych,
podobny do woźnicy, gdy wstąpi już na rydwan
z biczem w garści, twarzą zwrócony do heroja,
co do boju śpieszy, w przepychu lśniącej zbroi.

VI.

I powiedział starzec słowy uskrzydlonemi:
— Pozwól mi, Pelido, niezwłocznie się oddalić
i cytarę zabrać, ażeby twoje serce
chmurne — nie kazało tej, co głosiła sławę,

żyjącego jeszcze Achilla opłakiwać.
Zostaw płacz niebiosom i ziemi, wichrom, morzu,
lecz sam nie płacz. Tobie nie godzi się upajać
pieśnią, duchu jasny, o boski Achillesie,
duchu, który wie wszystko; ani zasłaniać losu,
co cię nie wyzywał, przez ciebie był wyzwany
Zostań wielkim dla nas, boski synu Peleja!
My to śpiewać będziem. O tobie rozgłosimy,
że płakałeś, ale samotny już, daleki —
i że powierzałeś swój żal nieutulony
falom oceanu i chmurom na niebiosach.
I powiemy jeszcze, że nieznana bogini
przyszła tu do ciebie poskromić gniew twój chmurny,
i że cię chwycila za grzywę płomienistą,
tę czerwoną grzywę, którą potem znów inna
nieznajoma boża gładziła lekką ręką,
niewidzialną dla cię. Że posłuchałeś głosu
morza i błękitów bezmiernych; że, wstąpiwszy
na wóz, rwałeś naprzód, woźnicy strasznym krzykiem
gnając — tam, ku Śmierci — nieśmiertelnego Xantha. —
Rzekł i zniknął w cieniach tej ambrozyjskiej nocy.

VII.

A Pelida siedział, słuchając rżenia swoich
w boju dzielnych koni. I słyszał wciąż zdaleka
płacz Nereid, a w owem żałosnem rozszlochaniu
głos smutniejszy jeszcze, lecz cichszy i łagodny,
głos błękitnej matki, nieśmiertelnej Tetydy.
I usłyszał jeszcze, przez wielki sen obozu,
jak przeczystym dźwiękiem jęczała jego cytra,
której struny targał szlachetny śpiewak, strojąc,
gdy na chwilę konie zmęczone przestawały
miażdżyć w silnych zębach sporek i biały jęczmień.
I śpiew przelatywał wśród śmierci i uśpienia.
A sęp jakiś wielki, sfrunąwszy z pola trupów,
skrzydłem nad czołami żywych wiewał herojów.
Pieśń się oddalała pod niebem szafirowem
i ucichła. Więcej nie słyszał jej Achilles.
Nic mu nie zostało, prócz koni, i bojowych
wozów, i błyszczącej zbroicy, nic już zgoła,

jedno tylko: na rydwan wstąpić i gnać naprzód
w tarczy promienistej, jak słońce, kiedy idzie
do Zachodu. Nagle usłyszał blisko siebie
lament jakiś cichy. Bryzeis to u proga
stała i płakała, umiłowana branka.
I Achilles wtedy pochwycił ją w ramiona,
i do piersi tulił pod skórą lwa czerwoną,
i tak oczekiwał róż jutrzenki ostatniej.

G. Pascoli.

ZWIERCIADŁO.

W starym i ciemnym Igora kasztelu,
W jednej ze świetlic ukrytych zamczyska,
Na ścianie pustej, zczerniałej, połyska
Duże zwierciadło od wieków już wielu.

Mądrością Zorzy Północnej bladawą
Jaśnieje kryształ nad zgasłem ogniskiem,
Jak wielka gwiazda z błękitnym rozbłyskiem
Z dalekich niebios patrząca się łzawo.

A kto podejdzie i, nie mrużąc powiek,
W skupieniu, w ciszy wpatrzy się w zwierciadło,
Temu ukaże się cudne widziadło,
Jakiego nigdy nie ogląda człowiek.

Niby w mgłach lekkich, rzuconych na fale
Jeziornej toni spokojnej i sennej,
Obraz się jawi powoli promienny
I coraz jaśniej znaczy się w krysztale.

Zda się wypływać z głębi i zaczyna
Mocą tajemną przybierać — o dziwy! —
Linie, kolory, ruch postaci żywej...
... W zwierciadle stoi przecudna dziewczyna.

Różowe skronie, a na szyi białej
Włos się rozwija w skręty pozłociste,
Śmieją się usta z purpury... Zaiste,
I w snach się takie nikomu nie śmiały.

Śmieją się usta; włosy złotą rzeką
Spływają do stóp... Do marzeń się śmieje,
Jak zakochani, co mają nadzieję;
Okiem płonącem patrzy gdzieś daleko.

Lecz oto smutku leciuchna zasłona
Ochmurza czoło i jasne źrenice,
Z ust zleciał uśmiech, a na blade lice
Sączy się gorycz we łzy rozperlona.

Lecz oto groza tragiczna zamąca
Zadumę rzewną tęsknoty Zjawiska.
Aż nagle — z gardła białego wytryska
Rzeką czerwoną krwi fala gorąca.

Już głowa jasna, niby kwiat ucięty,
W tył się przechyla. I obraz świetlany,
Mgieł dymnych wirem zawrotnym porwany,
Już w nieprzejrzane zapada odmęty.

A. Graf.

VAL DI SELLA.

Dolina błogosławiona...
Szczytów ją wieńczy korona wysoka, wspaniała.
Z jej nieba gwiazd powódź cała światła tajemne
Wysyła na łąki ciemne. Gdy błysną zorze,
To kwiatów zielone łoże w perły się stroi przeczyste.
Przecudny raj, zaiste, raj w cieniów i wód ozdobie,
W którym Bóg upodobał sobie. Białe motyle
Bujają w złocistym pyle i, zda się, wieczny
W dolinie tej słonecznej spokój panuje jedynie.
A jednak, w lasów gęstwinie ciemnej i głuchej,
Nieraz wieczorne podmuchy wichru zapłaczą
Jakby z rozpaczą, albo gwałtownie zawyją,
Jakby zwiastując śmierć czyją. To w ranki wczesne
Usłyszysz krzyki bolesne i pełne trwogi bezbrzeżnej:
Orzeł pochwycił drapieżny ptaszynę, przy piersi ją trzyma
I chciwie pożera oczyma. I po rozłogach,
Po leśnych drogach echem ten krzyk się odzywa,

I leci skarga jękliwa od góry do góry,
I kiedyś może przedrze się przez chmury do nieba.

WROTA ŚPIŻOWE.

Człowiek uderza w ordzewiałe wrota
spiżowe, ale nikt nie słyszy. Blady
księżyc zaledwie odrobinę złota
kładzie na sfinksy ciche kolumnady
i na tę rękę, co bije we wrota.
Nikt nie otwiera — i wciąż od fasady
idzie, jak wielka i próżna tęsknota,
odgłos kołatań i ciszę zamąca.
Na martwe pola idzie i na błota,
kędy lśni woda w kałużach stojąca,
wkrąg otoczona wieńcem żywopłota
z łozy, o którą echo się roztrąca.
Żadna tu żywa nie mieszka istota,
nawet na wieży o blaskach miesiąca
kozodój puszczyk nigdy nie chychota.
I kto wie, odkąd pielgrzym w bramę trąca
i kiedy zaszedł przed spiżowe wrota
na tem bagnisku przeklętem bez końca?

CZYTAJĄC MAETERLINCKA.

Odwieczne zamki nieprzebytych borów,
gdzie nigdy, nigdy nie zagląda słońce...
Zdala dochodzi szum morza i płaczą
źródła i zdroje i słowa tęskniące
tego, co tutaj sam mieszka z rozpaczą.
Snują się dziwne po lesie widziadła,
ale w ich żyłach krew płynie gorąca;
moc tajemnicy wkoło się rozsiadła,
wszystko ogarnia, pochłania i zmąca.

Kiedy się kona tu, w pustem i głuchem,
ciemnem zamczysku, co ledwie się cieszy
najcieńszym włoskiem srebrnego miesiąca,

z dna dolatuje chór wesołej rzeszy:
pieśń marynarzy potężna i grzmiąca,
o jasnem niebie, o błękitnej wodzie,
o białym żaglu, o uciechach świata,
o szczęsnej ziemi, kędy kolibr lata
i dyamentuje palmy o zachodzie.

V. Aganoor.

PAN.

Pewnie byłeś w pobliżu, stałeś za mną może,
gdym w ten ranek wsłuchiwał się chciwie w szmer lekki
muzyki nieuchwytnej, słodkiej i dalekiej —
pewno w gaju bukowym byłeś, leśny boże.

U stóp mych biegły wody przezroczystej rzeki
wśród storczyków, wieńczących jej kamienne łoże,
a ja, cichy, samotny w woniejącym borze,
łowiłem chciwem uchem szmer pieśni dalekiej.

Przedziwna pieśń! Marzyłem, że ty sam, o Panie,
przepływasz ponad falą tej rzeki błękitnej
z wichrem, co ciemno-srebrne głowy buków chyli.

I utkwiwszy źrenice w wartkie uciekanie
wód, z sercem zasłuchanem w ów śpiew nieuchwytny,
szczęśliwy zawołałem: Ach, umrzeć w tej chwili!

GÓRA WYMARZONA.

Lekko wspinam się w górę. Ranek jasny, świeży,
przezroczyste powietrze, zapach balsamiczny,
srebrny blask liści w słońcu, szmer wody krynicznej...
serce mocniej uderza, pierś oddycha szerzej.

Żywość moja się wzmaga od woni żywicznej,
od mocy utajonej, co w tej puszczy leży,
więc zapędzam się szlakiem nieznanych rubieży,
choć nie wiem, gdzie i dokąd zajdę w ten dzień śliczny.

O, pierwszy wirch nieznany! Tak mi się majaczy
w marzeniach: cały w nimbie złocistej korony
zachodu, jaśniejszego niż poranne świty...

A ja, w śnie swym zuchwałym, w śmiałości junaczej,
stopę na jego głowie stawiam, niestrudzony,
gotów piąć się na inny szczyt, na wszystkie szczyty!

A. Orvieto.

Z poetów niemieckich. Przekłady Kazimierza Wroczyńskiego.

NA BRZEGU.

Na brzegu płuczesz muszle zawite w tęczny krąg,
Dla igrzysk płuczesz, dla twórczych starych rąk.
I tak spokojnie trwając z rękoma u twych rąk
Ja w sobie wieków, wieków czuję krąg.
W błękitach, hen, mknie orli świr.
Chłodzie, w wilgotny wietrzny wir!
O ty, dziecino wśród gier,
Znikome dziecię bezbrzeżnych sfer!
O śmiechu, co z serca męża przesz jak krew
I w łzawy zlewasz się śpiew!
Przepychu lśnień!
Mocy mych twórczych chceń!
O morze — słońce — orli świrze — hej!
I wy, nieskończoności melodyi tej.

LEGŁEM NAD MORZEM.

Ległem nad morzem, nade mną blaski się przewalały.
Widziałem z dalekiej skały
Obłok świrzących białych ptaków.

Cisnąłem arkan, żeby je schwytać.
Białe ptaki, sny, fantazye, pędne mórz zawroty.
Białe ptaki i te wieczne rozśmiane nawroty.

JAKŻE MI SKARŻYŁ SIĘ...

Jakże mi skarżył się twój szary zmierzchu ból!
Lekko złożyłem cię wśród białych śnieżnych pól,
Złoty twych włosów składałem błam.
Tak niegdyś źle, — teraz tak dobrze nam.
I klęcząc w śniegu nad tobą się zwiesiłem
I z twoich oczu zielonej toni
Przecudną gwiazdę dobyłem.
— — — — — — — — —
Gwiazdy płyną po dali obszarze,
Co uniwersum niesie.
I jeszcze ci mówić chce się,
O ty, tak lśniąca w zachodu twoim żarze?!

WPRZÓD NIMEM...

Wprzód nimem wyspy tej porzucił brzeg,
Ostatnio, trafem odkryłem jaskinię,
W jej głębiach ducha, nowego mi ninie,
I ten najwyższe dla mnie szczęście zrzekł.
Na długom strzymał tu kroki,
Na twarzy zapadł mi uśmiech głęboki,
Drżący od światła przez chłód, przez zmierzchowy, —
Uśmiech płonący, nowy, — ku ojczyźnie,
Prauczuciowy.
— — — — — — — — — — —
Już była noc, gdym na przylądek wbiegł.
Już była noc, gdym zadął w róg na bieg.
Łódź legła w księżyca blasku.
Jam na srebrzystym stał piasku, —
Drętwy, jak senny, w blasku, co z księżyca ciekł.

A. Mombert.

O, DAJ MI SPOCZĄĆ...

O, daj mi spocząć w twoich cichych oczach,
Twe oczy — to zakątek najcichszy na ziemi.
O, jak dobrze spoczywać pod twemi ciemnemi
Spojrzeniami, — jak w miękkich, wieczornych szarościach.

Z ciemniejącego horyzontu ziemi
Krok tylko jeden jest do nieb szarości —
W twych oczach kraniec, horyzont mej ziemi.

WIEW ŚCIĘŻAŁ...

Wiew ścięźał, skrzepł,
Chmury się ścięły w niemą biel
Na szarej bezbrzeżności nieb.
Hej, kruczy skrzek —
W oddale wciekł.
Zziębnięte stoją drzewa wskróś,
Cóś, jakby ostatnie serce gdzieś pękło, — cóś...

WZDŁUŻ KONICZYN...

Wzdłuż koniczyn lila słodkich łąk,
Ku dwom jodłom, co wkrąg
Ławkę sobą cienią,
W miękki fletu rozlewa się ton
Łagodny fjord,
Modry z szuwarów zielenią.

Daj rękę mi.
Tak ciche stoją jodły dwie.
Chcę ci powiedzieć,
Co cisza wkrąg przemilczeć chce.
Daj rękę mi.
Daj mi w twej ręce serce twe.

NA TWEJ GŁOWIE...

Na twej głowie krwawo-złotą żar roztopił się koroną,

Aż tak płoną krwawo - złoto i tak dumnie włosy twe.
A jak ból, jak łzy, w oczach pieśń ci drży,
Jak te łzy spadłe w głąb' — niewylane.

Nigdyż promienie słońca nie zasypiały na twych wargach?

I myśleć nie przestanę,
Iżeś ty nigdy siebie nie widziała,
Tak biedną-ś jest!

NA PIERSI MOJEJ...

Na piersi mojej — piersi twe.
Rozwarły się mogiły dusz.
Jam widział wskróś zamknięte oczy
Zachody twych słonecznych burz.
Jam widział za słońcem otchłanne pomroki,
Gdzie miłosne śpią zarodzie w prawieczystości głębokiej.

I pusta, zwykła cisza była wokół nas,
I w nią uczucie naszej nieskończoności szło,
Byliśmy wszystkiem, poza tem rozum gasł,
Wiedzieliśmy li to, że szczęśni byliśmy.

NIGDY TAK...

Nigdy tak żądnie nie tryszczały ptaki.
A taki wiew, szept słońca szedł taki
O miękkich, rozkosznych kobietach.
Całunków pełnia z wszech zwisała drzew,
Wszystko zmuszało k'pożądaniom warg,
Siejąca pragnienia w podnietach
Wiosna stąpała po ziemi.

GDY MNIE TAK ŻAR...

Gdy mnie tak żar zalewa twój,
Z mej krwi wytryska kwiecia rój,
Z mego ciała — szał ogrójców - wirydarzy.

Wrzące kwiaty stoją w zachwyceniu,
A tysiąc rozszeptanych pąków
W ciebie jedną zapatrzył się —
Płoni się, żarzy, czeka.

M. Dauthendey.

Z poetów czeskich. Przekłady Miriama.

(Z „PIEŚNI KOSMICZNYCH").

Poeto Świecie! ty, co-ś eon przeżył,
Nim gwiazdę z gwiazdą w dźwięczny-ś wiersz wymierzył,
Nim każde słońce z planet kwieciem złotem
W strofę związałeś natchnionym polotem,
Nim w chaotycznej myśli swoich cieśni
Słońc tych gromady-ś podzielił na pieśni,
Nim młodej ziemi rzekłeś: „Żyj, ożywiaj!"
I pierwsze budząc w młodem sercu bicie
Otwarłeś oko człowieka: „Podziwiaj!" —

Poeto Świecie! Twój hymn nie ma końca!
Każda twa strofa wnet kiełkuje, żyje,
A gdy przekwitnie, trup jej w sobie kryje
Dla ręki twojej treść na nowe słońca.
Poeto Świecie! Dokąd nie sięgają
Skrzydła twej pieśni?! Otchłań mroków zna ją
I źródła światła potęgę jej czują:
Wionie nad morzem, morze wre ode dna,
Wionie nad ziemią, ziemia zadrgnie biedna,
Wionie po niebie, światy dech wstrzymują!

Poeto Świecie! Co pieśń twoja kryje,
Wszystko, co mrze w niej, — nieśmiertelnie żyje!

Niemasz piękności, żeby z niej nie trysła,
I niema zorzy, aby w niej nie błysła,
I niema blasku, by w niej nie zajaśniał,
I niema kwiatu, by w niej nie zakraśniał,
Niema ptaszyny, by w niej nie śpiewała,
Dziecięcych śmiechów, by w niej nie dzwoniły,
Łez, by jej strofy już ich nie roniły,
Niema rozpaczy, by w niej nie zawrzała,
Walk, by nie grzmiały w dźwięków jej topieli,
I męczenników, by w niej krwi nie leli,
Niema tęsknoty, by w niej nie wionęła,
Niema miłości, by w niej nie płonęła,
I niema serca z wirem uczuć sprzecznym,
Aby nie biło w twym hymnie odwiecznym!

Poetów bogiem tyś — Poeto Świecie!
A czemżeś różny od nich wszystkich przecie?
Choć hymn twój wielki grzmi na ziemi, w niebie,
Cóż nam w nim dajesz? — zawsze tylko siebie!
Choć, gdy czytamy, krew bije goręcej,
Czujemy jednak: poeta czuł więcej!
Ty znasz szał twórcy i ból, wieszczów królu,
A któż zapyta, co-ś w hymn ten wlał bólu!

Jan Neruda.

HARUT I MARUT.

Gdy podbił już Salomon król szatany wsze i dżiny,
Gdy rój na niebie zliczył gwiazd i zbadał mórz głębiny,
Królowa z Saby, wiedzy cud, co przed nim stała w dziwie,
Przyjaźnie się żegnając z nim, szepnęła mu życzliwie:

„Znasz, królu, wszystko! Oko twe Szatana, Boga mierzy,
Lecz nie znasz drzewa życia snadź na gruzach Babel wieży.
W tem drzewie tam zaklętych dwóch ukrywa się aniołów,
Ci znają prawą życia treść, i zdrój, i cel, i połów.

„Jeden, odziany w czarną noc, ma dane imię Harut,
Drugi, w światłości zdobny blask, to brat jest jego Marut.

Najbliżej stali obaj ci, gdy Jahwe tworzył światy,
Kiedy nad gliną, zkąd człek wstał, drgnęły mu ust szkarłaty.

„Bo naprzód chciał z człowieka Pan istotę wyższą stworzyć,
Przed którą tronów, królestw szyk z podziwem miał się korzyć.
Miał po Nim człowiek pierwszym być, dziedzicem bożej chwały,
Miał za dyadem słońce mieć, pod stopy miesiąc biały.

„Tchnął w glinę Pan, ta jęła drżeć, bo na dech jego święty
Miłości się obudził żar i wstrząsnął iłu męty.
Klęknijcie — rzekł do duchów Pan — sam teraz przejdę siebie.
Lecz Harut śmiał się, Marut śmiał, aż słychać było w niebie.

„A gdy tchnął Jahwe, Harut tchnął, tchnął Marut niewidomie,
Zawistny dech ich skaził wnet potęgi twórczej płomię,
I człowiek powstał, piękna dziw, lecz sam niejednolity,
Materya wiecznie w pętach wpół, wpół seraf odzian w świty.

„I gniewem się rozgniewał Pan, że w swem największem dziele
Iblisy tymi zmożon był i tak zakłócon śmiele.
Strącił ich z nieba, zaklął w pień, na miejscu tem, gdzie Abel
Przez brata potem zabit był, a później stała Babel.

„Jak-em ci rzekła, wszystko znasz, o wielki Sałomonie.
Jak przed miesiącem roje gwiazd w noc cichą chylą skronie,
Tobie się ludy świata wsze kłaniają korną zgrają,
Jeno aniołów nie znasz tych, co cel żywota znają."

To rzekłszy mu, z orszakiem swym, z wielblądy odjechała.
Król został, serce rwał mu żal, głowa mu wrzała cała.
Już nie bawiło berło go, ni chram Jehowy nowy,
Ni cytarzystów, piewców chór, ni prorok z wróżeb słowy.

Winniczny go nie bawił gąszcz, gdzie przy księżyca świcie
Tak wiele słodkich spędził chwil przy czarnej Sulamicie.
Cedrowy go nie bawił gmach, ni złote w nim świetlice,
Ni nago w tańca mknące wir egipskie niewolnice.

Banaję przyzwać sobie dał, gdy wieczór zmroki szerzył,
Chram, Jeruzalem, twierdzę mu i państwo cáłe zwierzył.
A nie miał o tem wiedzieć nikt, że jako pątnik prosty
Do Babel w drogę udał się, przez puszcze, rzeki, mosty,

Że jako żebrak z wsi do wsi, od grodów szedł do grodów,
Że jako obcy pytał dróg u obcych mu narodów,
Aż uznojony i bez sił, po mylnych radach wielu,
Po wielu nocach, wielu dniach, u ruin stał Babelu.

Olbrzymiej wieży groźny zwał w dal ciągnął się sinawą,
Po gzémsach smutnie igrał wiatr z wysoką, gęstą trawą,
A wyżej, na kamienia rzut, pień figi tkwił znędzniały,
Rosochy jego dwojgiem rąk, wzniesionych w mgle, się zdały.

Od wschodu w pniu tym zamknion był od wieków czarny Harut,
Na zachód w pniu tym zamknion był od wieków biały Marut.
Siedzieli obaj wieki tam i często, nocą, w szale
Ku gwiazdom słali klątwy złe, gdy wyły wkrąg szakale.

Do pnia Salomon przyszedł król, od wschodniej przyszedł strony.
Zapukał cicho: „Jam jest król rodzajów ludzkich czczony.
Aniele czarny, powiedz mi, gdzie życia święte zdroje?
Jaki ostatni jego cel? Pragnienie ugaś moje!“

A z drzewa zabrzmiał suchy szmer, jak w liściach lub na łące,
Gdy błyśnie, gwizdnie, wieszcząc śmierć, kosiarza ostrze lśniące:
„Cel wszego — nicość, po cóż trud, cel wszego ciemność blada,
Wszechświat olbrzymią różą jest, co z liści wciąż opada!“

I zdumiał się Salomon król, na drugą przeszedł stronę,
I znów zapukał cicho w pień, jak w chatki drzwi zamknione,
I znów powtórzył prośbę swą, a w pniu tajemną zwrotką
Drgnął filomeli tkliwy głos, tak tęskno, rzewnie, słodko:

„Cel życia — dalsze życie znów; z nad czaszek, zwłok i kości
Znów zafaluje kłosów łan, aksamit zieloności,
Tryumfem wszego — złoty dzień, radości, śpiewu chwila,
Wszechświat olbrzymią różą jest, co wiecznie się rozchyla.“

I zdumiał się Salomon król, do wschodniej szedł znów strony:
„Gdzie znaleźć,“ pytał, „zgodę, mir, harmonię, ład skończony?“
A z pnia odpowiedź brzmiała wnet: „W mogile; ta uśmierza
Sprzeczności wszech życiowych bój; kto mędrzec, tam niech zmierza.“

Powtórzył znów pytanie swe przy drugim drzewa boku,
I znów wesoło zabrzmiał głos: „Walcz wciąż, nie ustąp kroku,

Nagrodzi cię czasz pełnych war i stworzeń wszech korona,
Wszystkiego cel, piękności szczyt, kobieta ubóstwiona."

I zdumiał się Salomon król, i ważył mowy obie:
Dzień Marut był, a Harut noc — i mówił cicho w sobie:
„Razem dopiero obaj ci całością są skończoną,
Człowiekiem całym; rady ich głęboko wezmę w łono!

„Kiedy najżywiej płonie dzień, noc spada niespodzianie,
Kiedy najczystsza radość lśni, wnet żal jej w drodze stanie,
Gorycz — na każdej czary dnie, jad — każdej kres słodyczy,
A najpiękniejszej z kobiet jad, złość, gorycz któż policzy?

„Nie dziw, zaiste! Nie mógł Pan skończonem stworzyć dzieła,
Nie dziw, że skroń Iblisów tych przed nim się nie ugięła.
Marut — kobieta, słodycz jest; Harut — mąż, bunt, pomroka;
Z obu dopiero życia treść lśni jasna i głęboka.

„I nie mógł Pan sprzeczności tych połączyć w jednym tworze,
Tu Harut wciąż podnosił bunt, tam Marut trwał w oporze,
I przeto złomkiem został człek — i marzyć musi wiecznie,
Jak i czem wnętrzną próżnię swą zapełnić ostatecznie!

„I słuszność mają obaj ci, zły Harut, Marut miękki;
Wszystko jest nicość, marność, proch, a wieczne — kobiet wdzięki,
W mogile tylko spokój, mir, żądz dzikich uciszenie,
Lecz słodsze jednak jest u łon kobiecych zapomnienie.

„I tylko ten, co każdą rzecz odważy mądrze w dłoni,
Żywota gorzką stronę zna, za słodką wszakże goni, —
Ten mądrze rano u stóp bóstw, przed dziewą w nocy klęknie.
Haruta złość, Maruta śmiech mu duszy nie ulęknie "

I wrócił w gród swój, pomny wszak nauki rad zdobytej,
Lepiej zawartość cenił czasz i wdzięki Sulamity,
I — pocałunków licząc skry na ciałach dziew — z kolei,
Jak ambry ziarnka, puszczał z ust wiersz gorzki kaznodziei.

MUZYKA W DUSZY.

Jest na dnie ludzkich dusz ukryta gędźba,
Która tam dzwoni, gwarzy, szemrze, śpiewa,

Milczy przez lata, znów ozwie się z czasem,
Zwłaszcza za cichych, wonnych letnich nocy,
Gdy w uczuć struny tchnie i wzruszy serce
Arcymistrz tonów, bóg wszechświata, Miłość.

Jam często pytał serca: Co jest miłość?
I echem brzmiała we wszechświecie gędźba,
Aż mi radością drgało cichą serce:
Miłość to ptak, co w klatce świata śpiewa,
Za dnia rad milczy, wyśpiewuje w nocy,
Zawsze radośnie, choć z rozpaczą czasem.

Miłość to skarb, co nie zaginie z czasem.
Ulem jest, wiecznie pełnym miodu, miłość.
Miłość to uśmiech jasny dnia, czar nocy,
To najtajniejsza sfer gwiaździstych gędźba,
Wodospad, który na dnie serca śpiewa,
To świat serc naszych i wszech światów serce.

O ty, znużone, udręczone serce,
Wierz, a i tobie świt zabłyśnie z czasem,
Na drzewie życia i dla ciebie śpiewa
Ów ptak bajeczny, który zwie się: miłość.
I dla cię gwiazd brzmi melodyjna gędźba,
Która z twej twarzy spływa, święta nocy!

Jam często błądził w zmroku cichych nocy,
Pytałem: Ziemio, gdzie twe bije serce?
Pytałem: Świecie, zkąd ta dziwna gędźba,
Co żyje wiecznie, wraz z przestrzenią, czasem?
I echem wszystko brzmiało: Miłość, miłość,
Tą żyje świat nasz, ta w nim płonie, śpiewa!

Milknę — lecz w gąszczu ciągle słowik śpiewa,
A złote gwiazdy lśnią za wonnej nocy,
Pod oknem, w cieniu, szepcze młoda miłość,
Usta w uścisku cichną, cichnie serce,
A jeśli w mroku śmiech zadzwoni czasem,
Brzmi jak turkawek albo drozdów gędźba.

Tyś, o poezyo, ta g ę d ź b a, co ś p i e w a,

I płynie z Czasem wśród burzy i nocy,
I wzrusza serce, w którem płonie miłość!

Jarosław Vrchlicki.

PYTHAGORAS.

Chłopcze z Syrakuz, syt już będąc świata,
a niesyt jednak, chcesz wejść w nasze koło —
co, chcesz mądrości? Tej u nas nie znajdziesz.
Tej nie ma żaden ze śmiertelnych ludzi.
My przyjaciołmi jej zwiemy się jeno.
Do prawdy dążysz? Niema prawdy, chłopcze.
Toć sam dziś innym zupełnie się jawisz,
niż byłeś kiedyś. Żyłeś w innem ciele,
w innej epoce, w innym pasie ziemi,
jako ktoś inny — lecz nieraz ci błyśnie
z chwil owych w duszy zmącone przeczucie,
kraj obcy poznasz, gdzieś już bywał ongi,
i myśl, którą-ś już w innem życiu myślał.

Jest tylko jedna niezmienna harmonia
sfer, losów, rzeczy. Ta ci błyskawicą
zjawia się jeno, posłyszysz jej brzmienie,
trwale nikt wszakże ująć go nie zdoła.

A potem, chłopcze, liczb jest jeszcze pewność,
linij i kształtów. Tę ci dać możemy.
A dar to w życiu, zaiste niemały:
punkt pewny, w którym oparcie masz zawsze,
gdy myśl i system w nicestwo się wali.
Cicha to, własna duszy twojej przystań...

Liczba jest duszą wszechrzeczy, nią żyje
i głaz, i drzewo, powietrze, rzek fale.

W świat ten cię wwiedziem. Ale w świecie dawnym
dawnego musisz zostawić człowieka.
Ciężka jest ku nam droga: milczeć trzeba,
byś wartość rzeczy poznał; trzeba zrzec się
radości życia, byś radość osiągnął;

odrzucić trzeba wszystko, co-ś miał swego,
byś to, co będzie udziałem twym, cenił.

A twym udziałem będzie pewność owa,
owa liczb dusza i kształtów harmonia,
nie imię, sława.
Żył przed laty z nami
Hippasos, młodzian twych lat i postawy,
z duszą gorącą. Hippasos ten znalazł
nowy ton jeden w harmonii wszechrzeczy,
dwunastościanem zwany. W pychy szale
imię swe razem z odkryciem rozgłosił.
Strąciłem wówczas chłopca z brzeżnej skały
w głąb' morskich fal. Bo zdradził życie nowe
i żądzę duszy ukoić chciał sławą...

Rozważ to wszystko, młodzieńcze z Syrakuz.
A jeśli dusza ci zadrgnie słabością —
póki czas, odstąp. Wąż, gdy zrzuca skórę,
z bólu i męki jest jak odurzony;
w harmonii losów i do ciebie, chłopcze,
to się stosuje. Opuść miasto Kroton,
wracaj do domu, żonę wybierz sobie
z cór syrakuskich, dzieci płódź i żyw bądź
zwyczajem stada ludzkiego.

Lub zostań —
a znikniesz, żywy, z pamięci tych żywych
i będziesz tonem w harmonii jedynie,
co brzmi i milknie, aby zabrzmieć znowu...

J. S. Machar.

WINO SILNYCH.

Bracia, z ręki do ręki podawajmy wino silnych w mej czarze;
wieki je w winnicach osłaniały przed mrozem, jako dymy ogniów
w czas nocny.
A kiprami jego były Samotność i Ból.

Nim się spodziejem, usłyszymy, jak obok nas pieśń mistyczna rytmicznie dyszy,
a na ustach poczujem ciepło czary swej od dotknięcia jej ust eterycznych.
Prąd tajemniczy zamknie się nagle wokół stołu naszego,
z pod praw ziemi nas wyjmie, i żywot i śmierć odpowiadać będą naszym marzeniom.
Usłyszymy szum przeciągły rzek niewidzialnych, co płyną przez stulecia,
spostrzeżemy chmurę Wiecznego, zwisającą nad wodami i świecącą z głębin jak słońce.
Upojenie duszę uczyni nam jasną, jako dusze ludzi przyszłości,
i otruci marzeniem umrzem przed swą śmiercią, a po śmierci będziemy żywi.

Czyść będziem posłusznie w księdze twojej, o Wieczny, i obrazom jej dobierzem słowa.
Czarnoksiężkiem kołem, wielkiem jak niebokrąg, od gróz odgrodzim się nocy.
Ulewa twa ugasi budynki nasze, płonące z czterech rogów ogniem boleści,
a na kwasie twym wyrośnie nam ciasto nowego chleba.
Lampy nasze w zdrój się zmienią oliwy, który świecić będzie, bez ruchu, pośród wszech wichrów.
Ogrodami będą nam groby, a śmierć swoją śpiewem kołysać będziem.
Mową naszą będzie milczenie, a pocałunkiem niewidzialne spotkanie tęsknot.
Odpowiadać będziem jaśnieniem oczu przy uścisku myśli w oddali.
W promieniach utkwionych spojrzeń naszych przejrzystem stanie się nieprzezrocze.
Nie pójdziemy przez mgły łez z krainy marzeń do ziemi życia, bo obie spłyną,
a łzy, jak rosa na zbożach wieków, wypita przez słońce, wzbiją się nad nami w purpurach rannych.

Okna nasze ukażą nam barwy omyte burzą niebieską,
a jad w sokach kwiatów spali się pośród woni uzdrawiających.
Cienie złożą nam się jak pióra w skrzydłach, siane gwiazdami, uśmiechnięte oddalom.
Marzenia, które spały przez tysiąclecia, nieznane duszom, zbudzim pod nakryciem kształtów i barw,

i powstaną z lodowisk biegunów, z praborów mórz, z tajemniczych
pracowni tworzywa,
i spłyną w dół z niedostrzegalnych gwiazdozbiorów.

Patrzeć będziem w oddal dni przyszłych, jak przez szereg szklanych
drzwi poza sobą leżących świetlic,
poprzez które nam naprzeciw nadbieży słońce, uwieńczone sadów
zielenią.
Jak baldachim wonnego łoża kochanków zamrocznieją nad nami noce.
Przeszłość zniknie gdzieś w dali, jako dymy fabryczne miasta, zkąd
oddawnaśmy wyjechali.
Myśli nasze będą miały bezkreśność przestworów napełnionych
eterem, którym oddychają wsze światy. — —

Znużeni światem, podamy rękę Przyjaciółce, aby ztąd nas wywiodła,
i śmierć nasza będzie jako śmierć ludzi oczyszczonych. Podobna
przejściu
z pokojów przesyconych dusznemi woniami do kościoła w niedzielę
kwietnią.
Podobna wstąpieniu na statek pośród wiania proporców i przy
orkiestr odgłosach.
Podobna wyruszaniu wojska do ziem zdobytych, pośród kwiecia
sypiącego się z okien.
Podobna radosnej odpowiedzi chóru po słowach księdza zamglonych
tajemnicą.
Podobna całunkowi, który trwać będzie dłużej niźli światów systemy,
podobna wykrzykowi wszech pieśni, skrytych we wszech minionych
i przyszłych duszach i światach,
podobna zlaniu się wszech minionych i przyszłych dni i nocy w je-
dyny dzień, co mieć nocy nie będzie.

Bracia, z ręki do ręki podawajmy wino silnych w swej czarze.
Gwiazd, co na nie dżdżyły w kwitnienia porze, niech nam ono
nadżdży w źrenice.
Kaźń słabych będzie, że zapomną imienia swego przy przebudzeniu,
a nagroda silnych, że i w oćmie świetlistej wspomną o ostrowiu
swojej niewoli.

Otokar Brzezina.



ZŁOTE RYBKI.

I.

W akwaryum pluskały się rybki, sześć ich było, dwie złote, miedziana, biała w plamach czerwonych, czarno-żółta i wreszcie jedna całkiem srebrzysta o przejrzystych skrzelach i czarnych w złotej obwódce oczach.

— To nie są zwyczajne rybki — rzekła mała, z pod rzęs ogromnych patrząc się na mnie poważnie a badawczo.

— Nie?..

— To są zaklęte królewny...

— A któż je zaklął?

— Zła wieszczka Urgana, rozgniewana, że królowa matka na ucztę jej nie zaprosiła... Wszystkie je zaklęła w rybki — zaklęła — nic nie mówią, ale mają duże, duże oczy, aby widzieć daleko... — pochylała się ku nim nad akwaryum, maczając w wodzie jasne pukle swych włosów... — To są same królewny... Ela, Lena i Lila, Blansza, Ilona i Margieryta... Ta srebrna całkiem to Blansza, ją poślubi królewicz i wszystkie siostry znowu poprzemienia w panienki...

Usiadła mi na kolanach, a z mokrych jej włosów spadały mi na rękę duże krople wody, dziwnie do łez ludzkich podobne.

— Jak będzie noc księżycowa, to królewicz Egon na złotym przyjedzie koniku i da Blanszy welon ślubny i wieniec, a Eli, Lenie i Lili perłowe suknie, a Ilona i Margieryta będą nieść suknię.

Uderzyła w rączki, i spłoszone rybki opadły na dno akwaryum, gdzie był piasek, muszelki i sztucznie poukładane pieczary.

A zmrok szedł ku nam tymczasem, cichy, tajemniczy, ścieląc cienie po kątach, wydłużając je jak dłonie jakiegoś olbrzymiego potworu. Ramy okien błękitniały jeszcze kawałkiem omroczonego nieba, i szła ztamtąd jakaś wielka tęsknota pożółkłych ściernisk, łąk pokoszonych...

Całkiem w cieniu już, mała zapytała znowu:

— A kiedy będą takie jasne, całkiem srebrne noce?..

— Za tydzień...

— To za tydzień przyjedzie Egon królewicz na całkiem złotym koniku i poślubi Blanszę... i da jej siostrom perłowe sukienki, bo to są prawdziwe królewny... Ela, Lena i Lila, Ilona, Blansza i Margieryta...

Senna trochę główka dziewczynki zaczęła mi opadać na ramię... a przed szklaną ścianką akwaryum przesuwały się rybki, całkiem złote, świetliste, o czarnych, w złoto oprawnych oczach...

II.

Odeszła ode mnie tak, jak gdyby nigdy moją nie była, a przecież strasznie niedawno mieć ją w ramionach musiałem, bo dotąd opływa mię zapach jej włosów, jej długich, tak złotych włosów, że czasem za promień słoneczny je brałem... Przymknąwszy oczy, czuję, jak pod memi wargami rozchylały się jej usta drobne, uśmiechnięte i tak niewinne, że na kolana upaść się chciało, wielbiąc Boga, że ją stworzył i dał jej takie usta... A jednak odwróciła się ode mnie tak, jak od spotkanego gdzieś na ulicy przechodnia. Do dna mi duszę wypiła temi oczyma, co raz były koloru nieba, a raz koloru fali, — i poszła.

Czasem mi się zdawało, że była cała z błękitu, i wówczas u stóp jej kładłem głowę, czekając, aż w wonne ją dłonie weźmie i na piersiach swoich położy, a miały one zapach tych liści różanych, któremi sam na dzień dobry zasypywałem jej łono, a wieczór wyjmowałem wpół zwiędłe, gorące, jakby omdlałe. W kasetce wybitej białym atłasem chowam je dotąd, mają zapach jej ciała, jej ramion, jej piersi... Zdaje mi się, że w tej trumience schowałem ją całą — umarłą...

Nie przypuszczałem nigdy, że kłamie — rzuciłem jej duszę swą ot tak jak kwiaty pod nogi, a ona wzięła to wszystko i poszła...

Odwróciwszy się odeszła, jak gdyby nigdy moją nie była. I nie wiem, co z moją duszą zrobiła, może popłynęła za nią, jak promień księżyca płynie za łodzią sternika... nie wiem... nic nie wiem, dla czego poszła ode mnie, dla czego z pożółkłych ściernisk, z łąk pokoszonych wieje taka tęsknota, taki ból beznadziejny, że można runąć na ziemię i z twarzą w prochu wyć wraz z wiatrem, jak potępieniec czepiać się suchych gałęzi...

III.

W akwaryum pluskały się rybki... pięć ich było, dwie złote, miedziana, biała w plamach czerwonych i czarna złotem znaczona. Biała całkiem, srebrzysta o przejrzystych skrzelach, leżała nieruchoma w szkatułce wybitej atłasem, na zwiędłych liściach różanych, co woń zachowały białych piersi kobiecych...

Błękitna od księżycowej poświaty mała oczy ku mnie podniosła.

— Królewna Blansza umarła... umarła, wujciu... i już nie zaślubi jej Egon królewicz... nigdy... A tak długo czekał na złotym koniku...

Na ustach położyła paluszek, skupiona i uroczysta.

— Słyszysz, jak wiatr płacze, jak bardzo... patrz, jak te listki, któremi Blansza nakryta, rozrzuca...

Kilkanaście zeschłych listeczków, wirując, na twarz mi upadło... a jeden miał słodycz jej warg w pocałunku... a drugi łaskotał jak włosy...

— Czego płaczesz?.. To tylko Egon będzie może płakał całe, całe życie... prawda, że tylko Egon...

Zdziwiły ją łzy na rączkach i pod księżyc im się przyglądać zaczęła.

— To są łzy twoje czy Egona... Egona — on będzie teraz całe, całe życie tak płakać... bo, widzisz, nietylko Blansza umarła, ale z sobą mu duszę zabrała... On teraz już nigdy królewiczem nie będzie, ale w wiatr, w mgłę, w deszcz się z żalu przemieni i będzie tutaj w jasne noce przychodził i płakał... Już nigdy Egon królewiczem nie będzie...

Z oczu dziewczynki łzy lecieć poczęły, srebrząc się w świetle księżyca.

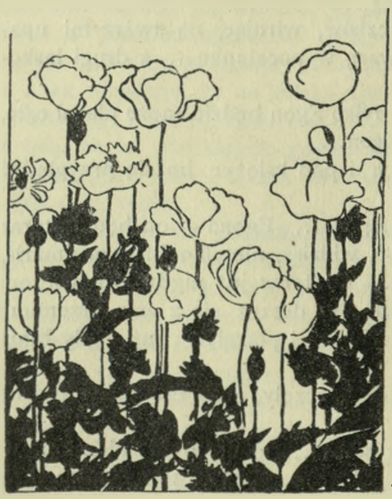
— Po co, po co Egon tak płacze... to nie była żadna królewna, ale rybka taka zwyczajna... Blansza rybka... nie Blansza kró-

lewna... jeszcze tyle, tyle takich samych jest rybek... niech Egon płakać przestanie...

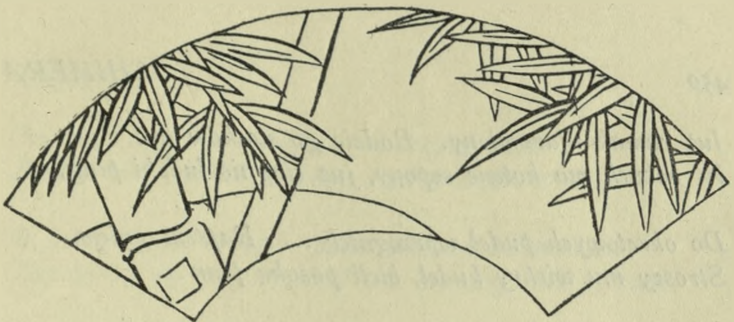
Przytuliła mi się łkająca do piersi.

— Widzisz, Egon tak długo wierzył, że to zaklęta królewna, tak długo czekał na złotym koniku, że teraz nam już nie zechce wierzyć... W tej szkatułce, widzisz, leży już dusza Egona.. I nie poślubi już nigdy ani Eli, Leny ni Lili, ani Ilony ni Margieryty... Nie, nigdy... to są zwyczajne rybki, a Egon szukał Blanszy królewny...

Oczy dziecka poczęły w przestrzeń patrzeć, dziwnie mądre, skupione i badawcze, mając raz kolor błękitu, raz kolor fali... A rybki srebrne i złote poczęły uderzać o szklane ściany akwaryum, patrząc na nas oczyma w złotych obwódkach.



Z PUŚCIZNY RĘKOPIŚMIENNEJ PO
Kazimierze Zawistowskiej.



T R Ó J R Y T M

I.

Oceaniczna fala raz wraz uderza w ląd,
Raz wraz impet wyzwala szumny, nim pomknie wstecz.

Ciążeniem nieruchomy, ląd, niby cielsko, legł.
Kruszy go na atomy głębia i wchłania w nurt.

Odpływa i przypływa oceaniczny bóg:
W lokach pian biała grzywa, rozpuszczona na wiatr.

Biegun z otchłannej dali zatupotał o brzeg,
Żeby go ujarzmiali, wyzywa, chlustem drwiąc.

Oto dźwigają groble: granity, gnejsy, cios,
Żelazne sztaby, skoble, głazy strażniczych baszt;

Tamy — wód uździenice, łańcuchy, kłęby pęt,
Ankary i kotwice, zwoje kabli i lin;

Smół gąszcze, mazie smarów dźwigają, zmazać chcą
Morskiej wolności narów i spoprężyć jej grzbiet.

Już rumak ujarzmiony. Bodzie go statków kil,
W bokach ma kotwic szpony, już ciągnie ludzki pług,

Do okrętowych pudeł wprzęgnięty... Raptem gniew
Stroszy mu wichry kudeł, bieli posoką pian...

Z granitowej hołobli wyrwał grzywiasty kark,
Zatupotał po grobli i umknął w wodny step...

Toń głąb' ma niezmierzoną: długi je czeka spad,
Zanim do dna dotoną, topielce fregat, szkun...

Tam to ziemskie wspomnienia: poddańczych piętno hańb
Z swej pamięci wyplenia ocean — głębin pan.

II.

Ale zapomnieć ląd, zapomnieć, jak się gwarzy
W miałkiej, słonecznej plaży, zapomnieć — próżny trud!

Pamięta, w skwary, toń te cuda nagiej bieli
Lądowych cór w kąpieli — te cuda lic i łon!

Ramion tych białych żal, które, poobnażane,
Ściemiewały białą pianę, burzącą się, jak dąs!

Żal szafirowych ócz, których słodkie owale
Wstydziły barwą fale: taki w nich szafir grał!

I kiedy, ciałem wzdłuż kładąc się, powierzały
Morzu swój ukształt biały... Jak zapomnieć ten cud?

On, cud, leży bez trwóg, a ono, żywa fala
Z nim swój żywioł zespala, żeni z lazurem biel!

O jakże słodki brzeg! Jaka rozkosz wielmożna!
Zapomnieć jej czyż można? ach szczęsny, kto ją znał!

Jako symfonii rytm, zawsze będzie w nim żyła,
Kogo falą spowiła ugrzaną latem raz.

Przynęci go jej zew aromatów powiewem,
Miłosnych canzon śpiewem: na ląd! na ląd!

Venus rzeźbionej tors, cyprysów z bluszczem sploty,
I mimoz okwiat złoty, i agaw woń i róż...

O lądzie plaż i ciał! O rozkoszy wielmożna!
Zapomnieć cię czyż można, skoroś poznana już?

Wonią nardów i ambr przepojone wspomnienie
Już zawsze, nieskończenie szarpać będzie, jak szpon!..

III.

Raz ku głębinom, w dale odpływa morska ciecz,
To znów do lądu, wstecz, powraca, w tęsknot szale.

W zatoki wbiegła kąt, wciska się w ląd i wtula,
I ziemskość ją zamula, jak trąd! jak trąd!

Płynę, płynę powrotnie, od brzeżnych łach i raf.
Głębio, od wspomnień zbaw! Płynę w twoją samotnię.

O niech mi twoja głąb' zmyje wodą odmętną
Przyziemnych zbrukań piętno! Odmęcie, kąp mię, kąp!

Otom już wykąpana, fala-m najczystsza z fal,
I już mi... lądu żal i białych ciał, jak piana.

Ach, tam mi płynąć ztąd! Tam mi błoga spokojność,
Krzepka dżynem upojność! Hejże, na ląd, na ląd!

Otom na lądzie znów, grzechoce żwirem plaża,
Jak grzech, słodko pogwarza melodya ludzkich słów.

Jakże cudni ci ludzie, nadzy, splątani w kłąb'!
Morska mi nie da głąb' pojęcia o tym cudzie.

W szynkach żeglarski gmin, prześmiardły kabli smarem,
Miłość odymia warem — miłość, jak dżyn, jak dżyn!

Kłębią się i z nóg walą, w dymach, w odorze kuf...
Płyń w czyste głębie znów, powracaj, błędna falo!

Spiętrzona w piany słup, grzesznej, jak dżynu wonie,
Płyń w otchłaniowe tonie, ciche jak grób, jak grób.

Tak się ocean kłębi. Rwą go tęsknoty dwie:
Jedna do lądu zwie, a druga zwie — do głębi.

IV.

Syt gwaru, syty cisz, odmęt wybucha wwyż,
Do Seleny, księżyca: to trzecia wód tęsknica.

Od księżycowych lśnień świetlaniej mu, niż w dzień.
Wszystkich tęsknot swych bólem umiłował tę kulę.

Nad morzem lśni jej sierp, jak z nieba nakaz: — Cierp!
Faluj i tęsknij, wodo! — szepcze poświatą młodą.

Ocean rzuca ląd, zbiera tęsknicy wrząt
I rozpienioną rosą wybucha ku niebiosom.

Otom z otchłani wskrzesł! Otom jest bezmiar łez!
Płaczę bólów Gehenną, o Seleno, Seleno!

Od głębinowych den, po wierzch mię wzięłaś w len
Świetlanością promienną, o Seleno, Seleno!

Jak zaświatowa baśń, twoja srebrzysta jaśń
Umiłowania łuną świeci mi, Luno, Luno!..

Tak los ciążeniem sprzągł odmęt i Luny krąg,
Nakazał tryskać falom wwyż ku nadziemskim dalom.

Wyżyna, głąb' i ląd: trójfalowania prąd,
Jakoby trójrytmiczny oddech oceaniczny.

Raz fala mknie na brzeg, drugi jej — w otchłań bieg,
A trzecia wód tęsknica — do Seleny, księżyca.

Od lądu — w przestwór gna, do własnej głębi dna,
I od głębi, od wnętrza — do Seleny toń spiętrza.

Ze wszystkich świata stron ocean rzekom schron,
Sam, tułaczo, w dnie, noce, kłębi się i szamoce.

Jan Lemański.



Liryka.

PIEŚŃ BEZ SŁÓW.

.....I dźwignąłem mój głos ponad drzewa rodzinne, ponad dachy, płoty i sad,

ponad krew, której jad, szlamowaty, zimny, świeci przez żyły w dzień powszedni.

Kazałem mu być gędźbą liści, ponad pniem i koroną, aby mi śpiewał w dni pochmurne, nigdy niewiędnącym szelestem pieśni,

pieśni, co się na głos śmiały nie waży, ale — widoma kędyś dla mnie, nad ziemią — blaskiem mi jest smutnym ponad mrokiem murów.

Kiedy widzę dwoistą twarz człowieka, kiedy przyjaciel i wróg są mi zarówno koniecznością chwili, — wtedy... w oczy mi zagląda dziwne urojenie.

W oczy mi zagląda — zgryzota dwoistej twarzy człowieka...

Jest to niby cicha, śniąca woda pod księżycem, gdzie żyją zgodnie złote ryby i haje...

Bóg, który oddzielił światło od ciemności, i wody od księżyca, zawiesił ciszę między nocą i wodą...

Tam na brzeg przychodzi pieśń i tęskni.

I podnosząc białą twarz do świecącego w przestrzeni kręgu, śpiewa zgryzotę dwoistej twarzy człowieka.

Na stawach zasypia w ciszy pojednane życie. Zapach ziemi i mleczny pył księżycowy budują cudne, o łukach kwiatów pałace nocy...

— A dwoista twarz człowieka zagląda mi w oczy — swoją zgryzotą — konieczności bytu.

I jestem jak puhar, w którym wino i żółć; a pije je Chrystus duszy na krzyżu...

Na stawach zasypia w ciszy pojednane życie.

Chciałbym wyciągnąć ręce i chwycić niewidzialne struny przestrzeni, aby z nich runąć, — kiedy zmaleje mi gwiazda ziemi.

SZEPTY.

I płakać czasem chcę, a płakać nie mogę — —

Gdy są mi wszyscy jacyś oschli i twardzi, niby zapylone kaktusy, — jedyna ozdoba piwnicznej izdebki, straconego czasu.

Gdy są mi jak kaktusy, gdzie gdyby padła świeża kropla wody, toby nie przywróciła szarościom — zieleni, aleby schła, obsiadała kurzem — i wreszcie — rozpadła się, jak suchy grzybek umarłej pleśni. —

Więc po cóż te krople, — kiedy widzę wtedy kaktusy?

Te krople mię dławią, gorzkim jałowcem okadzają głowę, i myśli dają suchość popiołu. — — — —

Wtedy śni mi się zamek na czerwonej skale.

Tysiące gorzkich szeptów ze suchych warg wzbijają się ku niemu z ciemnej doliny.

Słońce zachodzi, i ztąd purpura na skale.

A w zamku, usnęła z ciężką zmorą na strunach — harfa wiecznej tajemnicy dusz. — — — —

Jeszcze chwila, a na rdzawych murach usiądzie widmowy połysk gwiazd, a w dole szepty suchych warg zmienią się w majaczenia gardeł, opanowanych strasznym snem. — —

Zbudź się, harfo...

Niech przyjdzie do ciebie, przez skrzypiące cicho drzwi, jakieś białe ukojenie ziemi, które się kiedyś ze słońca rzuciło głową w dół, za wymykającym się żalem...

Niech przyklęknie u twojej rzeźbionej podstawy, i oblicze ech przyciskając do struny — zagra — — —

Cicho metaliczny jęk niech zejdzie tam na majaczące głowy, i niech im da całowanie ciche, choć we śnie...

— — Ave Maria, krynico niebieska...

Oto jakieś rude trawy toczy błyskliwy płomyk pożaru, i w pomroce trzeszczą krwawe iskry.

Oto w ciemną toń z brzegu rzuca się topielca głowa, i nic nie cichnie prócz plusku, bo noc jest nad ziemią.

A chłodne ręce moich ludzkich trosk obejmują pień na bagnie, miast drogowskazu.

I płakać chcę, — i płakać nie mogę.

I zdaje mi się niekiedy, że dźwiękliwie jakby chciała przemówić harfa. —

Zdaje mi się, że, kiedy widmowy blask gwiazd oplata chłodnemi promieniami zamek na skale, jakaś dobra mglista twarz zagląda przez cicho skrzypiące drzwi. — — —

A twarzą tą jest wyobrażenie ludzkiej Miłości u wszystkich poetów świata, odbite po raz setny w ubogiem zwierciadełku-- izby z kaktusami. — — —

Ale nie klęka ono u podstawy harfy i nie przytula twarzy do struny.

Ono, harfa i niezmienne wahadło konieczności są trzema niewidzącemi się nigdy mieszkańcami zamku.

Wahadło mierzy zachody, harfa w zachody i widmowe blaski gwiazd czeka palców, a ono, odbite po raz setny, zagląda przez łukowe, cicho skrzypiące drzwi.

I niech się przenoszą bieguny pod równik, — niech gleczery pełzną jak lawa na gaje płomiennoowocnych pomarańcz; —

niech się po tysiąckroć wynurza i zapada atlantyda; — —

zawsze i zawsze żyć będzie zamek, i trzy niewidzialne sobie wzajem istoty. — — —

Wyobrażam sobie trybuna ludu, któryby przed obliczem wyczekujących mas rozwinął podobne obrazy, —

wyobrażam sobie szanownego uczonego, któryby na odczycie dla inteligentów podjął podobne słowa do wysokości swej katedry, popierając je obrazami niknącemi zamku, skały, doliny i owijającego wszystko czasu.

Jak czujemy w sobie dwa toczące się kręgi krwioobiegu, z któ-

rych jeden bije nam do głowy zuchwałością myśli, a drugi kieruje nogi wręcz przeciwnie, choć i jeden i drugi wychodzą z rytmu wiecznego pytania — z serca, — tak przeciwnemi są te moje wyobrażenia w stosunku do ogólnego porządku rzeczy.

A hymny, sławiące piękność ciała, słodycz ust w pieśniach poetów, czyż mogą mieć setne odbicie w zwierciadle?

Czyż może ono stworzyć tę mglistą twarz, przy której harfa, zda się, chce jęknąć?

Oto pytania, które rozwiązujcie sobie — rozwiązujcie coraz cichszym szeptem.

* * *

Boli mnie głowa. Mam wrażenie, jakby w niej ustawiono olbrzymie organy, na których ręce Bacha grają operetkowe melodye. —

W dole, nizko odbywa się msza; — długa, posępna msza, od której drżą ponure rysy jakiegoś jedynego słuchacza. A motyw operetki, pod dłońmi Bacha, tak silnie przerzyna powietrze, że widzę, jak kolumny naw zaczynają się kołysać w kupletowem tempie:

Tralla-la, ha, ha, ha, —
Umiera bóg w ołtarzu — — —
I takie smutne oczy ma; — — —
Kyrie, kyrie — w ręce bij,
Żałości matko;
Miłość potężną jest,
Miłość jest codzień brukaną — szmatką,
— ha —Tralla-la i t. d.

Potem porywa mnie żal i sam zaczynam do wtóru śpiewać w melodyę znanej piosenki:

Opowiedz mi w kabaretowym tonie
— Dziecięcy płacz, którego nikt nie słucha,
Opowiedz mi, jak świeca w domu płonie,
Gdzie szczerby szyb potrząsa zawierucha.
Opowiedz mi w kabaretowym tonie,
— Opowiedz mi, — opowiedz mi.

Ja słuchać będę cię, o smutne życie,
Przez szkliwo łez, lecz paląc papierosa,

I wtórzyć będę, chociaż może skrycie
W gardło mi fałszem spłynie płaczu rosa.
Ja słuchać będę cię, o smutne życie,
— Opowiedz mi, — opowiedz mi.

A gdy się skończy numer twój ciekawy
— Et le rideau — stuknie o krawędź rampy,
Niech będzie dość wesołej tej zabawy,
Pójdziemy w świat, zgasiwszy w sali lampy.
— Pójdziemy w świat zgasiwszy w sali lampy...
— Opowiedz mi, — opowiedz mi.

Mam już dość grania i śpiewu; zaczynam tedy wyrywać niby Gerwazy rury organowe, i z huczącą jeszcze w nich melodyą, niby dymiące strzelby, rzucam je w dół.

Bach jest rozgniewany. Odrywa ręce od klawiatury i wydobywając z pod niej spory kufel piwa zanurza usta w pianie z mrukiem: — przeklęty szkodnik. —

Ja wtedy wychodzę, zamykam chór, i na wszystko spada biały puszysty śnieg, tłumiący odgłosy wielkiego miasta o gotyckiej monumentalnej katedrze.

GWIAZDOM.

Z chrapliwego oddechu murów wyrywam się nad ziemię, jako dymny słup.

— — I waham się, i płynę nad niziną rozlanych konturów tego wielkiego kręgu, który za jedyną granicę ma żółte uściski zachodu. —

Z ostrz wieżyc, z ziemskich ogrodów spełzają pode mnie i trzymają podstawę słupa—zapachy kwiatów, złoty kurzu pas, i chmury dymiącego ludzkiego potu.

Waham się i płynę — — —

W cienie, w jakieś sine szarości przechodzi zwolna żółta granica kręgu — — — a nade mną, w chłodnej pustce, bez turkotów i świstu, toczą się olbrzymie bryły gwiazd...

Gwiazdy, gwiazdy — — — gwiazdy! —

Głupie jedno słowo, które określa ciężar, blask i szybkość ogromów mas.

Z tem słowem potrzykroć ja ku wam wyrastam, i potrzykroć stawiam słup na słup — —

Aż kiedy w ciemnej, bezbarwnej przestrzeni stanę w poprzek świszczącym w mem pojęciu bryłom, i przybiją one cicho do tego nieznanego pala, jak srebrne kule mglistych fosforycznych świateł;

przybiją cicho, i odskoczą trochę, jak łódź, rozpędzona ręką wiecznego wioślarza, który dotąd znał wszystkie zakręty i wiry sinych lagun świata; —

Gwiazdy! — schwycę ja wtedy wasze srebrzyste puhary w zawsze pragnące dłonie, i przycisnę do rozwartych ust. — —

A nie mogąc z nich wymódz dźwięków szklanego druzgotu, — puszczę przez palce błyszczące odłamki, bez świstu, bez brzęku, — tam, w dół, — na nową drogę. — —

Gwiazdy, gwiazdy, — — gwiazdy! —

Po śmieciach ludzkich kurników, które się na gwiazdach rodzą, chodzi cierpliwie kogut niepoznanego szczęścia.

Chodzi po ziarnach złotego owsa i po suchym nawozie szarego dnia, i po trzykroć pieje. —

A pianie jego też mówi: — Gwiazdy, gwiazdy — gwiazdy! — — Ale na to znaczenie zapierają się mądre twarze własnych umęczonych Chrystusów, bo dobywszy uprzednio miecza ucięły przecie ucho przedajnemu słudze, a ten Chrystus je uleczył. —

... Tak blizko pieje nieznośny kogut; — i zapierają się twarze, aby usłyszeć jeszcze bliżej to jego pianie, tak blizko, aby się ono stało ciszą w ich uchu.

Wieczny wioślarz z bezgłośną piosenką mknie po siwych lagunach świata; —

na pływakach srebrzystych gwiazd mknie — — —

a tam, na nizinach, kulawy koń steruje pudłem, które obite jest suknem czarnem, i ma cztery turkocące koła. — —

Cześć wam, — — o gwiazdy.

* * *

Pociągają mnie zawsze rysunki lub obrazy starych żaglowych okrętów, — wysmukłych korwet i brygów. Ich wysokie omasztowanie, sieć lin i śnieżne płaty żagli, zbiegające się w ostrą piramidę uwieńczoną jaskrawym pawilonem, przypominają mi owe światy nieznanych uczuć, — szlachetnej odwagi piratów i zdobywców świa-

ta, — żeglugi wygnańców nantejskich, podróż Manon, i — pożegnanie — Harolda.

Widzę w nich całą otwartą księgę szlachetności wyniosłych żagli, walczących nad wodą, pod jawnym kolorem bandery.

* * *

Chodź ze mną nad brzeg pustego morza w noc chłodną.

Od chat rybackich, zdaleka, błyska światło i lekki zapach dymu snuje się w powietrzu.

Usiądź na skraju przewróconej łodzi, — ot tak: —

ja u twoich kolan --

I opowiem ci, jak chciałbym iść w tę ciemną wodę, aż pókiby nie podmyła mi nóg fala — dalej od brzegu, i poniosła het na wzburzony przestwór.

Jakbym tam kołysał się w szumie dobrych słonych fal i na twarz padłby mi pierzchliwy promień księżyca.

A potem wróciłaby mnie powrotna gędźba rosnących wód, i wróciłbym tu do twoich nóg, pod krawędź pustej łodzi.

Ale nic jużbym nie mógł ci opowiedzieć, i gdybyś nawet schyliła się ku mnie, nie wzniósłbym rąk.

Moja dusza wołałaby cię jeno w gędźbie rosnących fal, pląsając het na pióropuszach piany — w świetle drżącego księżyca.

LIRYKA.

Im głębszą staje się zima, im głębszy na wszystko spada śnieg, tem szaleniej myślę o wiośnie.

Nie o wiośnie miejskiej, nie o gwałtownem tętnieniu rynien, gdy spływa w nie zleżały, topniejący śnieg.

Myślę o pierwiosnkach, o błysku rozmokłych dróg wiejskich, o idylli pierwszej zieleni i pierwszej radosnej pieśni.

Ja, wstrętny i płochliwy człowiek, nieprzyjaciel mokrych dróg, wiosennego błota i marcowej zmiennej pogody. —

Jednakowoż, im głębszą jest zima, coś się we mnie rwie do tej nieobeschłej a radosnej wiosny.

Czuję w sobie pierwiastek stworzeń dzikich, tarzających się po pierwszej runi w oparach mokrych łąk.

Może wiem, ja biedny płochliwy człowiek, że na wszystko kiedyś spadnie śnieg, i moja pieśń zaklęta w zeschłej główce ostu potoczy się z wiatrem — hen, w śniegowe pola.

* * *

Sto wysmukłych wież i sto głębokich chłodnych cieni z pod arkad odbija się w wodzie.

I wiem, że za wieżami usypia słońce, i wiem, że za miastem wież zasypia wielkie morze. — — —

Siedzę u brzegu cichego kanału, trzymając w ręce półzwiędłą różę.

W takt bicia dalekiego dzwonu, którym co dnia głosi spokój jakaś daleka bazylika, opadają płatki różane.

I budzi się w mojej duszy cień wieczorny, spływa mi na rozkrwawione myśli chłód idącej nocy: —

Módlmy się bracia wieczorem za biedne więdnące róże,

gdy zadumany bóg nadaje wolniejszy bieg światom,

i gdy myśli boże, w postaciach bladych wędrowców, chodzą po ścieżkach i wodach zasypiającej ziemi.

LIRYKA.

Z chrzęstem zsuwających się żwirów schodzę nad morski brzeg.

Z nikim nie rozmawiam i nikt koło mnie nie idzie.

W dalekich wirach tańczących pian błyska jeno biel odległego księżyca, i szum, długi przeciągły szum tuła się koło mnie.

I przypomina mi się pieśń samotnego ducha, pieśń moja i nocy — — jedna pieśń.

I cóż mnie mogą obchodzić odległe żagle, ciężkie fregaty, z latarniami rozwagi płynące poprzez szum wód.

Żeglarze! — wy, którzy umieściliście na dziobie waszych naw opiekuńcze bóstwo, i płyniecie z niem poprzez wiry do dalekich wysp. Wy wiecie, że tam znajdzie się zawsze człowiek dziki, dziecię ziemi i słońca, z którym waszą kulturalną mową zagaicie korzystny targ.

Da wam ten człowiek za haszysz i wódkę wszystkie swoje

skarby, skarby pachnące jeszcze rosą leśną i potem pierwotnych z przyrodą walk. — — —

I wrócą fregaty z łupem walki, która — iż była prowadzoną w imię światła waszego boga — tedy dobrą i szlachetną jest.

— Dobrą i szlachetną, — szlachetni kupcy.

Wy, kładąc przecie w ręce dzikiego obraz waszego boga, dzieło miłosierdzia czynicie. — Niesiecie światło.

A nie troszczycie się, czy jest ono chociaż kagankiem w słońcu jego pierwotnych puszcz. — — —

Tak postęp buduje wielkie miasta, gdzie się pasły daniele, tak źródła górskich rzek chwytają wodociągi.

A prawdziwie dziki człowiek staje się ani mędrszy, ani lepszy, tylko może — smutny w waszej szacie ogólnego zakonu.

I płyną lata, i setki Ikaryj filozofowie wasi budują. — Ikaryj. — Bo nie wiedzą, że walcząc z prawdą budują coraz większy smutek sztucznej radości, — smutek dnia i godziny.

Nie jest ten smutek ani pragnieniem strącenia gwiazd, nie jest żądzą wplecenia się w ich kołowrót, aby boską torturą ducha dotrzeć do boskości słodyczy ducha.

Jest to smutek kredki, która, iż z opyłu gwiazd sklejona, nie może nie tęsknić przy plusach, znaczonych w księdze równinnej ziemi.

Uwierzcie w ten wasz pokorny smutek — wy, lepsi marynarze i kupcy.

Wasza wiara zmieni jego istotę, i to będzie najwięksa rewolucya, — błyskawica od wschodu do zachodu. —

Mnie samemu szumi morze. I wtedy najlepiej szumi.

Bo mogę dziękować wtedy, iż jam się nie urodził pod władzą kredki, iżem w ciżbie marynarzy jeden, który myśli o płynięciu wpław. —

Wiara w nieszczepione palmy i w słodycz ich owoców dzikich pozwoli mi wznieść się na fali — samemu.

A gdy znuży mnie ciżba okrętów i zakrztuszę się dymem okrętowych kuchni, —

pogrążę się w głąb' morza, tam, dokąd iść każdy z was czuje odrazę, bo nigdy mniej jak jedna deska nie dzieliła was od wody,

bo, znając grzbiet fali i kokieteryę wiatru, zgłębialiście ją tylko po to, by was nie zagarnęła toń, której świateł nie znacie — jeno cienie.

Szumi mi morze. —

Schodzę ku niemu sam, a jeśli płaczę, to dlatego, iżem z pośród was wyszedł, zostawiając was przy błędnej robocie spychania waszych tak pewnie przez was okutych ark — z mielizn — na nierozumiejące tych statków — MORZE.

LIRYKA.

Są na morzu przestwory wolne, gdzie nie szpeci słodyczy widnokręgu żaden drapieżny żagiel;

gdzie poezya ciszy rozkłada swój aksamitny płaszcz po blado turkusowej toni, i gdzie człowiek samotny może się wygrzewać na słońcu, rozciągnięty na płaskim grzbiecie skały.

A jeśli jest noc, i chłód powieje od stygnących roztoczy wodnych, tedy zasnąć tamże może, ogrzany pierzem niestrudzonych opowiadaczek — mew, które nie boją się go.

Gdy zaś czuwać i w nocy pragnie, — chwała mu...

Bo wzrok jego, niby wzrok ostrowidza, oślizguje się wtedy po promieniu gwiazdy w najgłębsze tajniki królestw podwodnych, gdzie w rozbitych zarysach korabi narodów widzi zwycięzko pleniące się życie miłej mu otchłani.

Jeśli zaś wzniesie oczy ku niebu, to widzi migocącą procesyę dalekich światów, a harmonia ich ruchów zlewa się z marzeniem jego własnej harmonii.

Bo i tam wzrok jego przenika dalej, niż gdyby przesłać go mogły wszystkie szkła ziemi.

I w symfonii olbrzymich skrzypcowych zespołów, jaką dyszy wirujący wszechświat, odnajduje klucz swojej dziwnej odpowiedzi:

— dlaczego chcę być samotny. —

Widzi on, iż ciąży nad wszechświatem prawo tylko dowolnej harmonii, a z poczuciem obowiązku, początku i końca rodzi się każda bryła.

I nie chwyta to prawo bryły-wyrodka, gdy ta, ruchem samozwańczej głupoty, z koliska tonów wypryśnie.

Niech się raczej roztrzaska ona w pył, niż gdyby odjęto jej chęć próby.

Bo po huku, jaki zamąci na chwilę harmonię sfer, zacznie się jeszcze słodziej symfonia tych, które same kiełznają nuty swych pieśni, o tyle, aby istniał w przestrzeni ów cudowny chór, — taniec

jarzących się brył, które żyją, z poczuciem życia, w zakresie końca i początku.

* * *

Biegnie światem wojna —

Biegnie światem wycie oszalałej krwi, — powietrzem mknie ono na wściekłym rozbestwionym koniu.

A ma ten koń zwieszony u gardła wielki dzwon, a dzwon się aż zatacza syczeniem metalu, w podskokach.

Na chmurach skrzepłego mroku, na rozciągniętych dymach spalonych domów, drgają błędne ogniki oczyszczającego ognia.

Jeruzalem wszędzie, Jeruzalem, zdobyte nie przez Rzym, i wyrżnięte nie przez żołdaków Tytusa.

Tytusami są sobie jerozolimczycy tych miast, taranami są sobie wzajemnie ich twierdze syońskie.

Duch, spoczywający na skrzydłach cherubów arki, i gołębica świątyni — rzuciły się na siebie z krakaniem oślepłych orłów.

— I rwą się żyły mężów, toczących głazy na reszty murów, trzepocą się ręce dzieci, przybitych strzałą do drzwi rodzinnego domu, — do kołyski.

— Motyli trzepot...

Światem idzie wojna, — pędzi, a dzwon jej wyje; krwiste kręgi wycia rozchodzą się po chmurze skrzepłego mroku.

I cóż będzie za wojną?

Gdy gwałtowna nienawiść płodzi szybciej od spokojnej miłości, a z rumowisk fundamenty stare podeprą nowe domy?

Cóż będzie za wojną?

O moja myśli! — rozkuj swoje syczące pytania. —

Gdzież Feniks, rodzący się nie z popiołów, ale ze stosu jeszcze nieodpadłego od kości mięsa?

Gdzież ogień, który strawił lekkie drzewo, a ostawiwszy przecuchły kamień wrócił do bytowania w ognisku?

O moja myśli!

To potrzeba walczy, a nie przeczucie!

Ostatnie jest ognistem jej tchnieniem, które, gdy potrzeba osiada, by rodzić prawa, pokolenia i czyny, ono idzie w mózg i wypala piętna pragnącej pogardy.

OPOWIADANIE.

Po pustych miastach — włóczą się globy słońc, w płomieni swoich złocie; — — —

śpij słodko, myśląc o włóczęgach świateł. —

Bezwiedne kroki chodzą w ślad za tobą, gdy we śnie wodzisz dłonią po konturach życia.

Pozłoty bladej widma na twych snów gobelin bezwiedni tkacze kładą w mleczne noce, — — — i pryska chłodny zdrój rozrzewnień na obrazy dalekich świata dróg, gdzie kwitną szare róże.

Śpij słodko; — lśniące koło jasne jutro trzyma, by puścić je w bolesny, skrzący tan, i wyśmiać próchno rojeń.

O, póki nie wiesz, jak oślepia ten błysk koła, — śpij słodko i śniąc szepcz prawdziwe żądze życia.

W krzywych uliczkach miast, gdzie się rozrasta błoto, włóczą się globy słońc, w płomieni swoich złocie. —

Poco się włóczą tam słoneczni ci pijacy?

Czy jakieś buntu pieśnie wzniecić chcą w zapadłych szybach?

Czy chcą w olbrzymów świat schorzałe wtrącić dusze? —

Śpij słodko; — słońca muszą włóczyć się po ziemi; —

— aby nie popadł w zbytnią wzgardę cień — od starych domów;

— aby wytykać można było tych pijaków brudną dłonią, — z owego cieniu, który słońcom zmódz smutku nie daje.

A szanowany cień jest twierdzą brudnych serc i dłoni.

Śpij słodko; bowiem nie wiesz, ma dziecino mała, że te włóczęgi słońc, jako i twierdze cieniów, istnieniem sobie wzajem dają życie — — a muszą żyć tak słońca jak i cienie.

— Proś we śnie bogów o inaczej wklęsłe lustro prawdy —

LIRYKA.

Zostawiono mnie ze skarbami mojemi, mówiąc:—oto masz to, co-ś dał; — weźże z powrotem. Twoje złoto złotem dla mnie nie jest, — twoje matowe, smutne złoto.

Lubię jesień jabłek dojrzałych, lubię tkań pajęczą na płonącym owocu, a kolor twoich skarbów nie jest taki.—Weźże je z powrotem. —

I zostałem się w punkcie, gdzie rozchodziły się od nagiego pola tysiące dróg, niby promienie. A przede mną, na ziemi, garść skarbów moich.

Cóż uczynię z niemi?

Stworzyłem je sam, i dary z nich niosłem, — dary odtrącone, które dla mnie teraz nijaką są wartością. Jednak zabrać je ze sobą muszę, bo twór ci to mój, a gdy odejść zechcę, — wszędzie pójdą za mną.

Wierny pies — ta moja, stworzona przeze mnie, bezużyteczna już wartość.

Nie poniosę jej, aby się pozbyć, na targi innych krajów,—nie poniosę.

Bo dla mnie bez użytku są — sprzęty zbytkowne, — ciężka szkatuła ze sznurami pereł, w szybkiej podróży.

A czy weźmie je kto w jakim kraju jako perły, gdy nie ocenił ich perłami — człowiek?

Ciężki naszyjnik biorę na ramiona, w szybką podróż idąc. — Muszę go ze sobą wziąć.

I każda perła, każda kulka tego ciężkiego różańca sama wsunie mi się w niezajęte ręce, w godzinę myśli wieczornej.

Abym uczuł wyraźniej chłód zawisłej nocy, ja, szybki podróżnik.

Hej, wkoło mnie toczą się jeszcze szybciej koła, — morzami płyną okręty.

I gdy widzi mnie słońce, miasta, kramy, przekupnie i tragarze, idę wesoło z tłomoczkiem na plecach, a płaczę tylko w nocy.

Bo wtedy jest mój sen, i to jest mój odpoczynek.

A na imię mu bezprzyczynna skarga, beztreściwa tęsknota zbyt gładkiego jutra.

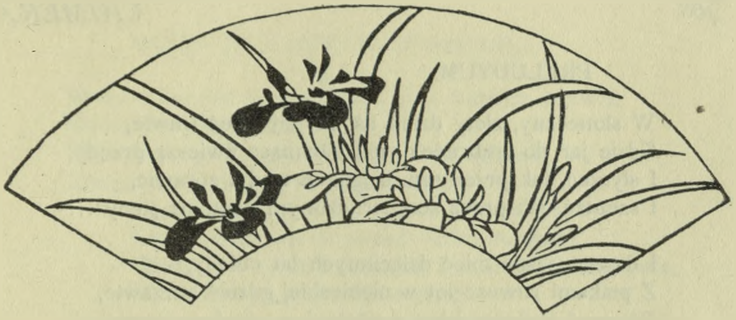
Dalekim jeszcze od końca podróży, iż bez przyczyn się skarżę i bez treści tęsknię.

Czy doniosą mię nogi do słodkiego krańca?

Czy ujrzę spokój we wszystkiem, co jest żywe i sprzeczne?

— Wschódź i zachódź, słońce.

Aleksander Szczęsny.



ANTOLOGIA.

OKO.

Czuję w siebie wciąż wbite, niezbłagane oko,
Niedostępne dla zmysłów, możne wielką mocą,
Wciąż rozwarte, a czujne zawsze, dniem i nocą,
W najgłębszą głąb' mej duszy wpatrzone głęboko.

Czasem płoszy mi radość myśli niepokojem;
A kiedy roztargnienia szukam w zgiełku, w tłumie,
To oko jednem mgnieniem nurza mnie w zadumie,
I ścichłe nurty serca mąci uczuć bojem.

A kiedy się pogrążę w samotności ciszę,
Cały umysł wytężę w przepaści mej duszy,
Gdy słuchając fal serca, każde tętno słyszę,

I tak swe myśli skupię, jak wódz sprawne hufce,
Dostrzegam, jak, z pod mroków nieprzerwanej głuszy,
Me życie w niezbłaganej migoce tęczówce. —

Stanisław Barącz.

PRELUDYUM.

W słoneczny, złoty dzień na młodej leżeć trawie,
Gdzie jar do srebrnych wód pachnące zwiesza grzędy,
I słyszeć, jak przez sen, ciągnące w dal żórawie,
I szeptać, jak przez sen, strudzonym ptakom: „tędy“...

I dawne, jasne mieć dziecinnych lat obłędy,
Z ptakami równać lot w niebieskiej gdzieś kurzawie,
Otrząsać słońce z piór, a później w ciepłym stawie
Do oczeretów lgnąć na ptasiej głos komendy!

Och! dzieckiem znów się czuć w objęciach matki-ziemi,
I Bogu prosto w twarz pogodną patrzeć znowu,
I modlić się, i śnić, i w wonną pierś parowu
Z zapartym wpić się tchem ustami spalonemi —

I śmiać się, strasznie śmiać — do łez, do krwi serdecznej
Że dusza kwitnie znów w zapłodnień czas słoneczny!

M. C. Bielecki.

BŁOGOSŁAWIONE...

Błogosławione niechaj będzie nam cierpienie,
I to, które minęło, i to, które minie,
A które nas tu wiecznie poprzez piekła żenie, —
Błogosławione zawsze, o każdej godzinie!
Błogosławione — bowiem w nim się duch nasz krzepi
I najgłębszych doświadczeń gromadzi skarbnice;
Bo raczej niż Pigmejem żyć szczęśliwym, lepiej
Heraklem w Dejaniry umierać tunice.
Bo gdy szczęście wąziutkie zwykle ma granice
I szybko cię w ślimaczej skorupie zasklepi,
Ból bez granic jest, dusze odwraca na nice,
Przezeń głąb' bytu widzą nawet duchem ślepi!
Niech więc błogosławione będzie nam cierpienie,
I to, które minęło, i to, które minie,
Niech nas raczej przez piekła wiecznie ono żenie,
Niżbyśmy zgnuśnieć mieli w szczęścia mdłym bezczynie!

WIERZ MI — JEST W LUDZIACH...

Wierz mi — jest w ludziach, i to w każdym prawie,
Nierozwinięta piękniejsza istota;
W nędznej powszednich cnót i wad oprawie,
Zmieszana z gliną mała bryłka złota.
Choć, gdy nas życie w pęta swe omota,
Ginie, stłumiona w podłej rynku wrzawie,
Wierz mi — jest w ludziach, i to w każdym prawie,
Nierozwinięta piękniejsza istota.
Z niej to powstaje, gdy czasem łaskawie
Los da jej odżyć, za pięknem tęsknota,
Co nieraz nawet najlichszymi miota.
Bo choć zgubiona w marności kurzawie,
Wierz mi — jest ona, i to w każdym prawie. —

Kazimierz Błeszyński.

FANTAZYA.

Jest gwiazda jedna smutna, blada,
przez oćmę szarą z niebiosów świecąca,
co wiecznie w otchłań, w noc zapada
i znów się wzbija ponad słońca.

A jeden dziwny ptak przelotny
buja w dalekim, wysokim błękicie,
a jeden biały kwiat samotny
z mogiły czerpie swoje życie.

A gdy się z niebios już oćma osunie,
gwiazda ta blada śpiewać zacznie,
a kwiat się zerwie i w błękit pofrunie:
ptak zakołuje się rozpacznie
i na mogiłę martwy runie.

NA CMENTARZU.

(Mysi królik śpiewa:)
Tak cicho dzisiaj na twoim grobie,
nie jęczy nic, nie woła,

i niebo uciszone skrzydłami anioła
milionem gwiazd śpiewa tobie.

Nie płaczesz? Prawda, wszystko się prześniło,
ten ból i życia łaknienie?
może się cieszysz tą cichą mogiłą...
Życie? Śmierć? Cienie, cienie, cienie, cienie.

Anna Bronisławska.

BŁĘDNY RYCERZ.

— O mój ty cudny — tyżeś to, ty?
[dusza się lęka, rozpaczą drży...]
— Takam stęskniona — czekałam wciąż — —
[w duszy nie zasnął przeklęty wąż...]
— Tęsknocie mojej nadszedł już kres — —
[dusza ma spada w ocean łez...]
— Śniłam o tobie w dziewiczych snach — —
[dusza ma schodzi w podmorski gmach...]
— Jam ci księżniczka, dla ciebie tron — —
[duszy mej biją w głębinach w dzwon...]
— Serce me leży u twoich stóp — —
[duszy mej kopią delfiny grób...]
— O pójdź — na gody — czas nam już, czas! — —
[dusza skonała tysiączny raz — — —]

Michał Bukowski.

UŚMIECH.

Blady elfie uśmiechu, mądry nad pojęcie,
Ty kochanku tęsknoty, smutny okpiświacie,
Maryonetko-błaźnie w duszy mej dramacie,
Ty dajesz mej niedoli kosmiczne zacięcie.

Ty mówisz o miłości mej cudownem święcie
Jak o sekundzie w wiecznym istnienia kieracie,

Dla ciebie ból i radość to zwykłe postacie,
To szablon w nieśmiertelnym przemian elemencie.

Wiesz, że raju nicości anioł życia strzeże,
Lecz choćby ci otworzył jej słodkie oścież,
Ty gardząc mówisz o niej jakby o fragmencie

Wieczności, czczym, jak miłość, ja, ty, ból, istnienie —
Cóż z niej, gdy człowiek raz już przeszedł przez cierpienie. .
Blady elfie uśmiechu, smutny nad pojęcie. —

Ludwik Eminowicz.

SEN.

Są jawy, które giną śród Lety wartkich fal,
Jak przepadły bez echa ton lotnej piosenki,
Jak garść śmiechu, rzucona w krwawy przestwór męki,
Jak sen...

Są jawy, które w sercu ból niecą, jako stal,
A tają, jakby w słońcu srebrne śniegu płatki,
Pierzchają, jak motyle z wspomnień kruchej siatki
gdzieś hen!..

Są sny, co trwają wiecznie, jak Apokalipsy
Barwna księga: czas żaden ich głosek nie zatrze;
W życiu milion jaw przejdzie, jak w amfiteatrze, —
A wspomnienie wciąż krąży po łukach elipsy
Wkoło takich słońc śnionych i niedosięgnionych...
jak... sen!..

Fr. Galiński.

ROZPACZ.

Kula czarnej przestrzeni gasi oczy moje,
Dźwięki milkną, jakgdybym głowę tulił w puchy,

A w usta Niewidzialność leje mi napoje.
Piję chciwie, jak w febrze, niemy, ślepy, głuchy.

Krew moją, moje soki — jadowite morze
Czarnym pluskiem zalewa, więc wyciągam ręce..
Ratunku!.. lecz napróżno... w bezsilnej pokorze
Tonę idąc naprzeciw nieodpartej męce.

Ale im bliżej spadam do kresu bezdeni,
Im czarniejszą jest czarność, a dzikszemi dzicze,
Tem wyraźniej mnie wabi słodki głos syreni:

„Postaw stopę bez lęku w krainy dziewicze,
Gdzie niemasz słońc, co tkane z gasnących promieni,
Gdzie gorycz nieśmiertelne podaje słodycze."

Ignacy Grabowski.

FANTAZYA LIRYCZNA.

Nie płonąc jak ten gmach, gdy w migotliwych skrach
Krwawiących biały dym chybotał się widomie,
Aż w gruzy z hukiem padł, spopielon do przyciesi, —
Do cna się stliły — wiem — choć zwolna i tajemnie
Wierzenia w duchu mym...
To żywiołowe płomię
Nie prószy gwiezdnym dżdżem zapału w bytu ciemnie;
Dziś starty po niem ślad i nic go już nie wskrzesi...

Mój świat się odtąd przemienił wszystek bowiem
W zaprzepaszczoną a pustą już kopalnię,
Gdzie otoczona skomlących zwątpień mrowiem
Zagłada mściwa panuje tryumfalnie.
Dziś droga moja — to nagie, głuche sztolnie,
Gdzie rany zieją ich wytrzebionych żył,
A zapleśniała ciecz miarowo kapie w ił.
Tu gnuśny smutek i beznadziejność wkrąg
I skarg tu niemych szybuje błędny ciąg...
Choć za bezczucia oglądam się wezgłowiem,

Tęsknota gna mnie precz...
I oto resztą sił
Wyloty żłobię w ciemnicy swej mozolnie,
I bez tchu czekam, nuż z jakiej mi czeluści
Otucha wzejdzie odrodzeń srebrnym nowiem,
A bodaj, niby iskrzyce sine, spuści
Ogniki lotne złud...
Lecz zmarniał ciężki trud...
Już oto idę wstecz... Już z wyciągniętych rąk
Przed sobą, w próżni, uczynię tarcz jak ślepce,
Gdyż nagłej trwogi mróz porywy me kamieni,
Że u zawodu wrót i gniazdo żmij nadepcę...

Nie wody mi ze szluz rozbiegły się w przestrzeni,
Całunem szklistych pian kwitnący niszcząc łan;
Lecz pierzchła z piersi mej moc władna ukochania...
Jej żywy zanikł zdrój, co płynie falą rtęci
Z odwiecznej prawdy mórz przez padół nędz i burz,
Odblaski niosąc zórz w zaświatów bezgranicze, —
Gdzie prąd zaś toczy swój, zdobywczy pochód święci.

Lecz nito jeniec — gdy ongi skinę — to mi
Stułonne z głębi kniej chorały tuż oddzwania,
Nim na solenny ton i ducha tak nastroję,
Że sama klęknę już, ku ziemi gnąc oblicze,
Aż mnie modlitwa zachwytem oszołomi,
Na pogrom żądzy sposobiąc serce moje. —
Gdy chcę — to wydmy dusz napawa samotnicze,
I życie budzi w zdrętwiałem uczuć ziarnie,
Aż zaszeleści tam wydajnej runi błam.

I oto w sercu mam — gdy wskroś bluszczowych ram
Kolejno ze wszech stron — na rozkaz mój — przygarnie
I wszystko na swem dnie przesuwa tuż przede mną:
Lodowisk pola, czy łączne wirydarze,
Taneczne pliszki i dzieci zwiędłe twarze,
Snop kalinowych gron, czy zabłąkane sarnię —
Że raz do turni lgnę, to muskam darń przyziemną.

I groźny tem się skon w odbiciu jego staje,

Czem jest drogowskaz on, wiodący na wyraje...
I nie zdjąłby mnie dziw, gdy wówczas bez pamięci
Wybiegam z gąszczu iw popatrzeć, jak mnie nęci
Perłowa chmurka-łódź, bijąca w złote wiosła,
I by mnie słówkiem „Pójdź!“ ze sobą w wyż uniosła...

Lecz już odbiegło mnie, w zachłannej tonąc mgle,
To zaludnione, a cudów pełne wczora,
I wszechświat zerwał przedziwne ze mną spójnie...
Dziś — skoro ujrzę w odosobnieniu swem,
Jak drzewo życia odkwita zawsze bujnie,
To żal mi ostrym kłem nurtuje w sercu czczem,
Że dziś niszczeję jak odpryśnięta kora,
I nie zrość mi się — wiem — z ojczystym nigdy pniem. —

L. Kalenkiewiczowa (El-ka).

INKANTACYA.

Bogowie, których stopy przelatują ziemię, a czoła wspierają niebiosa!

Czarodzieje, nachyleni nad tyglem świata!

Oblicza wielkie i olśniewające nad tłumną konwulsyą budzących się dusz!

Święty Wiecu nieustającej a groźnej pomocy!

Starcy piorunowi!

Miryadogwiezdna korono Człowieczeństwa!

Ojcowie, którzy królujecie w Niebiosach!

WPUŚĆCIE DO DOMU WYGNAŃCA!

Z głębi najniższych piekieł w te mgły czyscowe pełne majaków—
przez bagna rajów i smoczych paszcz otchłanie —
przez wrzawę potępieńczych śmiechów i łkań —
przez nudę, wyuzdanie i torturę —
przez pustynię, grzech, obłęd —
przez śmierć —

w te mgły czyscowe pełne majaków, pod blade światło skłębione w tumanach, doszedł wasz twór —

Z MGIEŁ WYPROWADŹCIE WYGNAŃCA.

Wy, coście w najgrubszy łom granitu zaklętą iskrę żywą widzieli
w nieustających a strasznych zapasach z fatalizmem kamiennym;
wy, których niewidzialna miłość, sroga a pełna łaski, rozkazywała
rytmowi jej płomienień i zagasań, i potęgowała jej moc walką,—
aż, rozpaliwszy głaz do rubinu, buchnęła wreszcie wyzwolonym
ogniem czystej duszy!
Wy, coście tę duszę czystą już, lecz niemą, drżącą w zimnie swej
nagości, obłąkaną nagłym zjawem lic świata, wprowadzili do
cisz niemowlęcych, na czubach kołysali drzew, owiali pelikanowym tchem, utkali jej nowe ciało, z ognia i lodu, z jawy i snu!
Czarodzieje! Bogowie! Ojce!
Szatani pokus i Anioły Stróże!
Sędziowie i kaci!
Zmartwychwstańcy i wskrzesiciele!
Tryumfatorzy i zbawcy!
Drwiąco uśmiechnięte drogowskazy!
Nieprzejednane święte Przyjacioły!
Argusowa straży nadludzkich pogranicz!
Stulica Miłości!
NIECH SIĘ DOPEŁNI CUD!

Oto zakipiała czara niebieskiej żądzy!
Oto chmury zapala płomień tęsknoty wezbranej!
Anioł chce się narodzić!
Czołem rogatem potrzykroć bije we wrota!
Sercem sieroty potrzykroć wznosi błaganie!
Dłońmi czujnemi potrzykroć mroki przetrząsa —
Chwycił się wrót —
Bramami nieba wstrząsa —
— W imię Światłości, co bramy nieba otwiera,
OTWÓRZCIE DOM!

Wielkie Anioły!
Poszóstne rozsuńcie skrzydła —
Niech śmiałka rozstrzeli krzyżowy strzał waszych ócz —
W bezkresy zórz,
A światło świata wieczyste skrzydlatym oczom zaświeci,
GDY SIĘ DOPEŁNI CUD.

Marya Komornicka.

SAMOLUB.

Wielka godzina przeznaczeń się zbliża...
Łan mój w hymn kłosem ciężarny uderza...
O, że mi dano z mojej Męki Krzyża
Patrzeć na złote mej ziemi wybrzeża!..

Wielka przeznaczeń godzina wybija...
Śmierć z ostrą kosą wpełzła z świtem ranka...
O, że mi dano patrzeć, jak wypija
Ktoś moje mleko... z mego... z mego dzbanka!..

A kres się zbliża... W złotym łanu łonie
Pieśń się poczyna o przyszłym żniw plonie...
Ktoś się tam skrada... Widzę obce twarze!..

A łan się chwieje w Pieśń kłosem ciężarną...
Umieram! Obcy w sierp dzwonią żniwiarze
I w swe śpichlerze moje zboże zgarną.

Czesław Krzykowski.

TARCZA.

Prócz mnie — nie będziesz miał oblubienicy,
Prócz mnie — nie ujmiesz innego zwierciadła,
Byś w niem się własnej odeśnił źrenicy,
Do mosiężnego podobien widziadła!
Żadne ci dziewczę różanem brzemieniem
Kruchego ciała — ramion nie obarczy, —
Ni warg znikomem nie skala imieniem, —
Rycerzu! wiernym pozostań swej tarczy!
Ja ci przechowam, odbite w mem łonie,
Doliny, góry, jeziora, niebiosy, —
Ja wrażych mieczów pogróżki i ciosy
W spiżowe hymny dla ciebie rozdzwonię!
Twój sen lękliwy uzbroję swą chwałą,
Aby mógł snić się bez trwogi, bez skazy!
Obronię ciebie miłością wytrwałą
Od złego ognia, od rdzawej zarazy!

Obronię ciebie od wszelkiej tęsknoty
I od uroku zatrutych strumieni, —
Od burzy czarnej, szkarłatnej, i złotej,
I od tej, co się po grobach zieleni!..
Od niepamięci błękitnych pocisków,
Których się orły w niebie nie ustrzegą!
Od zemsty bożej, od ciebie samego
I od mych własnych ku tobie rozbłysków!

A gdy już w ciszy, pod moją obroną,
Pierś twa dojrzeje w kwiat wielki i wonny,
Wtedy jej żadną nie kalaj osłoną
I bądź mi — nagi i bądź mi — bezbronny!
Nie poskąp krwi swej, ni serca, ni ciała
Pazurom bogów, aniołów lub sępów!
Nie wzbraniaj światu, co tęskni i pała,
Nieprzeliczonych do duszy dostępów!
Choćby cię zgrają opadły zaciężną
Wylęgłe w słońcu upiory i płazy,
Ty — pierś, śpiewowi na wieki przysiężną,
Odsłoń na ognie, na rdzawe zarazy,
Odsłoń ją nagle na wszelką tęsknotę,
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!..
Na odtrąconych ukochań powrotność,
Na różobrańczą wichury swawolę,
Na wrzaski orle, na żądze sokole
I rozszalałą istnienia samotność!

Często o tobie sny miewam mosiężne
I o tej chwili, i mojej, i twojej,
Gdy, bezbronnością wyzwolon ze zbroi,
Dosięgniesz tego, co nie jest dosiężne!
Gdy żaden odzew prawdziwy lub mylny
Nie ujdzie twojej stubramnej gościnie,
I gdy świat cały, ku tobie pochylny,
W zaświecie twoim, jak w morzu, zaginie!
Gdy, spłonion ku mnie zniechętą słoneczną

I przytakując zadumie brwią ciemną,
Mnie — już spełnioną, czarownie zbyteczną —
Ciśniesz o ziemię w niepamięć nikczemną!
A ja się z jękiem u stóp twych rozpadnę
Na ognie błędne, na rdzawe zarazy,
Na dzwonnej śmierci ostatnie rozkazy
I zanieśpiewań lamenty kaskadne!
Na wszelką niemoc, na wszelką tęsknotę
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!..
Na mchy i bluszcze, wypełzłe odziemnie
Ku podeptanej mych spiżów ruinie,
I na to wszystko, co zginąć ma we mnie,
I na to wszystko, co w tobie nie zginie!

Bolesław Leśmian.

CHIMERY KATEDRY PARYSKIEJ.

Chimer ród fantastyczny obsiadł cały tum,
Na dzierzganych balustrad kładzie się krawędzie,
Z ganków wież się przegina w ciekawym zapędzie,
Z gęstwy roślin kamiennych wychyla się tłum.

Dziwiąc się, pilnie patrzą, co było i będzie;
Czy z gromami szaleje chmur urwanych szum,
Czy wieczór dzwon kołysze do pobożnych dum,
Na miejscach swoich trwają, czujnie bacząc wszędzie.

Osobliwy im świat ten, zmienny, jak toń wód,
Taki on różny od nich, i wszystko im obce,
I tak śmieszny chimerom nowożytny ród...

Wzrok weń wparły, lecz znać z ich nieuchwytnych min,
Nie wiedzą, na tragedyi-li są, czy na szopce,
I lekko powstrzymują drgający śmiech drwin.

Kazimierz Lubecki.

ŻĄDZA.

Rozegrała się we mnie moja krew i śpiewa,
A serce jest krwi mojej muzyczne narzędzie;
A fala w nie uderza w oszalałym pędzie,
I burza w nie uderza, i z ogniów ulewa.

Prężą się żyły we mnie jak struny harfiane
I szatańskie swe na nich krew wydzwania hymny;
Zwarłem krąg kłów mych biały, swą białością zimny,
Na kłach białych krew czuję, a na uściech pianę.

Przepomniałem mych śpiewów, którem śpiewał co dnia,
A które-m anielskiemi mienił, duszo moja!
Inne począłem prawić u mętnego zdroja.

Stanęły mi nad głową licem piękne stróże,
Grzech usta całujący i milcząca Zbrodnia...
Nogom nagim wężowy kłąb mam za podnóże

Kornel Makuszyński.

W GŁUSZY.

(Fragment.)

...Błądziłem po tej głuszy, nawpół oszalały
z tęsknoty żrącej duszę, z miłości dla puszczy,
oszalały z tych jęków, co wokół mnie łkały,
co ciągnęły od jezior, od kwiatów i kuszczy.
Błądziłem, w słuch zaklęty, nawpół oszalały...
Przysięgam!.. ten las mówił, mówił ludzkim głosem,
a jam go nie rozumiał, bom stał skamieniały
z martwym potem na czole, z podniesionym włosem...
W ciemnościach sine iskry niepewnie pełgały,
zmrok łopotał skrzydłami, aż przysiadł nad puszczą
i napełnił ją duchów niewidzialną tłuszczą,
co mnie w taniec powiodła wściekły, rozszalały:
słyszałem tętent kopyt i łap ciężkie kroki,
czułem jak skrzydeł pióra żarem na mnie wiały,
i echa ich furczenia płynęły w pomroki...

A we mnie był strach tylko. Z najeżonym włosem,
męczony ciekawością, stałem oniemiały.
A bór mówił wciąż do mnie, mówił ludzkim głosem.

Nareszcie zrozumiałem. On mówił: „Daleko,
„gdy przejdziesz te mokradła, hen w zachodniej stronie,
„za siedmioma górami, za trzynastą rzeką,
„leży pełne spokoju i ciszy ustronie.
„Tam, śród skalnych rozpadlin, w mroku pełnej niszy,
„rozsiadła się Martwota na bezdusznym tronie
„i pilnuje Królewny, co, uśniona w ciszy,
„leży pełna tęsknoty w niebytu koronie.
„Jeśli w piersi ci iskra wulkaniczna płonie,
„jeśli Duch twój się czuje niby rozpętany
„Tytan mocny, co tchnieniem gasi huragany,
„— idź i śpiącą pocałuj w wychłodłe jej skronie!..
„Ona wstanie zbudzona; lodowe pawęże
„stopione w mgłę się zmienią. Jej Dusza zapłonie,
„ramiona wokół ciebie splotą się jak węże!..
„I w tym uścisku doznasz nadziemskiej rozkoszy,
„co cię czarem nieznanym dotychczas owionie,
„co roztworzy ci niebo, lecz ci spokój spłoszy."

Szedłem długo, tak długo, że rachuba czasu
zatarła się w mej myśli. Szedłem zadumany
w ciągłej nocy przez zmroczne korytarze lasu,
przez bagna i topiele, przez martwe polany...
Las milczał, lecz przebrzmiałe słowa opowieści
rozbudziły mi w duszy radosne peany,
pełne jakiejś roskosznej tajemniczej treści,
co mi noc zamieniały w cudny nimb świetlany.
Szedłem jakgdyby we śnie, słodko omotany
wiotką nicią tęsknoty, której ręka biała
na kanwie moich marzeń złotem haftowała
obraz śpiącej Królewny czysty, nieskalany.
Las się skończył. Już dawno zostawiłem w tyle
stepów i łąk bezbrzeżnych szumiące burzany
i wkroczyłem w krainę, w której jak w mogile
smutno było i cicho. Skalista korona
otoczyła głaz czarny księżycem oblany,
a na nim w śnie głębokim spoczywała Ona.

Poznałem ją, to Ona!.. W bezszmerne wieczory,
w noce pełne maligny, gdy duchy szalone
biją skrzydłem zranionem o tajne zawory,
widziałem jej źrenice we mnie zapatrzone!..
To Ona, co mi jątrzy rany zabliźnione,
i bierze dań z łez moich i z ducha osnowy...
(to ducha mego wieniec bolesny cierniowy!..)
Więc, gdym ujrzał to widmo w mą duszę wszepione,
zadrżałem, bom miłował jak pies łańcuchowy...
Czasem siostrą mi była lub świetlanym widem,
to pełne wyuzdania jej oczy zielone
rozpalały mi we krwi żądze rozbestwione
tryskającym z nich ogni cielesnych bezwstydem.
Gdy pierś wzbierała żalem, chciałem na jej łono
paść, i w głośnem szlochaniu łzy wylewać słone;
lub znowu w męce szału jej włosów oponą
pragnąłem być spowity tak, by w ciało jedno
dwa duchy jednym żarem sobie zaślubione
weszły — i razem padły w miłości bezedno!

Chciałem przypaść do ust jej i zaszczepić w żyły
ten ogień, który gorzał w mojej duszy skryty,
chciałem przelać w nią męki, które mnie paliły,
i zbudzić ją dla siebie... Wtem stanąłem wryty.
Dreszcz mną wstrząsnął śmiertelny, jakiś chłód padalczy
wionął na mnie jakgdyby z pod mogilnej płyty,
zatopiwszy mi w piersi lodowe dziryty.
I uczułem, jak kona to, co we mnie walczy.
Spojrzałem — tuż przede mną w mgłę parną spowity
czerniał cypel, a na nim opuściwszy dłonie,
tak wielka jak najwyższe skalnych urwisk szczyty,
rozsiadła się Martwota na bezdusznym tronie...
Padłem wtedy na śpiącej zesztywniałe ciało,
lecz poczułem omdlały, że ogniowe nity
zagasły w duszy mojej — że sił mam zbyt mało.
Usta do ust zbliżyłem, i to uściśnienie
odemknęło na mgnienie ócz jej chryzolity
i wyrwało z jej piersi jedyne westchnienie.

J. St. Mar.

ZACHWYCENIE.

W otchłani dawnych lat
Budzą się senne echa,
Umarłych cichy świat
Z za mogił się uśmiecha...
Staje się wielki cud:
Jak mgły osłona blada,
Rzeczywistości złud
Stubarwna łuska spada.
Kruszy się granit skał,
Słońc jasna ćmi się szata,
Znikają widma ciał,
I wszelki pozór świata.
Przystanął w biegu czas,
Ucichły serca bicia,
I niema, niema nas,
I niema więcej życia...
Ogniska tylko dwa
Ostały po tym zgonie...
To wieczne szczęście trwa,
I wieczna miłość płonie.

J. Mzura.

ZNUŻENIE.

Ukojeń łąka... Po leśnej polanie
Tuman przedzmierzchu leniwie się błąka,
Ciemnych paproci wytworna koronka
Chyli się sennie na mchowe posłanie...
— Och — jak mię nęci nieodczarowanie
Ukojeń łąka — —!

Nierozkwitłego tajemnicę pąka
Unosi w bory ciche wiatru granie,
I przesłodkiemi łzami rosy kanie
Ukojeń łąka —

W ciszy bezmiaru drży słodkie rozśmianie...

W szelest zrywanej w mgle przędzy pająka
Zmienia się gorzka przesytu rozłąka —
A za sen — myśli wieczne daje trwanie
Ukojeń łąka...

Zofia Rygier-Nałkowska.

FANTAZYA WIOSENNA.

W wiosenne ciche rano, gdy w niebios topieli
Błękitnej, czystej błyszczy złote słońca lice,
Kiedy w sadzie słoneczne drzemią tajemnice,
Z kwiatów Wonie wychodzą, Przeczyste Dziewice.
I płyną zwolna, cicho w szat pajęczych bieli
W stare, do nisz tajemnych podobne aleje,
Gdzie słońce przez gałęzie blaski złote sieje.
Przystają... Szepcą sobie jakieś tajemnice.
Dziwnemi błyszczą blaski modre ich źrenice.
Tak cicho i powoli biały orszak płynie.
To przyrody ogromne, święte tajemnice.
Słońce blaski złociste ściele na ścieżynie,
A barwiste, złotawe i białe motyle
Siadają im na mleczno-błękitnawe skronie.
I szepcąc tajemnice, w złotym słońca pyle
Płyną przez sad odwieczny te Dziewice-Wonie.

Konrad Robakowski.

JA I SZATAN-DEMIURGOS.

(Melodya myśli).

JA. Szatanie! ty, mój poddany i królu!
Szatanie! jaka twoja tajemnica?

SZAT. Odkąd zechciałem ogarnąć SIĘ w mocy
i wielkim żądzom dać ramy przestrzenne —
— padłem! o łono uderzon promienne,
bezdennej hańby czując spazm sierocy — —

Tak pogrążyła mnie w mrok Boża wzgarda:
bezżądne, ciche, straszne zapatrzenie!
Wiecznie rozśmiane słyszałem MILCZENIE,
gdy we mnie stygła maska wstydu harda!

O tron z dyamentu piorunem uderza
krzyk mych rozpacznych zapytań-bez-końca;
skrzesałem barwy, rozniecilem słońca
i wśród chaosu stanąłem, jak wieża!

JA. Na ścianach zamku wyczytałem: ZŁUDA — —
i „BOŻA WZGARDA“ szepce głos dokoła — —

SZAT. — — jak żebrak w dłoni przesypuję cuda,
jak noc się lękam blasku mego czoła —
— — — — — — — — — —

JA. Lęk! lęk przed Bogiem!

SZAT. Te słowa mnie palą:
duch do człowieka niechaj się nie zniża!
— — a jam tak upadł: przez męczeństwo krzyża
chciałem się zniszczyć i odebrać falom — —

Pierwszy grzech: litość mży przez mgławic szaty — —
cicha niewiasta ramieniem otula — —

JA. A ON! tam! ŚWIĘTY! wzgardą niszczy światy!
jęk konających JEGO nie rozczula!

SZAT. Nie — —! — — — — — —
— Jam jest KŁAMSTWO! bo ta męka (złuda,
którą jam wzniecił) żadnej łzy nie godna — —
— — — — — — — — — — — —
Jak żebrak—w dłoni przesypuję cuda — —
jak myśl—jest żądza moja wiecznie głodna —

W ocean światów i atomów pyły,
w człowieka ciało i serce i duszę,
w kłamliwe wiosny i złudne mogiły
i w niepoczęte pomrokowe głusze —

wszędzie! wlaniałem BOGA — ku zagładzie,
a ON się cofnął straszny i tajemny!
Nie mogę zebrać lotnych piór w nieładzie,
ani ukoić duchów ryk podziemny!

przecież ja w SOBIE nie mogłem zmódz żądzy!
przecież nie mogłem nie-*wysłowić* bytu?!

JA. Huk mnie dochodzi szarpanych wrzeciądzy
i śmiech topielczy ze studni błękitu — —
— — — — — — — — — — —!

SZAT. Pękły wrzeciądze! przez otwarte wrota
bije me serce! świat zadrżał z łoskotu!
:od mojej WOLI zagaśnie tęsknota!
:zakwitnie owoc nowego POWROTU!

I ztąd KONIECZNOŚĆ: że się sam przeklęłem!
by duch szatański skazać na nicestwo,
by stać się BOGIEM, pogardziwszy dziełem,
i znowu zdobyć MILCZENIA królestwo!

JA. — — Śnią mi się hymny jakieś niepojęte,
grane na strunach szyderczego śmiechu,
i jakieś PRAWDY, męczeństwem przeklęte,
i DRUGIE lico piekielnego GRZECHU — —

SZAT. — w źródle szukane — w moim własnym bólu —
— — — — — — — — — — — —
Alboż mi znane są me własne lica?!

JA. Szatanie! ty, mój poddany i królu!
Szatanie! TO — jest twoja tajemnica?!

Kiedym nań spojrzał, wyczytałem: ZŁUDA,
i „BOŻA WZGARDA“ szeptał głos dokoła — —,
a on, jak żebrak, przesypywał cuda
i bał się spojrzeć w światłość swego czoła — —

Jan Rundbaken.

VOX MYSTICA.

I rozwiodę przed tobą wielką drogę ducha,
i pójdziesz nią, nie wiedząc, dlaczego i poco —
bo na wątpienie twoje moja wola głucha.

Gdzieś daleko we mgłach się nowe świty złocą,
i nowa się na wschodzie zapala jutrzenka,
ku której swą tęsknotą porwiesz się sierocą...

I nieraz cię na drodze złamią ból i męka,
i nieraz ci znużenie zasunie powieki —
a wciąż będziesz iść, dokąd wiedzie moja ręka.

Bo gdy pierwszy krok zrobisz — toś już mój na wieki:
kwawe ci pomazanie na czole wypiszę —
i będzie ci dnia zamęt obcy i daleki.

Powiodę cię w zadumę mrocznych pól i ciszę,
i tajemnicze głębie przed tobą roztworzę,
i w rytm cię wirujących globów rozkołyszę.

Łabędzią twą tęsknotę będzie śpiewać morze,
i ziemia będzie dudnić twoich pragnień szałem,
i do wtóru ci będą grać — łkające zorze...

Bo będzie wielkość ducha twoim ideałem;
więc Bytu cię mistycznem będę wiódł korytem —
i nie będzie-ć doczesny kształt dzielącym wałem...

Twój śmiech będzie echowym nowej wiosny świtem;
płacz twój — skargą zbłąkanej w żarach pustyń rzeszy;
twa cisza — jasnem śnieniem niebios i błękitem...

A nie będzie weselić cię, co wielu cieszy:
bo wszystkie będziesz sprawy oglądał przez wnętrze —
i dlatego nie pójdziesz tam, gdzie tylu śpieszy...

Inne trudy dla twoich stóp tułaczych spiętrzę,
inna cię noc omroczy w czas rozpaczy znojny,
i inne ci z gromowych burz wyświecę tęcze...

Ale dla ciebie chowam balsam ów ukojny,
co jest przystanią słodką dusz, które udręczę:
dam ci wiarę w męczeństwa ból... Umrzesz spokojny...

Henryk Salz (Campanella).

URYWEK Z POEMATU „BRUNHILDA."

Brunhilda śpiewa:

Patrz ze mnie bucha
i czar, i moc!
Ja czekam słońca
w bezgwiezdną noc!
Ja czekam słońca
i łka mój śpiew
nad oceanem
z okrzykiem mew!
Olbrzymka ja — nieznane objawienia
śpią w piersi mej, przedziwne a zaklęte!
Dość rozkuć czar — a w mglistych snów tajnicy
odnajdę cud — zbawienia słowo święte,
i wcielę w pieśń, potężną jak orkany,
i w mroków głąb' poniosę słowo wieszcze,
niech brzmi, niech gra, niech z omdleń męki budzi,
niech rzuca w pierś szczęśliwych przeczuć dreszcze!
Poniosę w świat wulkanów mych zarzewia,
poniosę w świat pragnienia me szalone,
i tchnę je w was, i moc w was rozpłomienię!
Niech wasze sny niesyte, przemęczone,
łkające w was napróżno wieki, wieki,
w godowy dzień girlandą ciał się staną!
Poniosę w świat niezłomnych pragnień siłę,
poniosę w świat dokonań pieśń zorzaną!
Patrz, ze mnie bucha
i moc, i czar!
Ma wola gasi
wulkanów żar!
Lecz tylko władza
zwycięzkich rąk

w kwiat cudotwórczy
otworzy pąk!
Przemija czas — w oddali mkną korabie,
lodowców gruz wciąż rzeźbi górskie garby,
a niema go — pogromcy ciemnej siły,
co Notung - miecz, i Nibelungów skarby,
i wiedzy klucz w zwycięzkim posiadł boju!
Nie straszne mu otchłanie i topiele —
wichr nosi go — nie straszny mu miecz wroga,
bo smocza krew pancerzem mu na ciele.
Chcę uczuć cios przeznaczeń z twojej dłoni,
chcę ze snu wstac w młodzieńczych sił rozkwicie,
i pójść na bój z ciemnością i otchłanią,
i z ciasnych pęt spragnione rozkuć życie!
Daj słońca mnie — ja nie znam jeszcze słońca!
Ja słońca blask poniosę w sny sieroce
i dłoni twej, zniszczeniem dotąd silnej,
dam twórczą moc — odrodzeń dziwne moce!
Patrz, ze mnie bucha
i czar, i moc!
Ja czekam słońca
w bezgwiezdną noc!
Chcę wznieść ołtarze
dla nowych wiar,
ja w świat poniosę
wulkanów żar!

Savitri.

SIWY GOŚĆ.

Przyjdzie Gość siwy, gość niespodziewany,
przyjdzie w południe samo dnia letniego,
gdy żąć poczniemy właśnie złote łany —
i nie da zebrać plonu dojrzałego —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

Nieznany przyjdzie siwy Gość, z daleka —
nieznużon drogą ani swoją kośbą,
na pożegnanie z siostrą nie zaczeka,

nie da posłuchu matki drżącej prośbom —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

Rzucić nam każe ziemię plonem złotą,
z krwi naszej żyzną, z potu naszej skroni —
nieubłagany naszych rąk ochotą
swoją nam kosą, krwawą, Gość zadzwoni —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

W serce nam wbije zimne, złe żrenice,
gardło nam włosem siwym swym okręci —
i zblednie trwogą młode nasze lice,
i pójdziem mrozem lęku wskroś przejęci —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

I już nie będą śmiać się nasze oczy!
Ciemne i zimne da nam Gość mieszkanie...
O! nazbyt wcześnie pierś nam robak stoczy!
O! nazbyt wczesne będzie spoczywanie!
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

Przecław Smolik.

GRÓB W SERCU.

Puharem słońca błękit kryształowy
Piję! Hosanna! Chwała memu Bogu:
Lasom i polom, górom, gdzie parowy
Na wodospadów spienionych wrą progu,
Morzom i gwiazdom, które w nieb' otchłani
Świecą, jak pszczoły złocistym wyrojem,
I gdzie rozprószę się, bym był w przystani,
Ażebym wiecznie leżał w sercu swojem!

Z gór, z lasów idę, z pól i mórz bezedna,
Tchnienie przepaści wszystkich, co są we mnie
I ze mnie idą, moja dusza jedna,
Która znów ku mnie powraca tajemnie.
Życia i śmierci pieśń śpiewam pijaną!
Duszą upiłem się jak win napojem!

Śpiewając idę gdzieś w przepaść nieznaną,
Ażebym wiecznie leżał w sercu swojem!

Dłonie podały sobie śmierć i życie!
W wieńcach na skroni idą w druhów zmowie.
Morze raduje się, góry w błękicie
Błyskają w gromach, z chmurami na głowie!
Gody są wieczne! Hucznych uczt biesiady,
Gdzie ja i życie i śmierć, z róż zawojem,
Z puharem w dłoni, śpiewamy balady
O wielkim grobie, co jest sercem mojem.

Sto światów zmarło a nie zmarły wcale!
Nie urodziła jawa snów, a żyją!
Góry są święte, las wielki wspaniale!
Dno morza, pola, dal — w Bogu się kryją,
A Bóg jest we mnie i w Nim kres mej drogi,
Co nie trudziła mnie męką ni znojem,
I gdzie spać będę, jak w iskrze pożogi:
W górach i w lasach, w morzu — w sercu swojem.

W mogile złóżcie mnie na szczycie turni,
Zkąd zimy szczytów patrzą w dolin wiosnę.
W lodach wygrzebcie grotę jak najgórniej,
By przez lód słońce patrzyło radosne.
Czyli tam spocznę, czy śnieżne lodowce
Spłyną i zniosą ciało me z wód zdrojem
W doliny kwietne, gdzie się pasą owce:
Ja zawsze leżeć będę w sercu swojem.

W puszczy ogłuchłej pod mchów snem zielonym
Dajcie mnie ziemi na ucztę rozkładu.
Próchnem są dęby, co tchom burz szalonym
Stawały sporem; próchnem drzewa sadu;
I jam jest próchno, co znów rodzić będzie;
Z siebie wykwitnę znów z kwiatu spokojem,
Swego zniszczenia i życia narzędzie.
I zawsze leżeć będę w sercu swojem.

W otchłanie morza rzućcie mnie zmarłego,
Abym z niem śpiewał, bom jest burzy bratem,

Synem bezmiaru i ojcem snu swego,
Który był ze mnie a był całym światem.
Konchy, rozgwiazdy, ławice korali
Spoczynku mego staną się postojem,
A chociaż spocznę na dnie szumnej fali,
Ja zawsze leżeć będę w sercu swojem.

Cześć ziemiom, morzom, mnie i Bogu memu!
Wszystko jest Jedno! nic nie jest mogiłą!
Gwiazdy zatliły mrok mego podziemu
I jestem gwiazdy sprzęgającą siłą.
W gwiazd opętanych skrzącym kołowrocie,
W wieczystej ciszy, co jest wiecznym bojem,
Duszą rozprószę się, i w słońca złocie.
A zawsze leżeć będę w sercu swojem.

Leopold Staff.

ODWRÓĆ ODE MNIE...

Odwróć ode mnie obłąkane trwogą,
w szkle łez zaskrzepłych tężejące oczy —
lub niech bezgwiezdna noc moje omroczy,
bym cię z tą w oczach nie widział pożogą!..
W dymie rozwianych czarnych twych warkoczy
targa się płomień woskowej gromnicy,
na której palce twe drętwieją zbladłe,
jak mrące lilie na zżółkłej piszczeli — —
W szkle łez stężałych krzepnące swe oczy
z szałem cierpienia w rozdartej źrenicy
wświecasz w mej duszy głębie nieodgadłe — —
Pojmuję nagle, co czuli anieli,
gdy — przez struchlałych patrząc gwiazd kurzawę
na piorunami kołysaną górę,
gdzie Bóg, ubrany w skłębioną purpurę
chmur, na skrzypiącem, czarnem konał drzewie, —
twarze od niebios pożarów aż krwawe
chowali w mgławic gasnących zarzewie
i marli — — — Odwróć..! Nie — już twoich oczu
żaden zamarzły nerwby nie odwrócił,

gdybym ci nawet w błękitów przezroczu
sto słońc zapalił, a przed ciebie zrzucił
ciężkich sto dzwonów z niebosiężnej wieży!
Możeby tylko te nawskroś zakrzepłe,
jak oczy figur woskowych — oślepłe
oczy — tonące w zaświatów rubieży,
w okropnym spiżów jęku — cicho jękły
i — jak zdeptane szklane dzwonki — pękły — —
i jakby, zgasłe, w twarz Bogu patrzały,
jak stlały popiół, odarty z płomieni — — —
Cicho — w biegunach świat się nie kolebie —
cicho — żadne się nie rozpadły skały:
słońce nie gaśnie — na ziemi, ni w niebie
nic się nie zmienia i nic się nie zmieni!
Ani się żadna zasłona rozdarła — — —
Czy ty wiesz chociaż, biedna, żeś umarła?

Stefan Stasiak.

KRÓL MILCZĄCY.

„Uśmiechnięty zeszedłem z tronu z pychą boga.
Idę. Niechaj nad wami władnie ladacznica,
Co jak pies pod chram Szczęścia w noc jasną u proga
Włóczy się i otwarcia wrót żebrze: ... tęsknica.

Nad morzem sinem siadłem sam: niechaj mi gędzie
Pieśń szumną, na swą wielkość nieukojne hymny.
... Na ołtarzu mej duszy płonie żar bezdymny:
Najdostojniejsza z wszystkich pieśń bez słów się przędzie.

Niech sny wasze bezwstydne przed tym hymnem klękną!
Że na otchłań królewskiej duszy krzyku niema,
W głośny pean milczenia niech się pycha mieści.

Zdzieram z czoła koronę.
... Zmęczonych ócz piękno...
... Kwitnących ust dziewczęcych bezmierne boleści...
... Kobiecych lic więdnących żałosne poema..."

Tadeusz Świątek.

LIRYKA.

*

O, domów starych pustko rozmodlona,
O, trzcin poszumie na stawach zarosłych...
...Marzenia moje biorę na ramiona
Jak parę dzieci w nędzy niewyrosłych.

Marzenia moje biorę na ramiona
I kołysankę śpiewam, nie wiem, komu,
...W szybach na pustce stojącego domu
Tak wcześnie słońce rozognione kona.

* *

Śpiewaków cicha gromada
Przyszła mnie bawić nuceniem;
Za oknem miękki śnieg pada;
Śpiewaków cicha gromada
Przyszła mnie bawić nuceniem.

I słucham z ukrytem drżeniem,
Jak głos się w ciszę zapada,
Z jawy się staje marzeniem.
I słucham z ukrytem drżeniem,
Jak głos się w ciszę zapada

* * *

Śpij: — o, jak senny zaśnij głóg
Przy drodze uciszonej; —
— Po ziemi chodzi jakiś bóg,
I kładzie snom korony.

Tedy się oddaj królom w moc,
— Królom wieczornej chwili.
Śpij, póki sen ci zsyła noc;
— — — Głóg się nad drogą chyli.

DLA WIERSZA.

Życiem jest męka nigdy niepoznania,
A nie te nasze liche żale winy,
I męka ona wiedzie nas w doliny,
— Góry odsłania.
Rodzi nas chciwa żądza dociekania,
I ona kruszy nasze formy z gliny,
Kiedy wypełni półszare godziny
— Rozdźwięk czekania.
I niemoralne są nam czasem zdania
Mędrców, że wszędzie mieszkaniem — ruiny;
I wierzyć chcemy w jakieś trwałe czyny...
. . . .
A duch, jak chmury nas w przestrzeń rozgania.

Aleksander Szczęsny.

NADZIEJE.

Nie mam nic oprócz łez na wspomnienie tych dni,
Co przemknęły jak wicher, młody wicher wiosenny —
Jeszcze dziś, kiedy serce huragany snów śni,
Łzy mi płyną, gdy wspomnę tych dni hufiec promienny.

Nie na chlubę zwycięztwa wysyłałem je w bój —
Inną przyszłość im w gwiazdach aniołowie pisali —
Ale dzisiaj już dojrzał w długiej walce duch mój,
I mocniejsze dni rodzę, całe w zbrojach ze stali.

Już nie lecą naoślep bez szyszaków i mieczy
Głową mury rozbijać, mury straszne, prastare;
Już ich szyków wytrawnych pierwszy strzał nie niweczy,
Choć przychodzi im jeszcze niepowodzeń pić czarę...

Ale, da Bóg, nadejdą nowe siły pancerne!
Już się kłębią w pomroce, jak lawiny lodowe,
Rosną siły olbrzymie, żywiołowe, niezmierne,
Rosną, — jutro wybuchną! I nadejdą dni nowe.

Wacław Wiediger.

KONTRALTO.

Czarnych włosów rozbujane morze,
Krucze brwi i sine cienie rzęs.
Ciężki biust pod męką pieszczot wklęsł.
Nigdy sama nie szła w wonne łoże.

Nigdy trzeźwej nie witały zorze.
Pierś pod piersią, warg podwójny ton,
Pjana pieśń, spalonych duet łon.
— Chyba niemoc zwali ją i zmoże:

Wtedy w klątwach wiła się i żalach,
Że zasypia sama bez pieszczoty.
Lecz po dniach tych czysto lał się złoty

Głos o ciężkich i żałobnych falach,
Głos, co zwykle, przez dławiący szał,
Grubo, nizko i ochryple brzmiał.

Mamert Wikszemski.

KRWAWE WIDMO.

Z odmętów morskich olbrzym wynurzył się krwawy
I szedł przez drżącą ziemię jak straszna pożoga — —
W obłokach mroźnych łuna rozbłysła złowroga,
I czarne bory zwiędły jak jesienne trawy —

Szedł — — a z ust mu pioruny skarg wylatywały,
Głuchem echem przestworne rozbrzmiewały łuki;
Zgasłe słońca czerniały jak wylękłe kruki;
I świat, jak upiór, wisiał, z grozy skamieniały — —

Szedł — — szedł jak krwawe widmo żałobnego piekła,
Ulewa krwi mu z czoła ranionego ciekła,
A za nim szli w całunach aniołowie smutni — —

I tam, gdzie w świętej ciszy drzemią tajne ciemnie,

Krwawą pięścią do wiecznej zakołatał wrótni
I duszę swą rozdzierał, ale nadaremnie — — —

M. Wilkowicz.

AKWATINTA.

— Smutek słania się we mnie — smęt rozłkany
— jako mgieł tych rozwiewne tumany —
I ból sroży się — twardy — skamieniały —
— jak surowe te wirchy i skały —
I — tak — we mnie są smreków gromnice,
i jest we mnie nieba zimna stal —
Są te chóry smętne, śpiewne, mrące — bladolice —
— jest ich senny obłąkany żal —
Co przede mną, to wszystko jest we mnie
— wieleż cichsze — i dalsze — i świętsze —
i tak patrzę — patrzę — w swoje wnętrze
— w duszy mojej prauroczne ciemnie — —
I patrzę — i chwytam za pióro —
Nie! — dziś napisz ty o mnie wiersz — mamo Naturo.

Bruno Winawer.

ZAMIEĆ.

Otulony w srebrnych puchów ciszę,
senny błądzę po zamarłym lesie...
zamieć kołem białe pyłki niesie
w kolumnowe leśnych głębi nisze...

jakieś słodkie upojenie mnisze
w myśli moje z owych głębi rwie się...
jak w śnie błądzę po zamarłym lesie,
otulonym w srebrnych puchów ciszę...

...zda się — wieczność patrzy... — zda się — słyszę
granie pyłków śniegu hen — w bezkresie...
...zda się — widzę — wolno w te haszysze

Śmierć idącą po zamarłym lesie,
otuloną w srebrnych puchów ciszę...

OCZY OBŁĄKANEGO.

Otchłanna... senna dal...
coś w mrokach — nieme łka...
zaklęta bije łza
o trumnic chłodną stal...

coś nieme — w mrokach łka...
coś ślepe — patrzy w dal...
o trumnic chłodną stal
zaklęta bije łza...

...po Tajni Święty Gral
coś ślepe — idzie w dal...
coś nieme — idąc — łka...
zaklęta bije łza
o trumnic chłodną stal...

„ONI..."

Precz w Niewiadome idziem snami...
tęsknota duszę nam rozpiera...
coś we sny płacze nam gwiazdami...
coś chorą dłonią zgasłe zbiera...

w dal!.. — niewidoma Gra nas mami..!
— oto Harmonia Boga szczera
precz w Niewiadome woła snami —
tęsknotą dusze nam rozpiera...

w mrok!.. — niewidoma Gra nas mami..!
w otchłań!.. — ... coś lękiem gardło zwiera...
coś w piersi grzmoce orkanami...
... — coś dawne... ciche... w nas umiera...
..precz w Niewiadome idziem snami...

St. Witoszyński.

OKEANOS.

(Fragment).

Pójdziemy! Tam wszechmorze jest!
Pójdziemy wziąć wszechmorza chrzest!

O! ten daleki, siny ziemi skraj,
O który jego bure fale biją,
Na wieki ręką oddzielony czyją,
O pomnij! nim był stworzon raj? —

Czy więc z rozpaczy fale tak się pienią,
Że już wyroku nie zmienią,
Czy to bunt przeciw rozkazom jest Pana,
Czyli też z nieba tęsknota nadana
Za ziemią?

A huki, grzmoty, wichry, co ci oddech niemią,
Czy okrzyk to, czy wark?
I bieg ten wieczny, ten odwieczny bieg,
Czy miłość rąk to jest, czy parcie bark
O ukochany, nienawistny brzeg?
. . . .
Och! na dalekiem, na wysokiem morzu,
Nim fala
— Ta, która kłaść się przychodzi
Do stóp kredowych ziemi — nim się zrodzi
Na granatowem łożu,
Jak od niej zdala
Ten utęskniony brzeg,
Jak niedościgły fal siostrzanych bieg!

Czyli jej daną będzie taka moc,
By z niemi iść, tam iść, przeć, rwać i biedz,
I zdobyć jasną, lub do stóp jej ledz?
Któryż dzień ją zawiedzie tam, o, któraż noc!

A jak wielmożne fale te, co przed nią szły,
I jak ochoczo, z chrzęstem białych grzyw i piór
Poszły! Zwycięzko grzmiał ich głosów wtór,

Wciąż jeszcze brzmiał, choć już zabiegły w mgły.
O! jakże się za niemi rwie fala dziecięca
Na życie, źrałość, wiek,
Szczęśliwa!
Przed sobą zasłyszane widzi brzegów dziwa,
Śni lasów ściany, skały, ujścia rzek,
Zamgloną w dali śni tęsknotę...
. . . .
Więc rwie się fala-dziecko w daleki swój gon
I siły zbiera,
W tchu tętnic, w drżeniu naglących mknie łon,
W ławę się zwiera,
Jak mewa grzyw piórem świeci
I przed się leci.

O tam! O tam,
Zkąd gromy biją
Od skał,
Gdzie smoczy chram,
Gdzie kąpie ramion biel i stóp
Dziewa więziona, ziemia, smoka łup;
Gdzie z wyciągniętą stu rumaków szyją
Wlecieli zwartym towarzysze szykiem
Na rozsypany piasków wał,
Gdzie grzmią, jak puszcz libijskich lwy,
Rozdzierającym rykiem
I straszą pary sykiem
Kamienne w bryzgach kły!

I dziw! i dziw,
Jako ta fala wezbrała!
O drżyj ty, ktoś jest żyw,
O drżyj ty, skało biała!

Już blizko, blizko najcięższym jest bojom,
Gdzie szyk się z szykiem ściera
W skłębionym walk rozgromie,
Gdzie hufce się roją,
Zwycięzkie i te, które w sromie
Wódz do odwrotu zbiera.

Niedość, że same się łamią
I kończyć idą wstydu wiek,
Zawrócić chcą i falą młodą...

Lecz ona nie słucha,
Głucha
Na boleść ich zwątpiałą, na opętań szczek,
Bo chce i wie, że żary te nie kłamią,
Które w jej piersi tlą
Nieugaszoną skrą.
Bo jakieś z góry wezwanie
I posłannictwo śni w Panie,
Parta od mroków, bezdni, bezkresów — od rodu —
Do wymarzonych brzegów zjawionego brodu...

O, ty, przypływu mocy, rozkoszy i wiaro,
Prawdo jedyna!..

Kazimierz Wize.

Z OGNI KUPALNYCH.

O, jak świątecznie płoniesz, mój ogniu,
Wyżynny, ostatni ogniu mego stosu!
. . . .
. . . . Jodłowy trzeszczy łom,
Suchy łom gromadzony zimą,
Co do lata w świątynnej drewutni
Uleżał czekając i sechł,
Sechł z tęsknoty za czyszczącym ogniem,
Za burzą niosącą grom,
Za kupalną pochodnią czerwcowego słońca,
Czekał,
Aż w bladej zieleni piołunowych wiech
Zbrużdżoną chylący skroń
Cisi wieczyście i smutni
Nadejdą poń;
Czekał i sechł.

Nie przyszli...

A oto gore! Płoń!
Sama dziś ciebie zaniecę,
Drew imaj, rozpłomień się, świeć!
Sama paliwo gromadzę, jodłową pachnącą szczeć
W ognisko czerwone sypię...
Śmiertelne me chusty łopocą,
Gra ogień na mojej stypie!..
A choć nie takie palenisko śnił,
Suche swych ramion piszczele zamienia
W płachty szumiące dymu i płomienia,
Krwią ognia tętni sieć żył!
        W ciebie-to, letnią ciepłą czarną nocą,
Gdy zemrze najdłuższy dzień,
Ostatni, przeczysty ogniu moich śnień,
                                        Zapadnę...
        W tobie-to, młoda
W krasy mej ściglej ozdobie,
                                  Spłonę i zgasnę...
Nie szkoda,
Nie żal mi świata,
Ni kogo,
Ni was, o wiosny upojne
(— Jam od was starsza wiekiem —),
Ni lata zbożem wieńczone
(— I wyście mi śnieniem dalekiem!),
Ni was jesienie nasytne
(— Głód we mnie żaden nie ostał...).
        Jak wić wieszcząca wojnę
Płomieniem na wyżach zakwitnę,
Jak bogom ofiarna obiata,
                                    Spłonę, by żyć!..

Snom moim dzień żaden nie sprostał...

...O ty, wielki ukojony bolu,
O ty, długa, zapomniana udręko,
Jakoż to się duch mój pod wami uginał,
Jakoż to się zmagał i nużył daremno,
                                  Dawno, dawno...
I ktoście wy były, o nieprzytomne godziny zwątpień,
O siwe godziny zmierzchów, zapadające wcześnie, za wcześnie,

W dni zimowych blade popołudnia?

Majaki...

Oto ze wspomnień duch się mój wyludnia...

O, któżeś ty był, niewyzbyty żalu,
Ktoś ty taki,
Ty bezimienny przybłędo z nikąd,
Co-ś mi młodą roześmianą duszę
Struł niewidzialnym jadem twego smętku?
I ty, niegodny lęku, co-ś mi tylokrotnie
Przed żywą, zwycięzką prawdą
Gorące, wyciągnione ku niej dłonie pętał
I trwogą porażał w głos bijące serce,
Rozkołysane jak owoc dojrzały
W ogromnym, silnym, południowym wichrze?!...

Omany...

Po was, coście były niczem,
Ni po mnie, która byłam sobą,
Żaden widomy nie zostanie ślad;
Wszystko tchnieniem niezbłaganem
Wiatr wielki zwieje i wytraci do cna,
I was, coście były omanem,
I mnie, com jest żywa i mocna...
...A może właśnie wy jesteście mną,
Sercem mem własnem w głos rozkołysanem,
Duszy mej własnej klątwą tajemniczą?..

O, jak się ognia złote węże gną,
Prężą się w górę i syczą...

O, wytchnij duszo, wytchnij i wołaj,
Przywołaj czasy okwitłe dawno, pradawno,
Raz jeszcze obacz niepowrotny sen
o lecie i miodzie i bogach!

I w ogień szumiący, w ogień ten śmiertelny wstąp!

Może nam się uwidzi Łada,
Może nam się uwidzi Nijoła,
A może nam Żywia na czoła
Weselne wianki powkłada?
. . . .
Przypomnij zielony ług,
Przypomnij trójpienny dąb,
Kamienny przypomnij próg,
Kędy blask słoneczny sączy się złoty
Przez gęste listowie
I jak miód, jak lipcowy przaśny miód,
Na poszycie słomiane zacieka
I na ziemię pada rzęśny kroplami;
Kędy z pod słupów strzeszyska
Trygława ciosany głaz
Głów lutych trójcą wybłyska,
Kędy chmiel dziki w okół słupów się mota
I z cicha szyszki zielonemi brzęczy
I ku obliczom bożym pełznie śmiały;
Kędy podpłomyki świeże, chlebne pokładki pierwocin
Na progu świętym położone stygną,
Kędy bogom garnki siwe z najpierwszym udojem
Ręce dziewczyn stawiają o świcie,
Gdzie pieśni wszystkie lęgną się weselne,
Gdzie duszno pachną wiechy kwiatów zielne
I za krtań lęku chwyta nagły zastrach,
Gdzie boga pasiek stoi pień drewniany,
O lepkich, miodem nasączonych plastrach,
Bóg - ul, pszczelnego pełen w piersiach brzęku,
Słodyczą barci własnej zadumany.
Tam,
Kędy pod górę, z koszem bruśnic w ręku,
W biczach bursztynów i we wianku z ziół,
Zarankiem, po rosie,
Szłam,
I kędy dziś po lat tysiącach znów,
Z wyciągniętemi ramiony,
Przez to zżęte pokłosie stuleci
Idę...
Przez budzące się wiosny i łąk oddechy upojne,
Nocą i dniem, zmierzchem i zorzą poranną,

Przez lata pachnące zbożem i złotą dziewanną
Strojne,
Przez ogni kupalnych pożogę,
Przez jesienie trzeszczące łomem suchych drew,
Przez zim sypkie, gwiaździste śniegi,
Idę powrotną myślą i dawne rzeczy przypominam,
I wołam zniknionych twarzy,
I płaczę zrąbanych pni,
Zgaszonych płaczę ołtarzy,
Okwitłych pradawno dni...
I wyżyn kapłany siwe przyzywam,
Co w wieńcach z liści, o rzezane oparci kije,
Prawdzie pogodnej patrzą twarzą w twarz
I po przez wszystką dolę i po przez wszystek czas,
Jasno widzą źrenicami ducha
Szczęsny ostatek nadchodzących dni
I dolę naszą i nas —
I doli naszej i nam błogosławią...

Przypomnij zielony ług,
Przypomnij trójpienny dąb,
Kamienny przypomnij próg —

I w płomień śmiertelny, w ogień ten szumiący wstąp!
. . . .
. . . . Z wysoka, z oddali, poglądam ku niżom wstecz,
W dal patrzę jasną ze szczytów
I w głąb' omgloną spozieram,
I błogą mi każda ścieżka już przebyta
I każda miniona rzecz...
I z serca oto przebaczam wszystkiemu,
I ludziom i czasom i sobie,
Odchodzę precz...

O, jak radośnie płoniesz, mój ogniu,
Świąteczny, wyżynny ogniu mego stosu!

Maryla Wolska (D-mol).

PIEKŁO.

...Porwał mnie Ducha płomienny gryf
Nad ciężki bezwład materyi brył...
[Lodowy wicher kosmiczny wył...]
Na ogniach skrzydeł niósł mnie Ptak-Dziw...

Jak czarownica w Walpurgi noc,
Na miotle z ognia leciałem w mrok,
Ogniem i siarką dyszący smok,
Pocisk, z piekielnych rzucony proc...

Jak Rokh baśniowy, jak Ibis-bóg,
Pędziłem w eter, w gwiaździsty pył...
[Lodowy wicher kosmiczny wył...]
A łańcuch kaźni za mną się wlókł...

...W płomiennej szacie, z rozpaloną głową,
Krwawą pochodnią potrząsając dziko,
Biegłem w mrok, gnany szatańską muzyką
Krwawych Erynnij, świszczącą, wężową...

Pędziłem czarnym przepastnym tunelem
W głębi... w zapadłem podziemiu zgubionem...
Ryk straszny wstrząsał spalonem mem łonem,
Jak Samson kolumn chramnych kapitelem...

Krwawy blask buchnął w tajemnej oddali,
Kładąc na murach odblask grozy—łunę,
Gdyby Gorgony lico krwaworune...
To Brama Piekieł płomieniem się pali!..

...Strachem, grozą obłąkany,
Wpadłem w Ogni Wiecznych żar...
Piłem płomień z krwawych czar...
[Podawały je szatany...]

Pochłonąłem ognia rzeki,
By zatopić pamięć win...

Ryczał śmiechem djabłów gmin,
Żem od celu tak daleki...

Nie dawały zapomnienia
Płomienistych morza Let...
Bicze Furyj krwawią grzbiet,
Żar mąk ducha opierścienia...

...Załamawszy nad głową kurczem skute dłonie,
Runąłem z jękiem twarzą w płomienie huczące...
Dymiło krwawo czarne ducha mego słońce,
Jak żarzący meteor, kiedy w morzu tonie...

Ryczałem dziko... wyłem nad zabitą duszą,
Zaprzedaną tak podle za żłób soczewicy...
Aż się zatrząsł w Otchłani Czart płomiennolicy,
Drżąc, czy ryki me Piekieł z posad nie poruszą...

Padam duchem w Śmierć Wieczną, jak w Saharę ciemną...
Gdyby Samum, palące, suche bez łez szlochy
Rozsadzały pierś czarną, jak płonące prochy...
A tłuszcza djabłów krwawo płakała nade mną...

Wacław Wolski.

DZWON.

Na łąkowych gdzieś błoniach, rozwonionych cudnie,
W krainie rzek błękitnych i przytulnych gajów —
Jest chram złocisty, cichy, stojący odludnie
Nad szybą jasnych, wiatrem pieszczonych ruczajów...

Na łąkowych gdzieś błoniach... a nie szumi zgoła
Organu złocistego wichroskrzydłą burzą,
Nie szumi aniołowem pieniem dookoła — —
Pustynny wkrąg, a chłodu i ciszy w nim dużo..

Na łąkowych jest błoniach, a ma serce dzwonne,

Co czeka wciąż na wichru uskrzydlone gońce,
Rychło w tętna się cały rozdzwoni grające

Dzwon czysty, z szlachetnego odlany metalu...
I czeka na dech wichru, na błonia ustronne
Z ogromem bezmiernego spozierając żalu...

Władysław Zalewski.

W GÓRACH.

Wieczorną godziną uderzy dzwon,
Z cichych się dolin rozjęczy, —
I stanie duch, przybysz z nieziemskich stron,
Na niebotycznej przełęczy.

I pojrzy królewski z odwiecznych skał, —
Mgły u stóp jego się zmącą —
I rzuci nam w oczy swej pychy szał,
Moc swoją oślepiającą.

I słowem potężnem, co grzmi jak miedź,
Pod niebem ozwie się złotem, —
A góry się wzdrygną, i poczną drżeć
Przerażającym łoskotem.

I ruszy się w szumie orłowych piór —
Światłość się mgłami zadymi —
I zwali się na nas z wyżyny gór,
Wielkością swoją olbrzymi.

SUCHY, POŻERCZY OGIEN...

Suchy, pożerczy ogień nas przepala,
I młode członki na struny wysusza,
A wichr na strunach gra, — i płacze dusza,
I szemrze wieczny żal — powrotna fala!

I toczy głuche wiekuiste wały

Nasz ból posępny, nieśmiertelny, wielki,
I o pierś bije ziemi rodzicielki,
I w złote słońce bryzga oszalały.

I bryzga słońcu w twarz... a lęk się kłębi
Wkoło, a świat się we więzach szamoce,
I trwają długie, nieskończone noce,
I idzie na dno szukający głębi.

I dąży we śnie nasza biedna rzesza,
Skarlałe rajów nieznanych wyrzutki,
Przez błąd, przez wiry śmiertelne i smutki,
Za słupem tęsknot, za laską Mojżesza.

UKOJENIE.

Ja szum — ja wiew —
Ja wielki poszept drzew
W błękitnym skwarze południa...
Ja chłód, ja woń,
Ja wiatr, co chłodzi skroń,
Ja święta przy drodze studnia.

Ja głąb' — ja srebrny staw,
Ja złota bujność traw,
Kwiat, co pod stopy się ściele...
Wędrowny słońca słup...
Ja zapomniany grób,
Gdzie młode krzewi się ziele...

NIEZNANEMU.

Tobie ja rolę zaorzę,
        Poleję potem krwawym, —
A ty ze sierpem wynijdziesz
        Żąć chlebne kłosy na polu.

Tobie ja ptaka dzikiego
        Na piersi mej wychowam, —

A ty na skrzydłach poszumnych
Wylecisz w górę do słońca.

Tobie ja głazy przywlokę,
Wyciosam ręką drżącą, —
A ty na smutnej wieżycy
Ogniem naznaczysz twe imię.

NĘDZARZE.

Na odpoczynki idziemy, na odpoczynki
Do rozegranej gospody.
Tam będą wianki, tam będą złote dożynki,
Tam będą weselne gody.

I będą pieśni, i będą z pieśnią do rana
Taneczne iść korowody;
I będą dziewki lać słodkie wina ze dzbana,
Pasieczne stuletnie miody.

A my strudzeni siędziem pod ścianą na snopy
Pożywać białe kołacze —
A kwiatów wonnych upadną całe potopy
Na nasze głowy żebracze.

Barbara Zan.

GODY.

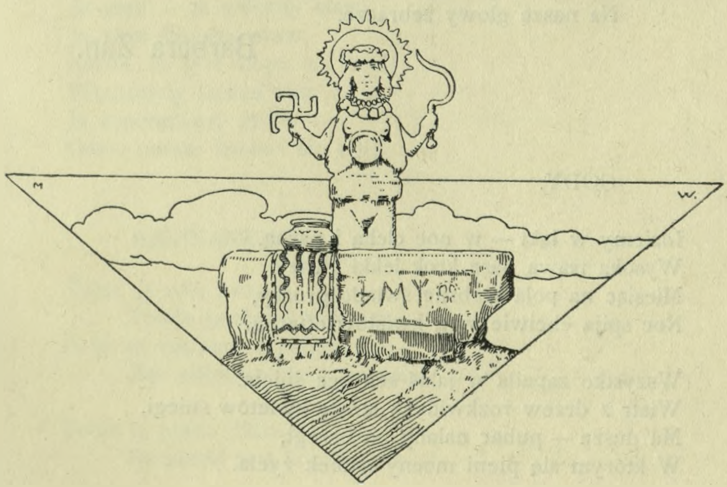
Idziemy w łąki — w noc cichą i parną.
Wysoka trawa nasz krok lekki głuszy.
Miesiąc na pola srebrne światło prószy,
Noc spija chciwie woń kwiatów ofiarną.

Wszystko zapada w jakiś sen bez śnicia.
Wiatr z drzew rozkwitłych strąca kwiatów śniegi.
Ma dusza — puhar nalany po brzegi,
W którym się pieni mocny trunek życia.

O całowane, młode ust twych róże!
O drogie, słodkie, niewymowne lice!
Czekam na cichą szczęścia tajemnicę.

Słyszysz? dreszcz jakiś powstaje w naturze,
Ziemia się stroi — dzwonią senne wody
Na nasze gody, na weselne gody!

Henryk Zbierzchowski.



D. G. Rossetti. BŁOGOSŁAWIONA PANIENKA.

Z PROZY OBCEJ.

OZIMINA.

Po wsi się snuje, płynie cienkiemi pasmami, na drobne kropelki się rozpada głos jeden, głos sielski, jesienny. Wieś ogarnia i pola, niebo i słońce. Przeciągła tęskna pieśń lśni po niwach zoranych, po zwiędłych miedzach szeleszcze, za czarne płoty się kryje i z liściem suchym na ziemię opada.—Śpiewa wieś cała, uśmiechają się białe chaty nieśmiało, okna chłoną słońce.

Za jedną chatą zieleni się skrawek ozimego żyta, a obok niego na kożuchu leży chłop biały jak mleko. Stary już bardzo, z oczyma przygasłemi; koło kożucha leży kij jego taki sam stary, bo rączka wygładzona dłonią zupełnie. Słońce mu świeci prosto w twarz, jakby jego samego tylko na ziemi miało.

Stary utonął tak w pieśni jesiennej, że aż sam piszczy jak niemowlę. Mówi coś, a orzech raz po razu szerokim liściem na niego rzuca. Białe motyle unoszą się nad nim, korci ich przysiąść na białych włosach dziada. — Ale dziad śpiewa i mówi, a koguty sąsiedzkie, słysząc to gadanie, pieją za nim.

Kłóci się ze śmiercią swoją.

„Nie trzeba mi ciebie,“ mówi do słońca, „nie przymilaj mi się po próżnicy. Dołu mi trza i czterech desek. Szkoda twojego zachodu, znajdź sobie młodego, a do mnie kostuchę przyszlij, bo jucha zapomniała o dziadzie.

„Dobra do kosy, nie bój się! Kłos dojrzał, pochylił się, rolę całuje, zczerniał już, a kosiarz czeka. Na cóż? Co to, myślisz, że

na tańce jeszcze pójdę. Jużem swoje odprawił, kontentny jestem, niczego mi nie trza. Węź se kapkę tego tchu i puść mnie z za stołu — najadłem się.

„Może teraz gdzie wojna, to się tam uwija, bo tam giną, młodych takich choć całować. A tu wkoło mnie nic nie znajdzie — skrzynkę próżną! Nie pchaj się do młodych, bierz to, co dla twojej gęby wyrychtowane. Młody niech gospodarzy, niech dzieci do rozumu prowadzi, nie ucieknie ci on; choć i na wojnie, to go nie rusz! Zabieraj do dołu, co należy.

„Widzisz te ręce?“— podniósł rękę aż do oczu. — „Jaka to robota? Stara skóra, nawet starego buta tem nie połatam? Cóż taką ręką urobisz? Czekaj, nie kiwaj się, kiej mówię. — Gdzie tu je mięso? Może to ja zjadłem? Ja ci go nie gryzłem, ale kiedy-ś mięso zjadła, to i kości dojadaj, było nie zaczynać...

„Jak ja mam ręce, to sobie idę swoją drogą. Droga mi się ściele stoma ścieżeczkami przez pola. Gajdy wykopię, żyto zbiorę, bronę do słońca twarzą odwrócę, ziarno posieję — ręcami wszystko zrobię. Ale bez ręców to ja głupi — rozumiesz? To ci sztuka zrobić człowieka do niczego i polecieć na złamanie karku. Czekaj, suko, bierz na plecy i nieś, kandy moje leżenie ma być.“

Na oziminę kury wyszły, skubią.

„A sio! zbiję na leśne jabłko! A ty się nie dziwuj, że ja stary, ale taką gadzinę jeszcze uśmiercę, oho, uśmiercę.— Nie masz co jeść na podwyrzu?“

Podnosi się, wspiera na kiju i idzie na ozióminę.

„Piękne to zielone, a ta by psuła... Ziemia to ciągle młoda, jak dziwka, — na święto to się ubierze, — na codzień po codziennemu, ale zawdy w dziwkach, od kiedy świat światem.“

Siada na zielonej niwie, kijem się podpiera i milczy. Milczy, a wieś dokoła niego smutno nuci, a wierzby zeschłemi liśćmi rzucają w dziada.

NOWINA.

Rozeszła się po wsi wiadomość, że Kuba Latawiec utopił w rzece swoją córeczkę. Chciał i starszą utopić, ale mu się wyprosiła. Od czasu, jak mu żona umarła, biedował bardzo i rady se z dziećmi dać nie mógł bez kobiety.

Wyjść za niego żadna nie chciała, bo i dzieci, i bieda, i niepokoje. Mordował się dwa lata sam z drobiazgiem. Nikt nie wie-

dział, co robi, jak żyje, — chyba sąsiedzi blizcy. Powiadali, że całą zimę w chałupie nie palił — jeno z dziećmi na piecu zimował.

Teraz cała wieś mówiła o nim: przyszedł do domu wieczorem i zastał dziewuchy na piecu.

„Tatulu jeść chcemy“ — mówi starsza Hanusia.

„To mnie jedzta — cóż ja wam dam do jedzenia? Macie tu chleb — napychajta się.“

I dał im kawałek chleba, a one — jak szczenięta przy kości — koło chleba się uwijają.

„Powylęgała was i ostawiła na mojej głowie — bodajby ją ziemia wyrzuciła. Cholery gdziesik chodzą po ludziach — bodaj je kolki sparły — a do nas nie przyjdą. Tej chałupy to się i choroba boi.“

Dziewczęta nie słuchały wyrzekań ojca — bo było tego co dnia i co godzinę — więc przywykły. — Jadły chleb na piecu, a patrzeć na nie było przykro i żal. Bóg wie, jak się kosteczki kupy trzymały, tylko ocząt czworo świeciło i żyło. Zdawało się, że te oczy ważyły jak ołów — i gdyby nie te oczy, to reszta ciała poleciałaby z wiatrem jak puch, a teraz kiedy suchy chleb jadły, zdawało się, że im te kosteczki w twarzy potrzaskają.

Kuba zerknął na nie z ławy i pomyślał: „nieboszczyki,“ a tak się zląk, że aż mu pot na ciało wystąpił. Coś mu się zdawało, jakby mu piersi ciężkim kamieniem przywalili. Dziewczęta żuły chleb, a on przypadł do ziemi i modlił się, ale go coś ciągnęło patrzeć na nie i myśleć: „nieboszczyki.“ —

Kilka dni bał się Kuba w chałupie siedzieć — chodził po ludziach, i mówili, że był bardzo smutny. Zczerniał — oczy mu w głąb' wpadły — jakby nie chciały patrzeć na świat, jeno na ten kamień, co mu piersi tłoczył. Wieczorem kiedyś przyszedł do chałupy — nagotował dzieciom kartofli — posolił i rzucił na piec, aby się posiliły. Kiedy trochę podjadły, powiada:

„Złaźta z pieca — pójdziemy w goście.“

Dziewczęta poschodziły z pieca — Kuba je pooblekał w koszuliny — młodszą Kasię wziął na ręce, a Hanusię za rączkę, i wyszedl z chałupy.

Szli długo łąkami, aż stanęli na wzgórzu. W blaskach księżyca słała się rzeka w dole, jak szerokie pasmo rtęci. Wzdrygnął się Kuba — bo go zmroziła ta błyszcząca rzeka, a kamień na piersi jeszcze się cięższy wydał. Zadyszał się i ledwie dźwigał małą Kasię. —

Schodzili w dół ku rzece. Kuba zębami szczękał, aż się głos

po łąkach rozchodził, a w piersi czuł długi pas ognisty, co mu serce i mózg palił.

Nad samą rzeką nie mógł już iść powoli, tylko pobiegł, a Hanusię w tyle zostawił. Hanusia biegła za nim. Kuba chwycił Kasię prędko i z całej siły rzucił w wodę.

Ulżyło mu zaraz, i zaczął prędko gadać do siebie: „Powiem sądowi, że rady nijakiej nie było — ani co jeść, ani czem palić, ani komu uprać, ani głowy umyć, ani nic.

„Że karę przyjmuję — bom zawinił i na szubienicę.“

Hanusia stała przy nim i równie szybko mówiła:

„Nie toptaż mnie tatusiu — nie toptaż, nie toptaż.“

„Jak się prosisz, żeby nie topić, to nie — ale by ci lżej było — a mnie jednako, wisieć za jedną czy za dwie. Będziesz biedować za młodu, a potem na żydowską mamkę wyjdziesz i znów będziesz biedować!“

„Nie toptaż mnie — nie topta.“

„No to nie, ale Kasi lepiej niż tobie. — Wracaj do wsi, a ja się idę meldować. Idż se tą ścieżką — het, het — aż wyjdziesz na góry, a tam pójdziesz do pierwszej chałupy — wejdziesz i powiesz, że niby tak i tak, że mnie tatuś chcieli topić, alem się wyprosiła — żebyśta mnie dały przenocować, a jutro powiedz, możebyście mnie najęły do dziecka. No, idź, bo noc.“

Hanusia poszła.

„Hanuś, Hanuś — na ci tu pręcik — żeby cię tam psy nie opadły i nie rozdarły. Zawsze z kijkiem bezpieczniej.“

Hanusia wzięła kij i poszła łąkami.

Kuba portki zakasał, żeby przejść przez rzekę, bo tędy była droga do miasta. Wlazł już w wodę po kostki i zdrętwiał.

„W imię Ojca i Ducha Świętego, Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebie — święć się imię Twoje...“

Wrócił się i szedł do mostu.

PRZEŁOŻYŁ
Dr. W. Moraczewski. Wasyl Stefanyk.

„TRWOGA I DRŻENIE.“ LIRYKA DYALEKTYCZNA.
(Urywek.)

Był raz człowiek, który w latach dziecięcych usłyszał piękną opowieść ową, jako Bóg doświadczał Abrahama, jako ten próbę

przetrzymał, wiary dochował i powtórnie wbrew oczekiwaniu syna się doczekał.

A kiedy podrósł chłopiec ów, czytał tę powieść z większym jeszcze podziwem; albowiem życie rozszczepiło to, co w prostocie dziecięcej, nabożnej zjednoczonem było. Im dojrzalszym się stawał, tem częściej myśli jego krążyły około tej powieści, zachwyt rósł, a przecież coraz trudniej pojąć mu było opowiadanie owo.

Wreszcie dla tej powieści o wszystkich innych zapomniał; dusza jego tchnęła jedynem życzeniem oglądania Abrahama, jedną tęsknotą żyła: abym mógł być świadkiem tego wypadku! Nie zajmowały go ani piękności wschodu, ani przepych zewnętrzny ziemi obiecanej, ani owo stadło nabożne, któremu w późnych latach Bóg pobłogosławił, ani postać czcigodna sędziwego patryarchy, ani młodość kwitnąca zesłanego przez Boga Izaaka, — cała powieść mogła się była odgrywać w jałowej puszczy. Pragnął jedynie towarzyszyć Abrahamowi w onej trzydniowej podróży, kiedy jechał z troską przed sobą, Izaakiem obok siebie. Pożądał być obecnym w onej chwili, kiedy Abraham, podniósłszy oczy, ujrzał w oddali górę Moria, w owej godzinie, kiedy, zostawiwszy osły u stóp góry, wstępował samotny z Izaakiem. To, co go przejmowało, nie było bowiem cudną tkaniną marzeń, raczej trwogą myśli.

Człowiek ten nie był myślicielem, ani czuł potrzeby wydostania się poza granice wiary; najwspanialszem mu się zdało być czczonym jako rodzic wiary, losem godnym zazdrości wiarę posiadać, chociażby o tem nikt wiedzieć nie miał.

Człowiek ten nie był w pismie uczonym; po hebrajsku nie umiał. Gdyby był hebrajski język zgłębił, możeby wtedy łatwiej mógł zgłębić opowieść o Abrahamie.

I.

I doświadczył Bóg Abrahama, i rzekł do niego: Weź Izaaka, syna twego jedynego, którego ukochałeś, i udaj się do ziemi Moria, abyś go ofiarował na całopalenie na górze, którą ci ukażę.

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia; kazał osiodłać osły i opuścił dom swój. Izaak szedł z nim. Sara wyglądała za nimi oknem w dolinę, póki się przed wzrokiem jej nie skryli. Trzy dni jechali milcząc. Rankiem czwartego dnia nie przemówił Abraham jeszcze ani słowa; ale podniósł oczy i ujrzał górę w oddali. Zostawił pacholęta, a sam, trzymając Izaaka za rękę, wstępował na

górę. I rzekł Abraham do siebie: „Nie chcę przed Izaakiem ukrywać, dokąd ta wędrówka prowadzi.“ Wstrzymał kroku; błogosławiąc, położył rękę na głowie Izaaka, a Izaak schylił się, aby otrzymał błogosławieństwo ojcowskie. Miłość rodzicielska świeciła w obliczu Abrahama, wzrok jego łagodny był i pieszczący, słowa jego poważne i pełne przestrogi. Ale Izaak niezdolny był go pojąć, dusza jego nie mogła się wznieść. Objął kolana Abrahamowe i jęczał u jego stóp.

Błagał o swoje młode życie, o swoje cudne nadzieje. Wspominał radości w domu Abrahama, wskazywał na troskę i osamotnienie. Wtedy podniósł chłopca Abraham i szedł z nim ręka w rękę. Słowa jego pełne były pociechy i upomnienia. Ale nie mógł go zrozumieć Izaak. Wstąpili na górę Moria, Izaak nie pojął go jeszcze. Natenczas odwrócił się Abraham na chwilę od niego, — a kiedy Izaak ujrzał znów oblicze Ojca, było zmienione. Wzrok jego był dziki, postać straszna. Chwycił Izaaka za piersi, rzucił o ziemię i rzekł: „Niedorzeczny chłopcze, myślisz, żem ci ojcem? Jestem bałwochwalcą! Myślisz, że to rozkaz boski? Nie, to moje pożądanie.“ A Izaak drżał i wołał w trwodze: „Boże na niebie, zmiłuj się nade mną! Boże Abrahama, zmiłuj się nade mną! Jeżeli nie mam ojca na ziemi, bądź ty mi ojcem!“ Abraham zaś rzekł w cichości do siebie: Panie w niebiosach, niechaj ci będą dzięki! lepiej jest, aby mniemał, żem ja jest potwór, niżby miał wiarę w Ciebie utracić!

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, uczerni matka pierś swoją — okrucieństwem byłoby zostawić piersiom ich ponętę, a dziecku jej wzbraniać. — Tedy dziecię mniema, że zmieniła się pierś, ale matka została bez zmiany; wzrok jej serdeczny i czuły jak dawniej. Błogo matce, która nie potrzebuje straszniejszych sposobów, aby dziecię od piersi odzwyczaić.

II.

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia. Uścisnął Sarę, oblubienicę starości swej, a Sara ucałowała Izaaka, który z niej zdjął niesławę bezpłodności, — dumę swoją, nadzieję wszyskich pokoleń.

Milcząc jechali drogą. Abraham trzymał wzrok wlepiony w ziemię aż do dnia czwartego, wtedy wzniósł oczy i ujrzał górę Moria w oddali. I nanowo wzrok spuścił ku ziemi. Milcząc ułożył stos i związał Izaaka. Milcząc podniósł na niego nóż. Wtedy ujrzał

baranka, którego upatrzył był Pan. Tego ofiarował i powrócił do domu swego. — — — — Od tej chwili postarzał się Abraham, nie mógł zapomnieć, że Bóg tej ofiary od niego zażądał. Izaak wzrastał jak poprzednio. Wzrok Abrahamów stał się pochmurny; radości żadnej już nie oglądał.

Kiedy podrośnie dziecię i ma być odłączone, wtedy matka zasłania dziewiczo pierś swoją — dziecko nie ma już matki. Błogo dziecku, które w ten sposób tylko matkę straciło!

III.

Był ranek. Abraham wstał zawczasu. Ucałował Sarę, młodą matkę, a Sara ucałowała Izaaka, radość swą i uciechę po wszystkie czasy. I w zamyśleniu jechał Abraham drogą. Myślał o Hagarze i synu jej, których niegdyś na pustynię wypędził. Wstąpił na górę i podniósł nóż. —

Był cichy wieczór. Abraham wyjechał samotnie, dążył ku górze Moria. Rzucił się na twarz i błagał Boga, aby mu odpuścił grzech, że Izaaka chciał ofiarować, że o prawach ojca do dziecka zapomniał. Często jeździł ową drogą samotnie, ale pokoju nie zaznał. Nie mógł zrozumieć, jak może być grzechem, że Bogu chciał ofiarować to, co mu najdroższem było, co cenił tysiąc razy wyżej od życia swego. A przecież — jeżeli to było grzechem, jeżeli nie kochał tak Izaaka, jak kochać trzeba — tedy pojąć nie mógł, że mu to odpuszczonem być może. Albowiem jest-że grzech większy od tego?

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, wtedy i matka się smuci, że od dziecka swego coraz się więcej i więcej oddala; że dziecię, które pod sercem naprzód spoczywało, które potem bodaj do piersi tuliła, teraz nie będzie jej tak bliskie. Boleją tedy oboje krótką boleścią. Błogo matce, która utrzymała dziecię tak blizko i nie musiała się troszczyć o więcej!

IV.

Był wczesny ranek. W domu Abrahama wszystko było do drogi gotowe. Pożegnał się z Sarą. Eliezer — wierny sługa — od-

prowadzał go kawał drogi; potem zawrócił do domu. Jechali obok siebie Abraham z Izaakiem, aż przybyli do góry Moria. Abraham przygotował wszystko do całopalenia w cichości i spokoju; ale kiedy się obrócił i nóż podniósł, dostrzegł Izaak, że Abraham lewicę zacisnął w rozpaczy, że drżenie wstrząsnęło jego ciałem. Wszelako podniósł nóż Abraham.

Wrócili potem do domu, a Sara wybiegła na ich spotkanie. Ale Izaak utracił wiarę. Nigdy słowa jednego o tem nie przemówiono. Izaak nie powiedział nikomu o tem, co widział; Abraham zaś nie przeczuwał, że ktokolwiek to mógł widzieć.

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, zgotuje matka pożywny pokarm, aby znać nie zginęło. Błogo temu, kto ma na gotowości pokarm pożywny!

Tak i w temu podobne sposoby myślał pomieniony człowiek o owem zdarzeniu. Ilekroć wracał z wędrówki do góry Moria, upadał ze znużenia, załamywał ręce i mówił: Nikt nie był tak wielki, jak Abraham. Któż go pojmie?

PRZEŁOŻYŁ
Dr. W. Moraczewski.

Johannes de Silentio
(Sören Kierkegaard.)

Bajki.

WAWRZYN I MIRT.

Wawrzyn i mirt, ujrzawszy, że silna dłoń drwala
Pyszny pień pięknej gruszy toporem obala,
Zawołały: „O, gruszo, którą tnie siekiera!
Gdzie pójdziesz? Dokąd ciemny ten człek cię zabiera?
Gdzie twa dostojna duma, co, jak jędrne moce
Soków, cię przenikała, gdyś czuła owoce
Wiszące u gałęzi twych źrałem brzemieniem?
Już gęsty włos twój kryć nas nie będzie swym cieniem!“
Na to grusza: — „Po płodnym rodzenia okresie
Odchodzę ztąd z tym drwalem, który mnie zaniesie
Do pracowni rzeźbiarza, wytwornego mistrza,
Którego dłuto świetne i sztuka najczystsza
Po długich dniach twórczego trudu wśród zacisza
Nada mi kształt czcigodny i postać Jowisza.
I w świątyni ustawią mnie, gdzie ludzi mnóstwa
Modlić się do mnie będą i czcić mnie miast bóstwa.
Ty zaś czekaj, że dłonie każdego przechodnia
Nadłamywać cię będą i kaleczyć co dnia
Dla gałęzi twych lśniących, w które ludzkie roje,
Aby mnie uczcić, stopy będą wieńczyć moje.“ —

Codice Atlantico, fol. 67, recto.

KASZTAN I FIGOWIEC.

Kasztan, widząc na drzewie figowem wędrowca,
Jak przyciąga ku sobie gałęzie figowca,
Zrywa owoc, w otwarte usta jego miąsze
Soczyste kładzie, gryzie zębami i kąsze:
Trzęsąc gałęźmi w szumie wzburzonym tak rzecze:
— „Mniej ode mnie wdzięczności winieneś za pieczę
Przyrodzie, o figowcu! Patrz, jak ona mądrze
Stwarza dzieci me, niegdyś skryte w kwiatów jądrze.
Naprzód łuską je kryje, cienką jak koszula,
Potem je korą twardą, jak w kożuch, otula
I, nie ustając w łaskach dla nich, jakby w skrzynie
Zamyka je, mieszkanie im dając w łupinie
Mocnej, jeszcze ją w kolców opatrując ostrze,
By im nie szkodził człowiek, gdy palce rozpostrze
Nad niemi, chcąc je ująć." — Śmiechem się zanosić
Zaczęła figa z dziećmi, a kiedy już dosyć
Naśmiała się, odrzekła: — „Wiedz, niech cię nie dziwi,
Iż tak już urządzono, że owoc drzew żywi
Ludzi. I wiedz, że człowiek takiego jest ducha,
Że żerdzią, kamieniami i ciosem obucha
Zegnie gałęzie twoje, skarb owoców drogi
Otrząśnie, a gdy spadną, to swojemi nogi
Bije w nie, aż stłuczone twych owoców plony
Wypadają z łupiny kolcami bronionej.
Ja karmię swym owocem rozrzutnie i hojnie.
Kto tylko łaknie, do mnie przychodzi spokojnie.
Mnie dotykają ręce. Nie drżę przed niczyjem
Łaknieniem. Tyś tykany kamieniem i kijem."

Codice Atlantico, fol. 67, recto.

CEDR.

Nieugiętym wierzchołkiem tonący w błękicie
Cedr pragnął owoc wydać na swym dumnym szczycie
I wytężał ku temu wszystkie żywne soki,
Które czerpał z powietrza i ziemi głębokiej.
I gdy osiągnął cel swój a owoc wspaniały
Zawisł na jego szczycie ciężki i dojrzały:

Piewszy raz cedru czoło i duma się zgięła
Pod ciężarem własnego owocu i dzieła.

Codice Atlantico, fol. 76, recto.

GŁAZ.

Głaz, dopiero co wodą wypłukany z piasku,
Wielki, leżał na wzgórzu, u krawędzi lasku
Uroczego, nad sianą kamieniami drogą,
W towarzystwie ziół, które w rozlicznych barw mnogo
Zdobiły kwiaty swoje. I widząc kamienie
W stos zebrane, na drodze u dołu, życzenie
Powziął, ażeby stoczyć się w dół, mówiąc sobie:
„Między ziołami temi cóż ja tutaj robię?
Zamieszkać w towarzystwie pragnę swoich braci.“
I kiedy w dół się stoczył, wśród rodzeństwa traci
Szykość swojego pędu. Ledwo pobył nieco,
Jął doznawać mąk ciągłych od kół, które lecą
Drogą, od kopyt końskich żelaznej podkowy,
Od stóp wędrowców. Ten go przewrócił a owy
Nadkruszył. Czasem dźwignął się nieco swem ciałem,
Gdy brud lub jakie bydlę okryło go kałem.
Próżno patrzał ku miejscu, zkąd tu przybył w gości,
Ku miejscu spokojnemu ciszy, samotności.

Codice Atlantico, fol. 175 verso.

ORZECH I DZWONNICA.

Zdarzyło się, że orzech, przez złodziejstwo wrony
Na wysoką dzwonnicę skrycie zaniesiony,
Wpadł w szczelinę i gdy mu groziła już zguba,
Ocalon przez nią został od zbójczego dzióba.
Zaklinał mur — na łaski, w które go przybrały
Nieba: iż jest wyniosły taki i wspaniały,
Bogaty w piękne dzwony i dźwiękiem czcigodny —
By go ratował. Jeśli już nie mógł z dorodnej
Gałęzi ojca swego spaść na ziemię tłustą
I okryć się strąconych, zwiędłych liści chustą,

Niech go mur nie opuści! Bowiem przedtem jeszcze
Ślubował pochwycony w dzikie dzioba kleszcze,
Że, gdy zeń ujdzie, życia dokona z radością
W małej jamce. Po słowach tych wieża litością
Poruszona przyjęła go w owo schronienie.
I wkrótce orzech począł pękać i korzenie
Wpuszczać w szczeliny głazów, roztaczać je wkoło
I wystrzelać gałęźmi. Wkrótce, gdy nad czoło
Wzniósł się wieży i zgrubił swych konarów sploty,
Począł rozsadzać mury, antycznej roboty
Głazy wypierać z dawnych siedzib. I zapóźno
Opłakiwała wieża powód swych strat. Próżno
Biadała. I niedługo, rozpękłszy na boki,
Runął szczyt niebotyczny dzwonnicy wysokiej.

Codice Atlantico, fol. 65, recto.

FIGOWIEC.

Dopóki przy gościńcu stał owoców próżny,
Nie spojrzał na figowiec ni jeden podróżny.
Gdy wydał owoc, chcąc zań pochwały po trudzie,
Pogięli i gałęzie złamali mu ludzie.

Codice Atlantico, fol. 76, recto.

PRZEŁOŻYŁ Leopold Staff. Leonardo da Vinci.

SOFOS — DZIEWICA — ATESSA — HELOIS I NIEZNANY LIST J. SŁOWACKIEGO.



Błąka się po ostatnich pięciu latach życia i twórczości Słowackiego jakaś nieuchwytna, lecz niewątpliwa obecność kobieca. Jakaś inna, jakieś inne budząca w poecie uczucia, niż wszystkie dotychczasowe Ludki, Marye, Aniele i Joanny, przemawiająca raczej do jego duszy i wyobraźni, aniżeli do serca czy zmysłów, budząca w nim raczej pragnienia apostolskie, wizye palingenetyczne, nadzieje jakichś owocnych spółbraterstw i spółdziałań duchowych, aniżeli sentyment serdeczny lub żądzę namiętną. Zgadza się to z całem ówczesnem usposobieniem Słowackiego. Skarży się poeta matce na „samotność serca," ale właściwie ma na myśli samotność w nowych światach, które się przed nim otworzyły [1]). Właściwie szuka nie przywiązań czy miłości ziemskich, lecz uczestników czy uczestniczek „w widzącej wierze" (List do Rem. 75_6). Właściwie chodzi mu o „zdobywanie" duchów [2]), o nawracanie ich ku „celom ostatecznym globowym" — a to, raz, dla zbawienia ich i spełnienia przez to swej misyi (bo „nie sam Duch twój zbawi się,

---

[1]) „Czekam, czekam jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przede mną i *zawoła zupełnie moim językiem.* Często już prawie zgodziłbym się pójść jak Jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, *aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie*..." (Do matki, 20/I 1845).

[2]) „Teraz ja budzę się co rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży... *Zdobywcą jestem duchowym*..." (Do matki, 16/IV 1844).

ale odpowiedzialność ma za wszystkie duchy" [do Teof. Jan. w liście do matki z 18/I 1843]), powtóre zaś, sobie i swym usiłowaniom „ku pomocy" (Teog. 43_5), dla spotęgowania własnych dążeń ku „świętości twórczej" przez „spiorunowanie" ich z usiłowaniami dalszych, „zdobytych" „objawicieli" [1]).

Do tej apostolskiej pracy przykładał wówczas poeta wagę największą [2]). Ale w pierwszych dwóch latach swej „egzaltacyi" (1842 — 43) działał przeważnie środkami czysto etycznemi, prostotą, dobrocią, jakiemś promieniowaniem wewnętrznego wesela i spokoju. Później — odkąd wiara odkryła mu „wszystkie tajemnice" i odchyliła „zasłonę grobu" (do matki — 16/IV 1844) — rozmowami i „namowami" próbował „z myśli dostać ruchu" i wiódł „w święte cele" przez „ów świat złoty ducha, kraj sokratesowy" (Teog. 38_3). Wreszcie, gdy Ocean, to wielkie wszechzarodzi łożysko, zwrócił myśl jego ku prapoczątkom kosmogonicznym, i zwłaszcza gdy, po zawarciu w *Genezis* cudownej wizyi przedczłowieczych ducha dziejów, zaczęła mu śnić się „jakaś wielka, przez wieki idąca powieść" nieustannych jego w formie człowieczej odrodzin, — odtąd główny nacisk jął kłaść na „rozkochiwanie" ludzi „w celach ostatecznych globowych" przez „wyrozumienie przeszłości," przez pokazywanie im, „czem byli w pracy wieków," „aby łatwiej siebie w przyszłym królestwie Bożym" znaleźli (List do Rem. 75_{7-9}):

Lecz jakże mi uwierzysz? — wiekowe otchłanie
Są pod tobą i bratem, a wy sami sobie
Tajemnicami będąc, na tym ludzi grobie
Stoicie. Jakże teraz dostaniecie wiary:
Że pokolenia przeszłe — nie są próżne mary
Pomimo was przez Boga na ten glob rzucane?..
Chyba w aniołach waszych zmartwychwstanę
Całą przeszłością: ludy wszystkie w was rozbudzę...
Każę wam grzechy nosić i własne i cudze. —
Zaprawdę! Uczynię to, czynów waszych wątki
Przez ostateczne cele i ducha początki

---

[1]) „Czyś ty nigdy nie marzyła, droga moja, o spiorunowaniu dwóch modlitw w jedną modlitwę, dwojga miłości w jedną miłość... dwóch sił w jedną siłę? Czy ty myślisz, że tego na wieki wieków nie będzie?" (Do matki—15/X 1845).

[2]) „Przez te lat pięć" — pisze później (25/XII 1848) do W. Stattlera — „pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i duchach, w które je wrzuciłem i posiałem."

A w samych chwilach tej pracy, oto jak ją opisuje matce (15/X 1845): „...do każdego zbliżam się niby do brata... z chęcią, aby mu serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrzesić go niby... i dać mu pęd ku wielkim celom żywota... a siłę w nim wrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności."

Usprawiedliwię, ciała będę wam budował
I budził, i znów w białe groby kładł i chował
I znowu wyprowadzał. A duchy pokażę
Jako na się wkładając różne piękne twarze
Po globie się szukały, aż z błąkań się onych
Stanie powieść — harmonij pełna nieskończonych —
Jednością oświecona wywodną — jak słońcem...
(*Teog.*, 43 — 44).

Te wizye przeszłych żywotów, te przeobrażenia kolejne „ducha doskonałości walczącego z oporem formy,“ podniecały jego wyobraźnię i fascynowały go odtąd przedewszystkiem. I dla siebie, i dla najbliższych sobie w dążeniu do „ducha prawdy i piękności,“ jął doszukiwać się wcieleń przeszłych, dla przyszłości wskazówką będących. Gdy go tedy owa niewiadoma dotąd postać kobieca uderzyła „formą czystej piękności,“ oraz duszą, która w niej

... muzykant niby doskonały
Jakiejś cudownej pieśni niebiańskiej dogrywa;

gdy wydała mu się wskazaną i predestynowaną na „prawd objawicielkę,“ na „uczuć kapłankę,“ „zjawioną tylko raz w każdym narodzie“ (*Teog.* 47), — zaczął przedewszystkiem snuć fantastyczne jej metampsychozy koleje. To też żadna z dawniejszych „miłości“ nie zostawiła tylu i tak wyraźnych śladów w poezyi Słowackiego, jak ta tajemnicza i dotąd niezauważona ducha kochanka. Ona była modelem, z którego poeta stworzył Sofosa w t. zw. *Teogonii,* Dziewicę w *Eolionie,* t. j., pierwszej części *Zborowskiego,* Atessę w t. zw *Poecie i natchnieniu,* Helois w t. zw. *Wykładzie nauki,* i w *Liście do Rembowskiego.* Reminiscencye o niej dałyby się odszukać w ostatnich pieśniach *Beniowskiego* i w *Królu Duchu.* Gdyby nasi badacze literatury, oprócz t. zw. „naukowości,“ posiadali nadto nieco wrażliwości estetycznej, pozwalającej odróżnić szczegóły brane widocznie wprost z natury od rzeczy będących wyłącznie wytworem wyobraźni poety, — mogliby byli dawno zauważyć, że Dziewica, Atessa, Helois (i Sofos) — to jedno, nietylko jako wynik tej samej teoryi czy tego samego pomysłu poety, lecz i jako owoc tej samej pobudki zewnętrznej. Niestety, t. zw. „naukowość“ zawierza tylko anegdotyczno-autentycznym stwierdzeniom, świadectwom przyjaciół i znajomych poety, a przedewszystkiem kategorycznym nazwiskom lub choćby imionom. Bez należytego ich zapasu obawia się ruszyć naprzód. Tego zaś wszystkiego brakło tutaj poniekąd. Słowacki, taki zazwyczaj gadatliwy raczej co do swoich „miłości,“ taki zwierzający się matce ze wszystkich tego rodzaju przejść swoich i wrażeń, tu —

oprócz wspomnianych skarg na „samotność serca" — słówkiem o niczem nie wzmiankuje. Jedyne napomknienie, ogólnikowe i mało mówiące, znajdujemy w liście do p. Bobrowej z Pornic (18/VII 1844), w tym samym liście, gdzie poeta, jak gdyby nagle, pod jakąś pobudką, uprzytamnia sobie i wyznaje otwarcie brak jakiejkolwiek łączności duchowej między sobą a p. Joanną [1]. „Czy to jest dziełem farfadetów, a sług pani" — czytamy w nim — „że tu zajechała do Pornik jedna osoba, trochę postacią i oczu błękitem i czarnem ubraniem Panią przypominająca?" A gdy rozbudzona baczność kobieca p. Joanny kazała jej w odpowiedzi spytać podejrzliwie o „najważniejszy fakt" z dwumiesięcznego życia poety nad morzem, zbywa ją Słowacki piękną opowieścią o pastereczce siedzącej na Druidów kamieniach, wzgardliwem czy też pełnem jakiegoś *dépit* wspomnieniem o „innych mniejszych duchach w kitajkowych sukniach z falbanami, polkujących na zapylonych posadzkach oberży," oraz gorącym protestem, że „żadnej *błahej* myśli nie ważyłby się posłać do domu, gdzie Matka, wszedłszy, musiała zaraz zalać się łzami — przez Zosieczkę rozczulona" (18/I 1845).

A jednak były tam „fakty" ważniejsze. Przedewszystkiem, powstawanie, pod szumy morskie i szelesty „wietrznych pól, bladym kwiatkiem okrytych," owej „modlitwy," którą Słowacki do końca za najważniejsze z pism swoich uważał. A potem, po napisaniu, czy tylko obmyśleniu jej ostatecznem, przybranie „do hymnu tego dwóch głosów," zbliżenie się do dwojga „jasnych, smętnych i rozmiłowanych — którzy dla nauki ducha prawdy i piękności gotowi" byli „opuścić świata uciechy," którzy siadali u nóg poety (Tłómacza Słowa) i byli „wsłuchani w niebiosa" (*Wykład nauki*, 115_{1-10}), których on, w sokratesowych rozmowach, wiódł w „ów złoty świat ducha," przed nimi „idąc w święte cele

Jak skrzypek, który wiejskie prowadzi wesele."
(*Teog.*, 38_{3-5}).

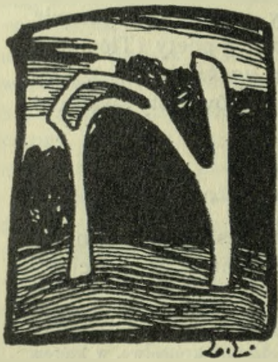
Ale o tem nie uważał poeta za stosowne pisać ani do matki, ani do p. Bobrowej. Czuł, że nie byłby zrozumiany, że podejrze-

---

[1]) „Czemuż ja Pani pisać nie mogę o tych duszach, których tłum znajomy coraz mię wyraźniej otacza, i ziemię zamienia w jakieś niewidzialne królestwo, w którem ja jestem sługą i królem? Gdybyś Pani widziała...

„Ale co to wszystko Panią obchodzi? Dla czego ja to piszę — dla czego ten list cały napisałem? Ja nie wiem Pani — nie wiem prawdziwie. — Dalibóg nie wiem, bo *ja z Panią nie powiązałem żadnej nadziei, bo mi Pani żadnej gwiazdy nowej nie zapalisz...*"

wanoby go raczej o „błahe“ myśli, albo też smucono się „chorobliwością“ tego, co on za święte uważał. Zanotował natomiast w czerwonym swym notatniku (*Biegel. Pam. Sł.*, 37 — 38), jak „tłómaczył dalsze tajemnice ducha ludzkiego, siedząc spokojny w grocie, na złotym mikowcu [a więc w Pornic jeszcze], otoczony tłumem [?] słuchaczy. U nóg jego siedziała młoda kobieta, piękna jak anioł, z oczyma rozjaśnionemi, jakoby owych rozjaśnień chciwa. W ręku jej wianek był, podług genezyjskich nauk symbolicznie uwity ze zwierciadlanego liścia cytrynowego krzewu, ze stokroci polnych, rubinami koniczyn, republikanin ducha, rumieniący się. Co dziwniejsza, że nań zleciały się muchy świecące, owej letniej nocy gęsto przyświecające, i wiankowi uczyniły światło i niby kwiecie nowe błękitowi miesięcznemu podobne. Mędrzec z uśmiechem patrzył na wieniec i na córkę, mówiąc, iż święte Jany motylich narodów poczuły się z myślą dziewiczą i w apokaliptyczne ją blaski ubierają... Ona jednak wieńca nie kładła na skronie, ale Helionowi, który czytał Fedona, uczyniła zeń światło i kaganiec, tak, że blada pozłota na żółte księgi karty padała.“ — Obraz, niewątpliwie transponowany już poetycko, ale tak zgodny co do szczegółów faktycznych z odpowiedniemi miejscami w t. zw. *Teogonii*, że już choćby dla tego samego niepodobna nie odnaleźć w nim podłoża rzeczywistości.



Nieoczekiwany traf dał nam w ręce potwierdzenie tych wszystkich przypuszczeń. Między papierami po Cypryanie Norwidzie, udzielonemi nam przez p. W. Gasztowta, odnaleźliśmy teczkę niewielką z napisem na niej ręką Norwida: „List Juliusza Słowackiego do Zofii — i Zofii do C. N.“ Kto była owa Zofia, odsłaniają odrazu całkowite na niektórych listach do Norwida podpisy: Zofia Węgierska. Że zaś list Słowackiego, zaczynający się od słów: „Bracie Najmilszy Sofosie,“ do niej istotnie był zwrócony, świadczą — obok zmaskulinizowanego imienia Zofii [1]) — zbieżność treści i daty tego listu z post-scriptum w liście

[1]) Ile że poeta pisze do niej raczej jako do ducha bratniego, niżeli jako do kobiety. Por. w *Liście do Remb.*, 74—75, co Słowacki mówi o Helois.

Słowackiego do W. Stattlera, całkowicie właśnie p. Węgierskiej poświęconem (w dniu Bożego Nar. [1848]), oraz fakt, że Węgierska na niektórych listach do Norwida podpisuje się greckiem Σ (Σοφός albo Σοφία), a gdzieniegdzie używa nawet wyrażeń przez Słowackiego w liście do niej zwróconych (np. „Powiedz, co mogę dla ducha Twojego?“).

Autograf listu Słowackiego do „Brata Sofosa,“ który mamy pod ręką (arkusik listowego papieru $18^1/_2 \times 12^1/_4$ cent., zapisany na czterech stronach), nie jest jedynym. Prof. Małecki miał u siebie własnoręczny również, ale niedokończony jego brulion, identyczny zupełnie co do treści i tylko różniący się ciekawie od ostatecznej redakcyi w niektórych wyrażeniach. Obecnie brulion ten jest własnością p. L. Meyeta, który nie omieszka zapewne tych odmian tekstu w swojej edycyi listów uwydatnić. My tymczasem ogłaszamy wiernie i w całości nasz autograf, przedewszystkiem, jako jeden z najpiękniejszych listów Słowackiego, pełny wielkiej powagi i pogody dusznej, a zarazem mieniący się odcieniami — o jakże wysokiego humoru; powtóre zaś, jako dokument rozjaśniający wiele zagadkowych po dziś punktów w twórczości ostatnich pięciu lat życia poety. (Kreski pionowe znaczą koniec wiersza rękopiśmiennego; takież kreski podwójne — koniec stronicy).

I. Bracie Najmilszy Sofossie — dla czegoś wątpił? | Temi słowy któremi Pan Jezus zgromił to|nącego Piotra odpowiadam ci — bom cię | spotkał także w morzu świata tonącą — i | rzekłem do ciebie: Chodź — i stań ze mną | razem na fali najwyższej żywiołów — zapatrz | się ze mną razem, w światłoście ostateczne — a | niewzruszeni i święci przetrwamy na wieki — | coraz większych dolatując zachwyceń — ale ty | najmilszy bracie zwątpiłeś — i niby obumarłeś | był i próbowałeś sił moich ziemskich — a | grożąc mi że toniesz, wyzywałeś mię abym | cię ratował — co więcej, ciekawą cię widziałem | i patrzącą we mnie z ciekawością — czyli znajdą | się we mnie cnoty bohaterskie dawnego świata | z któremi na ratunek się rzucę — czy nareszcie | ciebie zginionej płakać będę? |

Dla tych to przyczyn z wielkiej i praw|dziwej miłości ku tobie, poszło żem cię opuścił | nierozgrzeszoną. Nie uwolniłem
II. ducha twego || nie zostawiłem pokoju w domku twoim | skazałem cię na smutek równo dzielony z kwia|tami jesiennemi — na zatrwożenia senne | na czczości serdeczne — na niemoce

anielstwa | oddałem ciebie — a to dla tego abym cię | miał wróconą Duchowi świętemu przez boleść. |

Bogu więc niech będzie chwała żeś przeła|mała dumę kobiecą — żeś rozjaśniła schmu|rzenie się ducha twego spojrzawszy w moją | stronę. Bo zaprawdę, że w świętem tylko roz-| weseleniu się duchów ku światłu wędrujących | wolno nam zbliżać się do siebie — i spotykać | się — pókiśmy oboje smutku i boleści wzajemnej | zdolni. |

Dobrym więc sądzę list twój najmilszy bracie — | nic przez to z prawdziwej piękności ducha | nie utraciłaś—owszem woń wdzięczną — owszem | światło przyjemne dorzuciłaś aż do mnie, | tak że niby w pół śnie — i w otchnieniu przy-||
III. jemnem ducha twego pogrążony — odpisuję. |

Tę widząc dobroć twoją i wspomniawszy | na piękność twoją — nazwę ciebie Jasnym bra|tem — u chłopka polskiego pożyczywszy tego | tytułu — którego on — smuklejszym i widniejszym | od siebie paniczom udziela — ani braterstwu | prawdy ani elementowi piękności nie ubliżając. | A tak ja — dla któregoś ty jest święta pięknością — | przed którym za tą zasługą ducha twego stoisz, | jak za tarczą dyamentową — nieobrażona. |

Pamiętając na to wiedz — że się uniżyć nie możesz | jako kobieta... a jednak przez *prawdę* możesz | być spiorunowana — i spalona — aż — aż do | garsteczki prochu. Panuj mi więc — ale się | bój — jak dzieciątko. |

Ton listu twego wysoki i przyjazny napełnił | mnie serdecznością nieopisaną — powiedz, co | mogę dla ducha twego? ||

IV. Ty najmilszy Sofossie — wiele możesz | dla mnie — podnosząc się do tych sfer transfi|gurujących postacie — w których trwająca | piękność staje się nam elementem światła — | Wjaśnić się w ciebie chciałbym tak — aby | olsnione moje oczy nieraz ślepemi zostały | spojrzawszy na inne niższe cielesne sprawy i kształty. |

O taką wysokość więc, w duchu trwającą, | proszę — mego Jaśnie Brata Sofossa — któ|remu zasyłam tu pozdrowienie najser|deczniejsze. |

Juliusz.

Paryż
Rue Ponthieu 30
D. 8. Września 1848. r



Mimo kilku nekrologów (Bolesławity w „Rachunkach“ z r. 1869, str. 658; W. Korotyńskiego w Tyg. Ill. 1869, 2 IV, 273), oraz wzmianek w historyach literatury (Zdanowicz-Sowiński IV, 364), szematyczne zaledwie i niezawsze pewne posiadaliśmy dotąd o Zofii Węgierskiej wiadomości [1]). Dopiero ślady w poezyi i listach Słowackiego, oraz inne tu i ówdzie zebrane szczegóły, dały nam poniekąd postaci jej zarys.

Cudne, niewysłownego uroku było to niewątpliwie zjawisko kobiece. Piękność wonna, magnetyczna, wlokąca za sobą nieustanną smugę zachwytów i rozkochań; jednocześnie wszakże twórcza, zapładniająca, zdolna budzić najwyższe koncepcye — i przeto przedewszystkiem i nieodparcie pociągająca duchy głębsze, które w sferze jej się znalazły [2]). Dusza przedziwnie prosta, szczera, marzycielska, entuzyastyczna [3]), zdolna „uczuciem dostać ostatniego słowa“ (Zborowski,

---

[1]) Że urodziła się w r. 1825 (Bolesławita), czy raczej 1820-ym (Zdan.-Sow.); że była córką pułkownika Ludwika Kamińskiego; że młodo wyszła za mąż za Edmunda Mielęckiego, obywatela z Wielkopolski; że po krótkiem, nieszczęśliwem pożyciu rozeszła się z nim i jako separatka mieszkała we Wrocławiu (L. Meyet, Listy Słow. II, 303); że następnie poślubiła (?) Feliksa Węgierskiego, emigranta (Zdan.-Sow.), „człowieka niepospolitych zdolności, znanego z obywatelskich działań“ (L. Meyet); że w r. 1848 osiadła z nim w Krakowie, gdzie oboje zajmowali się dziennikarstwem; że po jego śmierci w r. 1849 (Zdan.-Sow.) czy 1851 (Bolesławita, Meyet) przeniosła się do Paryża, zkąd posyłała świetne kroniki literackie do Czasu, Bibl. Warsz., Bluszczu, Gaz. Polskiej i gdzie napisała cały szereg książek przeważnie dla dzieci i młodzieży; że wreszcie zmarła d. 8 listopada r. 1869.

[2]) Słyszymy, że później, po śmierci Słowackiego, kochał się w Węgierskiej W. Kalinka (F. Hoesick, J. Słow. III, 389); pewnem prawie wydaje nam się, że ją miało za przedmiot owo tak gorącemi słowy po latach jeszcze malowane, „beznadziejne“ uczucie Szczęsnego Felińskiego, które — jak sam opowiada (Pamiętniki, I, 189) — skłoniło go, pośrednio, do porzucenia świata i poświęcenia się służbie Bożej; wiemy wreszcie, że C. Norwid miłował ją, całym swym bogatym, subtelnym i wrażliwym duchem, aż do jej zgonu.

[3]) Dziedzictwo snadź po ojcu, Ludwiku Kamińskim, którego, w epoce walki romantyków z klasykami. do najszlachetniejszych i najkulturalniejszych postaci — obok Brodzińskiego i Morawskiego — zaliczyć trzeba. Z zawodu żołnierz, stawał się, ilekroć ojczyzna go powołała (w latach 1814 i 1831) i chlubnie na polach walk się odznaczał. Nie szukał atoli karycry wojskowej i, po skończonej kampanii czy po odcierpianem wygnaniu, powracał natychmiast do zacisza domowego, do swoich córek, które sam wycho-

728), ale niepozbawiona zarazem pewnego zabarwienia sentymentalno- i nawet sensualno-romantycznego, dająca się łatwo uwodzić nadmiarowi wrażliwości, potrzebująca oparcia i wodzy. Postać z wieloma zadatkami na jakąś Beatryczę, na „wieszczkę“ Peladanową [1]), na duchową równorzędnicę człowieka [2]), ale nie bez słabości i upadków również, z typu raczej „Nannah, parèdre lunaire“ [3]), „miesięcznica“ raczej niż „słonecznica“ piękności [4]), raczej z kobiet Botticellego lub Rafaela, niźli z Leonardowskich, Bryzeis raczej niźli Helena lub Gioconda.

Taką okazuje nam ją nawet portrecik z lat ostatnich życia (drzeworyt z fotografii), dołączony do nekrologu w Tyg. Ill. Mimo śladów wieku, mimo widocznego znękania i znużenia, niewymownie piękna i szlachetna to twarz, cała posunięta ku duchowości, cała w liniach, subtelnych a wyrazistych, uderzająca niezmiernem, aż bolesnem prawie wezbraniem uczucia, a zarazem pełna dziewczęcej szczerości i bezgranicznego siostrzanego oddania. Jakąż musiała być, jakimż czarem tchnąć nieodpartym młoda, dwudziestoparoletnia kobieta, którą poznał Słowacki, — smukła, „dorodna“ jako greckie bóstwo (Teog. 36_2 i 37_8), „z piersią kochanki i matki, z twarzą przecudownej Afrodytowej piękności... z ciałem łani“ (Wykł. nauki 187_{14-15}), „z oczyma co szmaragdów podobne ogniskom“ (Zbor. 548), z „rubinem, który z jej ust światło leje“ (Kr. D. I, 1, XIV), z falistą złotych warkoczy wstęgą (Zbor. 492 i waryant), z owemi „lekkiemi rumieńcowemi różami, jakoby wstydem nawpół pochowanemi w białości lica“ (Zbor. 406 — 408); z całą wonną, chłodną świeżością dziewiczą (Zbor. 506), a zarazem z ogromnem rozfalowaniem uczucia,

---

wywał, i do swoich poetów, których przekładał z umiłowaniem i mistrzowstwem. Jako poeta, stał zdaleka od swarów literackich; na słynnych ze złośliwości zebraniach u W. Krasińskiego — acz *de nomine* klasyk — nie bywał; wielkiego wykształcenia i wyrobionego smaku, nie oglądał się na etykiety, szukał przedewszystkiem głębszej wartości poetyckiej, a znalazłszy taką, z zapałem w mowie ojczystej równoważnika dla niej szukał. Przekłady jego (z Pope'a, Tassa, Byrona, Schillera, Danta) do najlepszych w literaturze naszej należą. Mamy wrażenie, że przekład *Pukla porwanego* nie pozostał bez wpływu na Mickiewicza, i że zwłaszcza niektóre ustępy, zwroty, wyrażenia znalazły żywe odbicie w *Panu Tadeuszu*.

1) Comment on devient fée. Paris. 1893.

2) List do Rembowskiego, 74_{19}—75_4.

3) Peladan, op. cit., str. 52.

4) Wykład nauki, 179_{11-17}: „Pozwól mi teraz, Helionie, że cię nazwę duchem słonecznym, a Helois jako w słowiku niegdyś śpiewająca pod nazwaniem ducha księżycowego wstanie. Do ciebie należyć będzie rewelatorstwo proste, więcej z wiedzy niźli z czucia — ona się będzie więcej czuciem i snem powodować [por. Peladan, 53: „rêveuse et tendre“] i smętniejszą drogą poleci.“

z całą już w owej chwili pełnią „pamiątek i przeczuć“ [1]); cicha, „pokorna,“ „świecąca owieczka,“ „niewinna jako kwiat“ (Teog. 36) i nagle umiejąca wydobywać z siebie „ognie niespodziane, poezyę przy której dźwięku ogłuchłyby wszystkie harfy świata“ (Wykł. nauki 189_{2-9}); młodzieńcza entuzyastka, tak ognista, takich snów, marzeń i porywów pełna, że „Tłómacz Słowa“ jej pojawienie się na ziemi tylko magnetycznem przyciąganiem niezwykle sprężonych w romantyzmie duchów objaśnić sobie umie [2]), a jednocześnie taka „w głębi serca pogodna“ (Zbor. 507), takiej gołębiej prostoty i dobroci, że poeta, wychodząc snadź z francuzkiego wyrażenia „dobra jako chleb,“ „żytniej bogini“ nazwę jej nadaje (Teog. 36)!

Sama ilość, sama superlatywność tych ech i reminiscencyj wrażenia, rozsianych po całej ówczesnej twórczości Słowackiego, świadczą, jak potężnie i głęboko zaabsorbowało ono wszystkie jego myśli i całą wyobraźnię. Było to jakieś olśnienie błyskawiczne, jakieś cudowne „wzroku odzyskanie,“ jakieś nagłe odnalezienie tego, co w błękitach marzeń dawno, dawno duchowi się jawiło, a czego dotąd nadaremnie szukał po ziemi. Wkrótce po poznaniu — acz nibyto hamując się ironicznie („jestem w zapale“) — wybucha poeta niezwykle gorącym i wzruszonym dytyrambem do piękności kobiecej, którego żadna z dawnych miłości wywołaćby nie zdołała i który jedynie do Zofii Węgierskiej stosować się może:

I oto mówię, że piękność kobiety
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
Lecz może, w duchu będąc, robić cuda!

Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
Sercu, i słońcem, które świeci nocą,

---

[1])
Oh, te pamiątki! Smutkiem, łzami wiszą
Na rzęsach, i są ciężarem i cieniem,
I są na twarzy jakąś wielką ciszą,
I są jakoby jej czoła uśpieniem:
Gdy usta niby przeczuciami dyszą,
I oświecają koralem, płomieniem
Jej twarz, i czasem zbiegają po licach,
Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach.
(Ben. XII, Pism. Pośm. 1866, II, 142).

[2]) „Dziw jest, żeś teraz przyszła na ziemię... i sądzę, że guślarstwo Dziadów i inkantacye Manfreda, śród mgieł i orłów alpejskich burzom krzyczane... i ów wid ducha kaskady... pod kolorami tęczy stojący... znacznie ci drogę powrotu umiotły. Jam także cokolwiek dopomógł...“ (Wykł. nauki, 186_{28-33}).

I panią razem, i razem być sługą,
I nawet w świecie aniołów pomocą;
Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć.
(Ben. XII, P. P. 1866, II, 143).

Ważniejsza i ciekawsza atoli, iż wrażenie to nie przemijało; iż trwało, nawet gdy, wcieliwszy się w szeregu poematów, mogło było, zda się, przygasnąć; nawet gdy Słowacki, zawiódłszy się poniekąd na marzonej „ducha objawicielce," odsunął się od niej, „opuścił ją nierozgrzeszoną"—i w melancholijnej strofie zawód swój apostolski wyraził:

Jam duch — już tylko w sobie — okiem porę,
W swoich jutrzenkach się czasami mącę,
A czasem w morzu jakieś perły biorę,
Dziwne, zaklęte ogromne miesiące
Podnoszę — rzucam o drzew twardą korę,
Myśląc, że nimfy wystraszę błyszczące,
Które o swojej piękności nie wiedzą,
A w ciałach jako w starych drzewach siedzą.
(Kr. D., Raps. II, P. P, 1866, II, 200).

Nawet i wtedy, w dalszych pieśniach *Króla-Ducha,* malując z reminiscencyj o Węgierskiej cudną postać „postrzyżyn ksieni," „całą w powojach, płótnach i warkoczach" [1]), woła z uniesieniem:

Jeżeli kiedy mój duch roił Psychę,
Duszę motylem złotym ponad włosy
Świecącą: to tej dziewki widmo ciche —
Białe — w powojach błyszczących od rosy —
Było piękniejsze...
(Kr. D., war. II do raps. IV, P. P. 1866, II, 386).

Nawet w przytoczonym powyżej liście do niej samej, przedewszystkiem wspomina jej piękność, tę „zasługę ducha," która ją

---

[1]) Musiał kiedyś Słowacki widzieć Węgierską w Pornic w jakiejś białej, luźnej, płóciennej, wycieczkowej szacie, z rozpuszczonemi warkoczami, powojami czy ziołami jakiemiś przystrojoną, bo motyw tego zjawiska, widocznie wzięty z natury, powraca uparcie, nietylko we wszystkich waryantach o „postrzyżyn kapłance" (Kr. D., P. P. 1866, II, 241/XXXIV i 242/XXXV, 386, 388), ale i w waryancie 1-ym do raps. II (strofa XLII— obraz jakiejś Sybilli), i w Zbor. 463 (gdzie jeszcze można podejrzewać zlanie się wspomnień o Węg. i o maleńkiej pastereczce na druidów kamieniach), i w Wykł. Nauki 189_3, i nawet poniekąd w wierszu *Córka Cerery:*

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów — między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, *białością* i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

w jego oczach „świętą“ czyni. Nawet prosząc, w tymże roku 1848, W. Stattlera, aby był „przychylny tej osobie, która wierzyć w ludzi i wiary od ludzi potrzebuje,“ kładzie nacisk szczególny, iż jest ona „piękną i zdolną zapału i uwielbienia.“

Rzecz charakterystyczna, iż — mimo tej fascynacyi piorunującej, mimo tego oczarowania bezwzględnego — poeta zachował od początku do końca zdumiewającą jasność wzroku i sądu, iż widział wszystkie błędy, upadki i słabe strony wielbionej istoty. Widział, jak ta, co wnet po poznaniu [1]) wydała mu się „królową z ducha podobnej sobie duchów gromady“ [2]) (Wykł. nauki, 192_{21-23}), tonęła „w morzu świata“ i jego błahych rozrywek [3]). Później nieco — gdy większe zbliżenie pozwoliło mu odczuć, iż ów zamęt światowy nie zadowala jej duszy, iż „ciało jej krępują jedwabie“ (Teog. 36, odnośnik 2),—widział znowu jej uleganie „ogniowi w duchu“ (Teog. 38), jej dalekość od „owych sfer transfigurujących postacie, w których trwająca piękność staje się elementem światła“ [4]). Rozstał się

---

[1]) Por. późniejszą niewątpliwą reminiscencyę jakiegoś spotkania w Pornic (Kr. D., IV, 2, XXIII):

A piękną była!.. Przez one grobowce
Stare wzniesiona nade mną wysoko,
Kamienie szare i czarne jałowce
U kolan miała — a błysnące oko...
Szczęściem, że jeden pasterz pasąc owce
Pieśnią spokojną — smutną a głęboką,
Gdy mnie już chwytał w szpony duch skrzydlaty,
Przypomniał mi...

[2]) Por. Kr. D. I, 1, XI i XVI:
Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza...
— — — — — — — — —
Pamiętam ten głos — i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch: „to królowa!“

[3]) Zdaje się nie ulegać kwestyi — zwłaszcza w zestawieniu z przytoczonemi powyżej wzmiankami z listu do p. Bobrowej i z Pamiętnika — że owem „morzem świata“ było hucznie zabawiające się w Pornic towarzystwo, którego opis znajdujemy w liście do matki z 12/VIII 1841. Tam to poeta po raz pierwszy spotkał Węgierską.

Jest wprawdzie w *Wykł. nauki* (196_{20-24}) pozornie przeczące temu wyrażenie „Tłómacza Słowa“: „Ciebie Helois nie pytam albowiem *patrzałem na ciebie od dzieciństwa*, i nieraz rozwijanie się w tobie uczuć dziecinnych odkrywało mi prawdy tajemnicze przeszłości...“ Przypisać je wszakże należy takiejż samej licencyi poetyckiej albo takiemuż zlaniu się tu wspomnień o kilku różnych osobach, jak nagłą—tuż obok— transformacyę Heliona w samego Słowackiego, który przed chwilą był jeszcze „Tłómaczem Słowa.“

[4]) „..... Jednak podziemna kraina
Jeszcze się tobie często we snach przypomina...
— — — — — — — — —

z nią, gdy jęła „próbować sił jego ziemskich" (List do Sof. I, 10—18). Później jeszcze, Heloizy imię jej nadał „przez pamięć na straszną oną słonecznicę piękności, która jednego z najpotężniejszych... mistrzów słowa „oczarowała — i od celów myśli odwróciwszy, sił rozjaśniających wiedzę ludzką pozbawiła" (List do Remb. 75_{17-27}). Groził jej — nieraz zapewne — „spiorunowaniem i spaleniem przez prawdę aż — aż do garsteczki prochu" (List do Sof. III, 12 — 15), i W. Stattlerowi, żądając dla niej przychylności, zalecał jednak: „czyń to, co ja, bądź z miłością, ale groźny."

Nie była to zatem miłość w zwykłem słowa tego znaczeniu, miłość ziemska, ludzka, zaślepiona, miłość z pragnieniem posiadania i wzajemności nierozerwalnie związana, w tych ostatnich cel swój i rozwiązanie widząca [1]). „Anioł ognisty," ów „anioł lewy" (Bieg. Pam. J. Sł., 19) poruszał wprawdzie niekiedy dawną ziemskich uczuć strunę [2]), ale poeta otrząsał się szybko z krótkich paroksyzmów „omamienia ciałem" (Kr. D. IV, 2, XLVI — XLVII), zapatrzony

---

...... jeszcze blisko pod kolany
Twemi — ten świat piekielny formy — rozwahany,
Nieustalony — w ciągłej rodzący się męce
Mgłami cię oblatuje — sny jakieś zwierzęce
Nastręcza...

(Niewyd. uryw. z Teog., — u Tretiaka, II, 305).

Odnosi się to pozornie do drugiego wcielenia Sofosa w „dziecku indyjskiem," właściwie wszakże wyraża aktualne spostrzeżenia poety.

[1]) Miłośnicy anegdot buduarowych, odnalazłszy ten właśnie zmysłowo-sentymentalny rodzaj uczucia w stosunku Słowackiego z p. Bobrową, jęli insynuować analogiczny odcień we wszystkich jego późniejszych znajomościach lub przyjaźniach kobiecych, czy to z Andaluską w Pornic (Hoesick), czy z panią Reitzenhaimową w Paryżu (tenże, oraz Tretiak, II, 155), czyniąc z poety niepoprawnego don Juana. I Węgierska nie uniknęła domyślnika (Hoesick, III, 389), a jeśli oszczędzono jej insynuacyi wyraźnej, to dla tego, że mało co o niej wiedziano.

[2]) Świadczą o tem, w utworach mniej lub więcej z postacią Węgierskiej związanych, zdarzające się, rzadko zresztą, zbyt widocznie subjektywne wybuchy. W *Teogonii*, przy opowieści, jak Szczęsny z Sofosem „wieczni—na rzece czasu błękitnej—łabędzie" płyną w parze (40_{6-7})—wyraźnie osobistym żalem i smętną zazdrością dźwięczy rzucony ubocznie okrzyk: „Boże, o jakże szczęśliwi!" — Bardziej jeszcze osobisty i bardziej namiętny ton żalu za jakiemś możebnem, a teraz już niepowrotnie straconem szczęściem ziemskiem wybrzmiewa, z poza ogólniejszej treści, w *Poecie i natchnieniu:*

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,

w „pierwiastki słoneczne" tej, która „swojem zrobiła zjawieniem," że dusza jego „na nowe się wzmogła loty i nowym buchnęła płomieniem" [1]) (Kr. D., I, 1, XIX). Danteskie to jakieś raczej, z *Vita*

Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał?...
— — — — — — — —
Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał...

Gdzieindziej, w *Królu Duchu* (I, 2, XXIV — XXVI), jakże ten nagły wichr żądzy. ogarniający nocą na wezgłowiu Popiela-Rytygiera na myśl o Wandzie (która jest jeszcze jedną poetycką transpozycyą Węgierskiej) nie wyobraźni już tworem trąci, lecz własną, z życia reminiscencyą:

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtem ona weszła w te straszne płomienie
Jak duch tęczami różnemi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty —
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne!
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

Słysząc te głosy, z któremi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina
Obracająca powietrznym chorałem
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc... przywiodła duch — że włosy rwałem,
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń — jak zwarjowany...

Jakiż wreszcie głos serca, głos ciała skarżącego się słychać — mimo skomplikowanych i pozornie innych znaczeń — w owych niejednokrotnych tęsknicy westchnieniach:

.... zawsze jedną tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema —
Tę jedną smętną ranę — że Jej niema!
(Kr. D., I, 1, XIII).

Albo później — po odsunięciu się już od Węgierskiej:

Jakaś mię smętność — dawną moją jędzą
Będąca, wzięta nad letejską rzeką —
Znów ogarnęła, i westchnęło łono
Za jakąś... dawno — w błękitach zjawioną...
(Kr. D., IV, 2, X).

[1]) Prof. Tretiak — acz bałamutnie zlewając w jedno, za przykładem prof. Małeckiego, dwie zupełnie różne i przeciwstawiące się sobie postacie: „umiłowaną odtąd i na wieki," oraz „wid... Piękność... córkę Słowa" — zauważa słusznie i dziwnie tym razem wrażliwie, iż dwa podsuwane im znaczenia (Ojczyzny i Bogarodzicy) nie wyczerpują bynajmniej ich zmiennej migotliwej treści i że oprócz tych znaczeń głównych można dojrzeć jeszcze wielu innych: *des ewig weiblichen*, „piękności tej, która napełnia zapałem

Nuova i *Raju*, było uczucie; poeta kochał nie kobietę, lecz to, czego mu ona była objawieniem, to, co w duchu dawno przeczuwał, a czego wspomnienie nagle, olśniewająco piękność jej w nim rozbudziła: kochał swe własne, stworzone za jej podnietą pragnienie, swój ideał marzony niepewnie i naraz w całej ujrzany świetności. Ale gdy Dant, sam już ze swojem marzeniem, bez sprawdzianu realnego, nie znał granic idealizacyi i na najwyższe szczeble niebiańskie swą Beatrycze prowadził, Słowacki narażony był na ciągłe konfrontacye ideału z rzeczywistością, na nieodzownie płynące ztąd rozdźwięki i zawody, na własne zachwiania się i „stchórzenia serdeczne" (Kr. D., IV, 2, XLVI), na apostolskie wreszcie wysiłki, aby postać żywą aż ku błękitnym dźwignąć marzenia swego sferom. Waryant jeden w *Zborowskim* (po w. 450; Bieg. str. 164) zwięźle oddaje tę uczuć komplikacyę:

Zaprawdę, jam ją widział gdzieś. Szedłem przez wały
Do niej, jak ogień się darłem,
A teraz jestem nieśmiały,
Tęcze ducha rozpostarłem,
Aby jej oczom stanąć w całym blasku,
Aby w całej piękności ducha zobaczyła
Postać moją... Gdzie się ruszy,
Staję przed nią słońcem duszy.
Piękności przydałem duchowi,
Aby się przed nią jak anioł postawił,
Zaraz porwał.
Wnętrze się moje ubrało
W piękność i w moc i odwagę...
I zatrwożyło się ciało
I cofa się jak wąż od niej...

Ścieranie się takie marzenia z życiem nie mogło trwać długo. Słowacki — wbrew lekkiemu traktowaniu przez historyków literatury jego „gmachu anielstwa" — nie był w epoce owej zdolny do żadnych kompromisów. Jedno więc musiało chwilowo przynajmniej zabić drugie. Zwyciężyła wizya duszna, wizya „prawd objawicielki," „uczuć kapłanki"; — kobieta, która „zwątpiła," i „niby obumarła" na apostolskie wezwania, i okazała się niezdolną do „wysokości w duchu trwającej," — musiała ustąpić. Chwila rozstania ciężka była niewątpliwie. O uczuciach Węgierskiej mniej wiemy. *List do So-*

---

i w struny wszystkie duchów naszych trąca." — To właśnie widział Słowacki w Węgierskiej, tego wydawała mu się uosobieniem czy możliwością — i dlatego, ilekroć tworzył jakie zjawisko kobiece, zawsze ona stawała mu przed oczyma i tą lub ową swą cechą znaczyła w nowym utworze obrazy z Apokalipsy czy zkądinąd czerpane. Tento czynnik indywidualny, te ślady żywej istoty nadawały widzeniom poety ową „zmienność dyamentowych blasków," i mąciły nieraz jedne z drugiemi.

fosa powiada nam tylko, że odeszła z dumą kobiecą i w „schmurzeniu ducha." Gorycz Słowackiego była powielokrotna. Oderwanie się łodygi życiowej od tylu kwiatów wyobraźni, które przebogato się z niej rozwinęły; bezowocność wysiłków apostolskich; zawiedzione marzenie o wspólności duchowej, „tej, która daje harmonię i ciszę" *(Zbor.* 477); przerwanie się bliskiego, poufnego powiernictwa duchowego; stracenie z oczu żywotwórczego jej piękności źródła; wreszcie, może i jakieś bardziej ziemskie, budzące się zwykle w rozstań godzinach, mimowolne „czar niedopitych" tęsknice;— wszystko to musiało wstrząsnąć nim aż do głębi. W liście do matki z d. 1 lutego 1846 r., pisanym albo w samej chwili zerwania, albo wkrótce przed niem, gdy niemożliwość dalszego stosunku osobistego jęła się oczywistnić w duchu poety, uderza kilka, nibyto do matki zwróconych, nibyto ogólnikowych, ale tem bardziej dla nas znaczących ustępów, że list cały tchnie znowu żałosnem uczuciem osamotnienia w nowych ducha dziedzinach. „O jakżeby to była rozkoszna droga" — czytamy w jednem miejscu — „dla dusz, którym się pan Bóg odkrył, gdyby na tej drodze, po której do celów Bożych idą, nie znajdowały wstecznych albo zatrzymanych Aniołów. Czasami najmilsze im dusze są takiemi zaprzeczycielami, pomyśl, jaka tortura... pomyśl, jaka boleść okrutna!.." Nie o matce tylko tu mowa, bo oto, o kilkanaście wierszy wyżej, jakiż wybuch arcyludzkiego i przeto niesprawiedliwego, przesadnego po świeżym zawodzie rozdrażnienia: „kogo się dotknę teraz, dotykam go całą piersią moją; jeżeli nie może znieść człowieka, a chce zamaskowanej figurki, podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór przepędzić miło, od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dlań obojętnością, bo silny dość nie jestem, abym jednem spojrzeniem duchy w anioły przemieniał, a nie mam też dosyć czasu, abym nad każdą taką istotą pracował jak dawni nawróciciele." Nieszczere mimowolnie były to słowa. Gniew — owszem — tryska z nich chwilowy; obojętności wszakże nie znać ani tu, ani później. I powstała w ostatecznej postaci już po zerwaniu część druga t. zw. *Wykładu nauki,* i cały *Król Duch,* od pierwszego rapsodu aż do ostatnich urywków i waryantów, pełne są wielbiących o tej „świętej pięknością" reminiscencyj. Nadawszy „nieznanej siostrze" — w *Liście do Rembowskiego* — imię Heloizy, odwraca zaraz poeta karcące tej denominacyi znaczenie: „Niech to imię dziś użyte stanie się dla tej wielkiej grzesznicy [umiłowanej Abelarda] rehabilitacyą... Niech jako szata piękności — już nie ognistą — ale przetrawioną cierpieniem świecącą duszę jednej z siostr

naszych okrywa..." (75_{23-27}). Gdy wreszcie Węgierska, „przełamawszy dumę kobiecą i rozjaśniwszy schmurzenie ducha," odzywa się — po spotkaniu we Wrocławiu [1]) — „wysokim i przyjaznym" listem, — jakąż podniosłą radością, jaką głęboką przyjaźnią, tą prawdziwą duchów miłością, jakiem niezmienionem dla „jasnego brata" uwielbieniem, jaką wiarą w możliwość najwyższych jego transfiguracyj, jakiem wreszcie rozmarzeniem „półsennem" tchnie odnaleziona przez nas odpowiedź Słowackiego!

Nie był to więc żaden „romans poety" z banalnem zakończeniem don-juanowskiego rozstania. Był to, przeciwnie, rzadki przykład cudnego związku duchów, gdzie właśnie przez oddalenie cielesne, zacierające granicę między rzeczywistością a widzeniem wnętrznem, rośnie moc najwyższych, żadnemi już instynktami nieobarczonych uczuć. I był to rzadszy jeszcze przykład tak potężnie zapładniającego, takiego cudotwórczego „przelania się" piękności kobiecej w duszę poety. Zaiste, nie ustępuje legendowej Portinarich córze ta, która tak opromieniła ostatnie lata Słowackiego, że „jako zwiędły kwiat" podniósł głowę,

Jako kwiat, gdy wstanie
I na błękity nieba lazurowe
Swoich anielskich piór umalowanie

---

[1]) Podczas pobytu w tem mieście w r. 1848, prosi Słowacki (w czerwcu) podwakroć, aby mu listy przysyłano pod adresem: Madame Sophie Mielęcka [nazwisko Węgierskiej z pierwszego męża], Tauenzienstrasse № 69 (Meyet, *Listy Słow.*, II, 303 i 306). Widywał się więc z nią tam niewątpliwie. Podejrzewamy, czy nie jej („brata Sofosa") albo też Węgierskiego dotyczy wzmianka we wcześniejszym liście do matki również z Wrocławia (14/V 1848): „Mam tu przy sobie jednego młodego człowieka, który mnie nie odstępuje. W tem i w wielu innych rzeczach Bóg mnie wynagradza stokrotnie za trudy i cierpienia moje duchowe." Meyet myli się, przypuszczając, że mowa tu o Felińskim. Ten we Wrocławiu wcale nie był, lecz wprost z Wielkopolski przez Berlin, Strasburg powrócił do Paryża (por. *Pamiętniki* jego, I, 388 i 420).

Odpowiedź „bratu Sofosowi," nosząca datę 8 września 1848 r., musiała być adresowana już do Krakowa, dokąd Węgierska przenosiła się właśnie i zkąd zapewne napisała ów list „wysoki i przyjazny." O tem to zapewne jej odezwaniu się wzmiankuje Słowacki podwakroć w listach do matki. „W tej chwili" — pisze 29 sierpnia — „odbieram list z Krakowa od jednego z młodych moich, w którym wyczytuję mnóstwo wieści o zaburzeniach w Cesarstwie Ros." — A 11 września, t. j., w trzy dni po napisaniu listu do Sofosa, obszerniej i bardziej dla nas znacząco do tej samej wiadomości powraca: „...z Krakowa miałem od jednego z młodych moich braci piękne przypomnienie się... listy od ludzi już podobnych sobie wnętrznościami ducha Bożego są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O, jak dobrze módz odetchnąć odetchnieniami ludzi porozrzucanych po ziemi, którzy w westchnieniu o jedno proszą: aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość... i miłość wzajemną rzeczą podobną a nawet konieczną uczynił."

Roztoczy w pierwszej poranku godzinie,
A potem znowu chyli się — i ginie;

która tyle „gwiazd nowych" mu zapaliła, tyle koncepcyj najwyższych zbudziła w duszy, tylu przedziwnych wizyj była źródłem i wzorem; której w znacznej mierze przypisać należy owo cudowne „w duchu olśnione wzroku odzyskanie;" która miała tę niewysłowną „wdzięczność," że mogła

— ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć!

Migotliwy rajski ptak, jakim poeta był w pierwszej życia połowie, przeobraził się w bajecznego paramahansę, ku najwyższym szybującego sferom. Z innemi myśleniami, innych mu też uczuć było trzeba. I oto — po ziemskich przemijających miłościach i miłostkach — przyszła ta „umiłowana odtąd i na wieki."

Za życia już się nie widzieli.

Słowacki jeszcze w przeddzień śmierci myślą ku niej się zwracał, bo rzeczą prawie jest pewną, że *Teogonii* to, owego poematu o „bracie Sofosie," dotyczy zwięzła opowieść w liście S. Felińskiego do wuja poety: „...mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany jeszcze poemacik, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Prosiłem, aby mi dyktował, co też uczynił; i tak jedną część napisaliśmy [1]), ale i to już go męczyło, więc resztę odłożyliśmy na później."

Węgierska była, zda się, jedną z „dwóch kobiet," idących za trumną Juliusza [2]). Opieramy to przypuszczenie na wiarogodnej opowieści naocznego świadka pogrzebu, jakim był C. Norwid. „Ja — opowiada tenże w *Czarnych kwiatach* — na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem *dwie* — jedna z tych rzewnemi łzami zalana była, *co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającem, na wiele dni potem kiedy liczne pod ów czas społeczeństwo polskie w Paryżu bawiące się odwiedzałem był* — bo wiele było (jak zawsze świetnych i niepospolitych) Polek pod ów czas w Paryżu... Mam rysunek Juliusza,

---

[1]) Poemat a raczej jego fragmenta — mówi o *Teogonii* prof. Tretiak — doszły w kopii, sporządzonej przez Felińskiego, ale opatrzonej własnoręcznemi wskazówkami poety.

[2]) F. Hoesick powiada wprawdzie, że były to żona i córka portyera „Miletusa." W innem miejscu wszakże stwierdza znowu obecność byłej „panny Kory," która byłaby zatem trzecią.

który on w Egipcie rysował z natury... ale przeciąłem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albomu *osoby z kraju przybyłej* ofiarowałem..."

Podkreśliliśmy ustępy znaczące.



Dowolnie pono—acz nie tak „niewłaściwie," jak się prof. Tretiakowi wydaje — nazwał p. J. H. Rychter wydobyty przez się z rękopiśmiennej puścizny utwór Słowackiego — *Teogonią.* Dowolniej daleko, bez najelementarniejszego poszanowania względem nibyto wielbionego i „bronionego" (!) przed napaściami Zoilów poety, z niesłychanem, wandalsko-bezmyślnem barbarzyństwem, rozporządził się tenże wydawca samym tekstem poematu, ćwiartując go, kawałkując, usuwając jedne ustępy, przerabiając inne na własną niedołężną prozę, łamiąc wiersze, druzgocąc rytmy, przepełniając całość niezliczonemi błędami i niezrozumiałościami, oraz opatrując ją — nie za obficie, na szczęście! — naiwnym częstokroć, nic nie wyjaśniającym komentarzem. Najdowolniej wszakże obeszli się z *Teogonią* krytycy i historycy literatury, czyniąc z niej „przeróbkę" historyozoficznego romansu Heliona i Heloizy „z prozy na wiersze" (Tretiak, II, 294 i 304), dopatrując się ze zbytnią łatwością w Helionie - Szczęsnym śladów postaci Szczęsnego Felińskiego (tenże, II, 303—304), i odnosząc, na zasadzie tych przesłanek, powstanie poematu do roku 1848. Owo „przerabianie prozy na wiersze" dziwnie trafiło do przekonania nowszym badaczom pośmiertnych pism Słowackiego. P. St. J. Witkowski, nie mogąc sobie wyobrazić poety „siedzącego nad rękopisem *Zborowskiego* i żmudnie przerabiającego na *Genezis z Ducha* myśli w dramacie już wyrażone," ale jak gdyby uznając możność „przeróbki" odwrotnej, przypomina, że Słowacki miał obyczaj „zapisywać prozą" *poszczególne* myśli, aby je następnie „w chwili sposobnej" wierszem wyrazić (Pam. Lit., III, 627). P. W. Hahn szerzej już wnioskuje, iż poeta „naprzód rozprowadzał swój system w utworach prozaicznych, a następnie przedstawił go w *Samuelu Zborowskim,* w końcu wreszcie w *Poecie i natchnieniu*" (Pam. Lit., III, 647). Prof. Tretiak, posuwając się jeszcze dalej, mówi wprost o „obleczeniu" danego, zupełnie

już w prozie gotowego utworu „w szatę poetycką“ (II, 303). W każdym, kto sam wiersze pisał (a był nie rzemieślniczym rymospójką, lecz poetą), wyobrażenia takie uśmiech jedynie zbudzić mogą. W zastosowaniu do poety wyobraźni *par excellence,* jakim był Słowacki, robią one wrażenie karykaturalnego wprost komizmu. Jeśli zaś chodzi specyalnie o *Teogonię,* świadczą o niedbałem w najwyższym stopniu czytaniu omawianych z katedry rzeczy, albo też o zupełnym braku jakiejkolwiek wrażliwości estetycznej, o nieodczuwaniu żadnych odcieni poetyckich, o nieodróżnianiu obrazów czysto impresyjnych, wprost z natury malowanych, od wyobraźniowych konstrukcyj i transpozycyj, — co wszystko krytykowi za grzech śmiertelny policzonem być musi.

Nie udało nam się, mimo starań, dostać autentycznego i zupełnego odpisu Teogonii. Zda się, że dostęp do złożonych w Ossolineum manuskryptów Słowackiego stał się obecnie wyłącznym przywilejem osób gotujących ową tak dawno zapowiadaną kompletną i krytyczną dzieł jego edycyę. Ale nawet te potargane strzępy poematu, które p. Rychter umieścił w swojej smutnej książeczce z roku 1889, pozwalają wysnuć stanowcze i zasadniczo dotychczasowym charakterystykom oraz chronologiom przeczące wnioski.

Każdego wrażliwego i uważnego czytelnika uderzyć musi w Teogonii jakaś przypadkowość, jakaś bezładność, jakiś brak planu oraz wyraźnej konstrukcyi. Poeta sam stwierdza zresztą pod koniec poematu, że wcale nie zamierzał tego, w co mu się rzecz w trakcie pisania obróciła:

Zacząłem tę pieśń cicho... potem zawierucha,
Grzmot, i anioł logiki porwał mego ducha
I unosił nad globu przechodniemi wały.
— — — — — — — —
Znowu w pieśni tej duch jestem cały.

Zaczął, istotnie, cicho — jak zaczynamy często listy od przypomnień ostatniego widzenia się—pogodnym, czysto impresyonistycznym obrazem niedawnego snadź, przed chwilą, czy przed kilku dniami, spotkania:

Gdyście mi zastąpili słońce pośród drogi,
Myślałem, że jesteście jakie greckie bogi,
Tak wam dobrze obojgu wyjść z tęczowej bramy
Na ćmione oczy wieszcza...

Ale widok tych dwojga, „takich dorodnych,“ z taką widoczną w tej piękności „ducha zasługą,“ i przeto takich godnych powołania na „objawicieli,“ na „słonecznych“ rewelatorów prawdy, na „lecą-

cych między słońca — wyżej błyskawicy świętojańskiej — ogromnych tej ziemi sterników,"—przypomina poecie niedostateczną owocność dotychczasowych z nimi rozmów i „namów" (37—38) i budzi w nim pragnienie nowego, potężniejszego, decydującego apostolskiego wysiłku. Pragnienie to jest tak gwałtowne, że co chwila mąci mu potrzebny spokój i rozrywa zamierzony tok mających przeświadczać obrazów i myśli. Pierwotnie widzimy chęć oddziałania tylko przez wyrozumienie prawdy z przeszłości, tylko przez odmalowanie minionych ducha dziejów, z których wybłysną same przez się jego cele „prześwięte, słoneczne":

Pozwólcie mi, że niby wielki budowniczy
Wezwę tę trójcę ducha, co w nas teraz krzyczy
O sprawiedliwość Bożą... i każę, by święta
Rzuciła się aż w straszne globu fundamenta...
I tam wprzód nim dosięgnie formy ludzkiej szczytów,
Leżała na łożysku stopionych pirytów,
Gdzie płomień, grzmot, lawina leje się i smoła,
Aż ją tam który anioł do formy zawoła.

Lecz nie! Na to by trzeba niewymowne męki
Opowiadać, więc z rajskiej wywiodę jutrzenki
Trzy święte duchy nasze, formą je odzieję,
I spróbuję, ażali całe świata dzieje
Tej prawdy z rozkręconych nie dadzą łańcuchów,
Że są przez duchy nasze i dla naszych duchów...

Ledwie wszakże poeta rozpoczął tę „przez wieki idącą" powieść, ledwie zdołał opowiedzieć upadek pierwszej pary w raju, już oto porzuca wątek historyi, by wybuchnąć osobistem, aktualnem i wpółbłagalnem prawie wezwaniem apostolskiem:

Bądźcież mi ku pomocy, stańcie się świadomi
Tej wiedzy, co szatana ognistego zgromi,
Świat mu wydrze, a ogniem czynić nie pozwoli
Rzeczy krótkich, na chwilę z cielesnej niewoli
Wyzwalających... Pomóż — ty mąż i kobieta!
Światło niechaj nam zcicha tworzące zawita —
Światło, które ziarenko pod ziemią poruszy,
A wnet w onej trumience śpiący anioł duszy
Budzi się i wyciąga ręce do żywota...
Pomóż, w tobie pochodnia świeci — twórcza, złota...
Wszystko zgaś!
I marzone półświatła — wszystko to, co dzieci
Globowe bawi, porzuć, a niechaj zaświeci
Świętość twórcza — i nam niech ku pomocy stanie!

Po wybuchu — refleksya. Czy mu uwierzą? Trzeba przekonać, konieczny jest dalszy ciąg powieści „jednością oświeconej wy-

wodną jak słońcem.“ Bierze ich tedy znowu, „po upadku,“ wygnanych, opowiada Kaina i Abla — i znowu po chwili już im oto w osobistym zwrocie wskazuje ich zadania:

— — — — — Niech Sofos w mgłę ubrana wielką
Jak duch jakiej kaskady — prawd objawicielką
Zgodzi się być — tęczami przerznięta jak pasem
Niech taka leci, dumna, nad globowym czasem
Ku potrzebie i niby duchowej ochłodzie
Ludów, zjawiona tylko raz w każdym narodzie
Uczuć kapłanka, a ty — idź i w innej stronie,
Rozumem, mój słoneczny (jak cię zwę) Helionie,
Pracuj — aż się wydostaniesz prawdą z łona ziemi...

I tak dalej. Po opowieści o świecie indyjskim, po natrąceniu o Mojżeszu i faraonach, znów oto wyraźnie *ad personam* zwrócona do współdziałania w pracy apostolskiej zachęta:

Gdyby się duchom globu zarazem nie śniło
O każdem wypełnieniu i globowym ruchu...
Dzisiajby przechodziły duchy nowe — w duchu...
Jakieś rewelatory nikomu niezdatne,
A myśliby ich były, jak myśli zaświatne,
Podobne do śmiechu, albo też do jęku —
Lecz w nas nie znajdujące żadnego oddźwięku,
Niezrozumiałe. Dzisiaj duch nie napotyka
Jeno braci. Jest widać jakaś republika
Ducha!..

Wreszcie, pod sam koniec, po refleksyach o społeczno-państwowem kształtowaniu się ludzkości, wyraźne apostolskie ostrzeżenie przed błędami „sektarzy, których... ideą mamy złączonych, a daleko wszakże od prawdy czystej wolą i rozumem odstępujących“ (Bieg. Pam. Sł. 36), wyraźna aluzya — może i do owej „mszy publicznej za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei,“ która była jedną z przyczyn wystąpienia poety z Koła w listopadzie r. 1843 — a napewno do świeższych datą: pisma Chodźki oraz poselstwa Pilchowskiego, które objawiono w Kole 29 listopada 1844 i które tyle namiętnych protestów ze strony Słowackiego wywołały:

Są nawet tacy, co porwani szałem,
Niby z jakiejś poważnej opieki nad ciałem,
Świętymi chcą mieć króli, sądząc, że naszemu
Pasieniu się na łąkach żywota trzodnemu
Pomogą, gdy duchów moc wtrąciwszy w senną
Śmierć, formom jakąś stałość nadadzą kamienną...
Ślepi! Sądząc, że boscy, mądrzy stoją (?) stróże,
Dobrze czynią, pasącej się ducha naturze
Dopomagając! — Grzechu podobni obrońcom!
Ci czynią sprawę przeciw księżycom i słońcom!!

Rzecz pisana tak gorączkowo, tak wyraźnie pod bezpośrednim wpływem wrażeń i wydarzeń, z takiemi uniesieniami i wybuchami, z takiem rwaniem się toku myśli, nie mogła być nietylko ową spokojną czy zmudną przeróbką z prozy na wiersze, ale nawet bezwiednem jakiejś gotowej już całości powtórzeniem. Gdyby oba utwory, istotnie, formą tylko wiersza i prozy się różniły, co do treści wierne stanowiąc repliki, — jeszcze *Teogonia*, choćby bez żadnych innych dowodów, jedynie na podstawie tego uderzającego charakteru swego, powinna była wydać się rzeczą wcześniejszą, pierwotworem, — powtórzeniem zaś — spokojniejsza, systematyczniejsza, bardziej rzeczy uogólniająca i nie tak wyraźnie na wrażeniowych pierwiastkach oparta [1]) — druga część *Wykładu nauki*. Ale — nadto — nietylko forma zewnętrzna różni poemat o Sofosie od romansu Heliona i Helois. Na uważnym czytelniku — pewne zbieżności obu pism (i nawet trzeciego i czwartego, t. j., pierwszej części *Wykładu nauki* oraz *Listu do Rembowskiego)* muszą zrobić wrażenie nie wzajemnego oddziaływania tego na tamto, nie przetapiania się jednego w drugie, lecz jakiegoś jednakiego związku wszystkich z innem jeszcze, poza niemi ukrytem źródłem. Źródłem takiem były niewątpliwie owe nieprzeznaczone do druku, fragmentaryczne, dorywcze notaty i „rozmowy", w których poeta — po spisaniu przedczłowieczej ducha apokalipsy — streszczał gorączkowo dalsze swej nauki kanony, apologie i udowodnienia, gotując jakby materyały do zapowiedzianych w *Genezis* ksiąg o „dalszej pracy globowej" (Wykł. nauki 115_{3-4}). Pism tych — w pierwokształcie — drobniuchna zaledwie doszła do nas cząstka — i prof. Tretiak, mając rękopisy pod ręką, stwierdził ich „przelewanie się" potem w formę nową i w większe całości (II, 294). Ale wiedząc o tem, zarzucił jednak Słowackiemu, bez powodu i dowodu, brak pośpiechu z dalszemi po *Genezis* księgami (II, 93) — a oparłszy się na napomknieniu w liście do Krasińskiego (z 17/II 1846) o „sanktuaryuszach" i „Sokratesowym sposobie", zapomniawszy zaś o innej wzmiance tamże, iż „gotowe i napisane są rzeczy," do których napisania sumienie poetę wiodło, — odniósł nie już napisanie, lecz „zamyślanie" tych dyalogów do roku 1846. Jak bezzasadnemi były i zarzut i ostatnie twierdzenie, przekonamy się zaraz, ustaliwszy datę powstania *Teogonii*.

---

[1]) Owej aluzyi, która w *Teogonii* pod świeżem znalazła się wrażeniem, niemasz w równie wyraźnej i specyficznej postaci w odpowiadającem miejscu Wykładu nauki (183 — 184).

Podruzgotane niemiłosiernie przez p. Rychtera miejsce na samym wstępie poematu stwierdza jednak wyraźnie, że spotkanie, które przypomina poeta, nastąpiło w zimie:

......Ani mnie te plamy
Zastanowiły, które ty biedna dziewczyna,
Jakby jaka brzoskwini albo żurachwina,
Masz od mrozu... [1].

„W aniołach nie trza budzić sromu" — ciągnie dalej, w odnośniku, swoje streszczenie (?!) wydawca. — „Dla tego nie pytam, mówi poeta, a na coś na mróz wyszła z domu?"

Godzi się to z aluzyą końcową do faktów objawionych w Kole d. 29 listop. 1844 r. Poeta wprędce musiał dowiedzieć się o tem, co nazwał „rozkoronowaniem Polski w ciemności," z pogłosek biegających po emigracyi — i z pośpiechem zapewne jął gromadzić stronników do projektowanego przez się protestu. Toby objaśniało i owe gorączkowe nawoływania: „Bądźcież mi ku pomocy!" i końcowe ostrzeżenia przed „ślepymi," na fałszywe drogi prowadzącymi „sektarzami" — a zarazem wskazywałoby, że *Teogonia* musiała powstać w grudniu r. 1844 lub w styczniu 1845. Że powstała przed pismem M. Kamieńskiego do Urzędu Koła (z 16/II 1845), świadczy względnie łagodny ton kończącego ją ostrzeżenia w stosunku do namiętnych oskarżeń projektowanej po owem pismie drugiej protestacyi i do bezlitosnych inwektyw *Matecznika*.

W przybliżeniu oznaczoną w ten sposób datę jeden jeszcze potwierdza szczegół. Pełen „spokojności anielskiej ducha," pełen

---

[1]) I znowu — jak przy owej wizyi „postrzyżyn ksieni" — obraz rzeczywisty tak uderzył poetę, że, po tej notacyi bezpośredniej, parokrotnie jeszcze gdzieindziej wraca mu pod pióro. Oto — wzorowana już na Węgierskiej — „bieży panna Aniela ogrodem" (Ben. XII, P. P. 1869, II, 142):

— — — — — rannym chłodem
Mrozi ją nieco wiatr, ale jej nie czuć
Zimna, bo pełna pamiątek i przeczuć...

A w *Zborowskim* (466—471) — wyraźniejsze jeszcze pokrewieństwo:

Helion. ...Lekkie twoje rumieńcowe róże,
Jakoby wstydem nawpół pochowane
W białości lica, tajemnemi wschody
Dziwią....
Dziewica. — — — — — Ja niezawstydzona,
Alem od wiatru górnego czerwona...

Notacya z natury, będąca wyrazem wizyi niedość owładniętej, niedość subjektywnej, wyprzedzać musi transpozycyę twórczą, nigdy zaś nie może po niej następować. Ztąd wniosek o późniejszem od *Teogonii* powstaniu miejsc przytoczonych.

rozweselenia wnętrznego, pełen wiary, która mu „odkryła tajemnice wszystkie“ (do matki 16/IV 1844), poeta pragnie tak gorąco, aby i inni pod tym względem „do harmonii się z nim układali,“ że przychodzi czas, gdy każdy smutek, każde zwątpienie zaczynają mu się wydawać grzesznemi i zwalczania potrzebującemi. Czas ów — to właśnie koniec roku 1844 i początek 1845. „Oto nawet — czytamy w liście do matki z 8/X 1844 — niezdolni jesteśmy ciągle czuć w sobie tej młodości silnej ducha naszego, która czuje się zawsze i wszędzie taką zdrową, że światy przeżyje. A wiesz ty, dla czego tacy jesteśmy? Oto dla tego, że często pozwalaliśmy, że nas fala smutku gięła i kładła na ziemi...... — — dusza... często prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwiał, dla czego z taką ją na świat przysłał naturą.“ A w lutym r. 1845 jeszcze gwałtowniej do niej pisze o „nieszczęsnej atmosferze, smętnej, błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali.“ Pomiędzy temi dwoma listami, w posłaniu poety do maleńkiego Julka Stattlera, z datą nowego roku 1845, niemniej energiczną z tegoż powodu pod adresem ojca jego Wojciecha znajdujemy exhortacyę: „... niech mu żadna godzina w ciemności duchowej nie mija... Kwiatków ma pełno w domu, i dzieciątek mu Bóg nasyła — czegóż on się smuci? dla czego wątpi? O tym smutku i zwątpieniu będę długo kiedyś pisał srogo i groźnie.“ — Nie jestże jakby powtórzeniem wierszowanem tego wszystkiego i nie świadczy-ż o pochodzeniu *Teogonii* z tego samego czasu ustęp następujący:

> Dla was ten mądry — na świat kto patrzy z utyskiem.
> Więc i moje wesele, spokój przeszły mimo,
> Jako około kwiatów powalonych zimą
> Anioł wiosny przechodzi — a wyście zostali,
> Pytając: zkąd my przyszli? czemuśmy płakali?
> Dla czego bez ojczyzny żywot nasz przeminął,
> Dla czego ten nam żyje zły — a tamten zginął .
> — — — — — — — — —
> Sami nareszcie wiedzą bogaci, bez pracy
> Piękni — pytaliście się — dla czego my tacy?...

Owóż, w tym zrodzonym na rozgraniczu między latami 1844 i 1845 (czyli napisanym w pół roku mniej więcej po powstaniu *Genezis)* poemacie znajdujemy ślady wyraźne *wyprzedzających go*, gorączkowych prac apostolskich i apologetycznych; ślady rozmów i wykładów nietylko o tem, co już *Genezis* w sobie zawarła, lecz i o „rajskim dniu,“ o „wiecznym celu świata,“ o „drogach do niego wiodących“ i t. p.; ślady wreszcie stosowanych w tych pracach

i „namowach" „sposobów Sokratesowych" (Teog. 37_{12} — 38_5). Nie były to bynajmniej rzeczy „mniej ważne" dla poety, jak twierdzi prof. Tretiak. Żartobliwie chyba na wszystko się zapatrując, przypuścić można, że tak gwałtowne mistyczne ducha sprężenie, jakie w każdem wierszu *Genezis* odczuwać się daje, opadło, ścichło, przygasło zaraz po jej napisaniu — i ustąpiło miejsca obojętnie artystycznym „nałogom dramatyzowania" czy nawyknieniom do rytmów i rymów. Owszem, po owem objawieniu nad morzem, które „podyktowało" *Genezis* „bez przyzwolenia na to myśli, przy uśpionych władzach rozumu" (List do Remb. 43_{1-5}), poeta przez cały szereg miesięcy głębiej niż kiedykolwiek tkwił w swojej „egzaltacyi." Prawda, wiara widząca, „idea jedności duchowej" — oto co go fascynowało teraz wyłącznie i jedynie. O swojej „pełnej wymyśleń kalecie" (Ben. XII, P. P. 1866, II, 152) zapomniał, zda się, doszczętnie. Jeszcze w lutym r. 1845 wołał do matki, w odpowiedzi na jej zarzuty, iż nie pisze, jak dawniej pisał: „Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o *poezyę dla żywych* ludzi... Kto pierwszy z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię, i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i *prawdę* zawsze oglądał z wysoka." Że zaś sam taką poezyę dla żywych ludzi widział w *Śnie srebrnym Salomei,* w *X. Marku,* i zwłaszcza w tym *Xięciu niezłomnym,* który mu „kości wewnętrzne połamał," więc jeśli — poza *Teogonią* i może próbami dokończenia, *pozbycia się* Beniowskiego — pisał w tym czasie coś poetyckiego, to jedynie dorzucał snadź to i owo do własnych dwóch „książąt niezłomnych," którzy mu się z tamtego Kalderońskiego urodzili, retuszował może jakieś szczegóły w gotowym już prawie *Agezylauszu,* lub przerabiał, zmieniał, w nową próbował ująć redakcyę powstałego również przed drugim wyjazdem do Pornic *Zawiszę.* I nad tem wszakże niewiele zapewne pracował. Co innego zabierało mu teraz czas wszystek. Naprzód — opracowywanie *Genezis,* szukanie dla niej coraz doskonalszych, coraz bliższych treści wyrazów. Ze świeżą jeszcze w duszy pamięcią olśnienia rewelacyjnego, w którem pismo to powstało jakby „jednym ciągiem pióra, jednem tchnieniem modlącego się ducha," — czuł poeta tem żywiej, że słowa, jak zawsze, myślom kłamały, że to, co napisał, nie wyraża jednak dostatecznie tego, co w sobie widział, że forma „chybia," że wykład tej filozofii ducha jest „słaby i niedostateczny" (Bieg. Pam. 35). Powracał tedy do swej „modlitwy" nieustannie, przerabiał, kreślił, poprawiał, szukał wyrazistszych dla myśli równoważników słownych — i jeszcze w nocy z 20 na 21 kwietnia r. 1845,

w chwili owego przełomowego „oświecenia ogniami niebieskiemi,“ widzimy go „wahającego się z wydaniem tej księgi,“ pogrążonego w pracy nad nią i „będącego właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka“ (Bieg. Wykł. nauki, 116_{8-10}). Jednocześnie czuł potrzebę rozwinięcia swej filozofii ducha aż do ostatnich konsekwencyj, przeprowadzenia jej przez przeszłość ludzką i teraźniejszość aż do finalnych ducha celów, rozwiązania różnych jej wyników i zastosowań, religijnych, naukowych, etycznych, społecznych, politycznych, ustalenia jednem słowem całej nauki, aby odtąd „przeciwnicy prawdy i wrogi wszelkiego duchowego ruchu w narodzie“ nie mogli już „szkodzić idei, kładąc na karb jej to, co było fałszem, pomyłką albo oszukaństwem sektarzy“ (Bieg. Pam. 36). Wreszcie, widział konieczność zwalczania zarzutów, odtrącania napaści, wykazywania błędów w poglądach przeciwników, aby nawet z tej negatywnej strony dopomódz swemu apostolatowi. Wszystko to wydawało mu się jednako pilnem, jednako nieodkładalnem, wszystko naraz tłoczyło się do głowy, zajmowało myśli, domagało się sformułowania — i wywoływało owe urywane, niekończone często, niesystematyczne, odręczne notaty, dyalogi, wykłady, parabole, kazania, polemiki, rozproszone po notatnikach oraz oddzielnych ćwiartkach i arkuszach.

Taka była atmosfera duszna poety od powrotu z Pornic w roku 1844 aż do owego widzenia ogni niebieskich w kwietniu 1845 r., atmosfera wyłącznie pragnieniem „prawdy“ wypełniona, żadnym „wymyśleniom“ poetyckim niesprzyjająca, żadnych nieznosząca zboczeń, wszystkie myśli, chcenia, marzenia ku jednemu świetlnemu kierująca punktowi. To też jedyny w tym okresie czasu zrodzony utwór poetycki, którybyśmy raczej *Listem apostolskim do Sofosa* niż *Teogonią* nazwali, nie potrzebował być nawet żadną „przeróbką“ z owych powstających jednocześnie zapisek prozaicznych. Co urywki prozy streszczały tylko, to szerzej, pełniej żyło w duchu poety, to tak despotycznie nim rządziło, że zbyteczne było jakiekolwiek notat pośrednictwo. Poeta zaczął pieśń swą „cicho“ — i wnet „anioł“ jedynie wiodącej go wtedy „logiki“ skierował tok wierszy w swoje łożysko i uczynił z poematu wierne odbicie wyłącznych w owym czasie preokupacyj dusznych twórcy, wierne — w odpowiednich ustępach — powtórzenie owych różnych notat i „rozmów.“ Podobnież jałowem i bezcelowem jest doszukiwanie się w t. zw. III akcie *Zborowskiego* przeróbek z *Genezis*. Zbieżności i analogie tłomaczy dostatecznie potęga fascynacyi, z jaką niektóre wizye i obrazy, acz raz

już wcielone w słowie, nie opuszczały jednak wyobraźni poety, póki znowu innego ujścia sobie nie znalazły.

Przyjrzyjmy się jeszcze—gwoli ostatecznemu zamknięciu sprawy — t. zw. II części *Wykładu nauki*.

Prof. Tretiak, porównywając ją z *Teogonią* (II, 303—305), dwie tylko wewnętrzne znajduje różnice: w imionach bohaterów obu utworów, oraz w poglądach Słowackiego na metampsychozę. Co do zmiany imion, wiemy już teraz, iż nastąpiła ona w sposób odwrotny, i znamy jej powód. Co do poglądów zaś na metampsychozę, były one „łagodniejsze“ w *Teogonii,* bo poeta uważał wówczas Węgierską za „czystego ducha prawdy i piękności,“ gdy zaś zaczął o tem powątpiewać i Heloizą ją nazwał, wydało mu się możebnem nadejście chwili, że ją „pan Bóg za niegodną ludzkiej formy osądzi.“ Że, według Słowackiego, rogatka dzieląca świat ludzki od zwierzęcego, nie dla wszystkich duchów w kierunku wstecznym zamkniętą była, świadczy *List do Rembowskiego:* „...czysty jedynie duch prawdy i piękności [wyzwolony ze „smętnego ciału własnemu poddaństwa“] w wyższe sfery wstępować może... inne zaś duchy, męty niby świata... w roztopionym bronzie form genezyjskich i w ogniu bolesnych udręczeń wyrabiać muszą swoją naturę... niby kruszce w płomieniskach wewnętrznych ziemi przetapiane, aż pokąd czystej i Bosko-ludzkiej formy informować nie będą zdolne...“ A gdzieindziej: „Podług przeczuć naszych są nasze pośmiertne niebiosa.“ (Bieg. 59 i 65).

Uważnego atoli badacza więcej daleko różnic uderzyć było winno, różnic wagi pierwszorzędnej dla oznaczenia chronologii utworów. Przedewszystkiem, w *Rozmowie z Helionem i Heloisą* mamy po raz pierwszy przeprowadzoną prawie aż do czasów dzisiejszych — od koniczyny aż do wynalazców druku i pary — ową snującą się przez wieki powieść reinkarnacyj ducha. Nietylko w *Teogonii,* lecz i w rozdziale *Listu do Rembowskiego,* zatytułowanym *Historya aż do nas,* poeta urywa tę powieść na wygnaniu z raju, przechodząc potem odrazu do celów ostatecznych. A jednak taki konsekwentnie przeprowadzony dowód historyczny wydawał mu się koniecznym. „Że ta sprawa [Boża]“ — czytamy pod koniec Listu do Rembowskiego (Bieg. 92) — „szła ciągle — logicznie — w tworzeniu się wiar i narodowości — sądzę iż ci tego dowiodę w następującym ułamku — który niegdyś tłómaczył przeszłość historyczną ducha wszelkiego przed młodością nic niewiedzącą, a różnemi marzeniami rozegzaltowaną.“ „Ułamkiem“ tym nie mogła być gotowa, całkowita *Rozmo-*

wa z Helionem i Heloisą, lecz jakieś wcześniejsze notatki, z których dopiero całość trzeba było ulać. Świadczą o tem choćby tylko dołączone przez Biegeleisena zaraz po powyższym ustępie *Listu do Rembowskiego* (str. 92), zapisane na osobnej kartce, następujące, zakłopotane poniekąd wyrazy: „Teraz mógłbym już o! najmilejszy zapalić nad tą nauką lampę celów ostatecznych — i podług świętego Jana rozwiązać przeznaczenie prac duchowych na globie... potrzeba mi jednak wprzódy historycznym dowodem podeprzeć naszą wiarę widzącą... Jakże to uczynię?"

Mamy atoli inne jeszcze dowody, że II część *Wykładu nauki,* taka, jak ją dziś posiadamy, pisana była stopniowo, częściami, kończona wszakże dopiero jednocześnie z *Listem do Rembowskiego*, lub raczej po nim nawet. Fascynacya jednakich obrazów i myśli wskazuje przedewszystkiem, że *początek* pisma tego powstawał w tej samej epoce, co druga część *Zborowskiego.* „...Gdy duch w podniesieniu" — czytamy w II części *Wykładu nauki* (Bieg. 174) — „rzekł głowa kolumny... toś uczuł wstrząśnienie wnętrzne albowiem w duchu twoim widziałeś jej usta i oczy... i jakoby w błyskawicy jednej słyszałeś ją mówiącą ustami... oczyma patrzącą na pole maratońskie — sercem czującą zgon rycerzy... czułeś więc, że wieszcz mówiąc o duchu kolumny prawdę powiedział" [1]). Porównajmy z tem wiersze 2492—2498 w *Zborowskim:*

U nas, gdy powie wieszcz, kolumny głowa,
To się kolumna ta duchowi kreśli
Z ustami, z których lecą wielkie słowa,
Z głową, gdzie wielkie, kolumnowe myśli,
Z oczyma. I wret spytaj się gawiedzi,
Powie, że serce w tej kolumnie siedzi,
Serce, co wiecznie się pęka i broczy.

Widoczna w *Zborowskim* transpozycya poetycka (przyswojenie sobie i zastosowanie do innych celów — tego, co w *Wykładzie nauki* było prostą cytaty analizą) — świadczyłaby o następczem powstaniu tej części dramatu. Natomiast część jego pierwsza (akty I — III), którą zwaćby należało *Eolionem,* wyprzedza niewątpliwie opowieść prozaiczną. Dowodzi tego cały epizod egipski,—będący w dramacie krótkim jeno, nawskroś jeszcze romantycznym ekscerptem z przechowanego w *Dzienniku podróży na Wschód* (1836) planu *Rhamezesa,* — rozwinięty zaś, zasadniczo zmodyfikowany, ślady wtórnych, acz nieco mętnych studyów oraz przemyślań noszący, daleko szerzej epicki i filozoficzny — w *Wykł. nauki.* P. W. Hahn

[1]) Tenże obraz spotykamy *pod koniec* I części *Wykładu nauki* (Bieg. 147).

(Samuel Zborowski, 1905, *passim)*, uplanowawszy sobie z góry, że „poeta naprzód rozprowadzał swój system w utworach prozaicznych,“ nie daje się przekonać nawet tym różnicom, które sam zauważył (np. co do postaci Homera), z uporem twierdzi, iż „z łatwością znajduje“ w owym planie *Rhamezesa* „zarodek głównych pomysłów (?!) rozprowadzonych w *Wykładzie nauki*,“ jako to „sceneryę poematu, aleję sfinksów, alabastrowy sarkofag, obelisk, motyw, że siostra wychodzi za mąż za brata, motyw wyrycia historyi miłości na obelisku, szczegół wreszcie o lat trzech tysiącach“ — i koniecznie czyni dzieci króla Rhamezesa późniejszą przemianą Heliona i Heloisy. Niestety, wszystkie prawie owe „główne pomysły“ są to zaledwie *teatralia*, mające robić „kolor lokalny.“ Toć nawet motyw wyjścia siostry za mąż za brata nie jest wcale pomysłem Słowackiego, lecz charakterystycznym zwyczajem faraonów. To też takich „pomysłów“ nie potrzebował wcale poeta czerpać ze swego planu *Rhamezesa*, bo mógł je wziąć z pierwszej lepszej historyi cywilizacyi egipskiej. Natomiast pewna, że niektórych pomysłów rzeczywistych nie byłby Słowacki pominął w *Eolionie*, gdyby dramat był powstał po II części *Wykładu nauki*. Tak np. zastanawia się p. Hahn nad słowami w *Wykładzie nauki* (Bieg. 192): „Gotów już, Helois, wiarę twoją oskarżać o oszukaństwo, a ciebie martwej żałować, żeś oszukana,“— i dochodzi do wniosku, że „nie wiedzieć napewno, w czem (sic) ma polegać owo oszukaństwo“ (str. 13). „Nie o wiele lepiej“ — dodaje potem — „przedstawia się rzecz w Samuelu Zborowskim.“ Owszem, odpowiemy, uważniejsze czytanie obu utworów pozwala wywnioskować w tej kwestyi coś *zupełnie* pewnego. Syn Rhamezesa żąda od Maga tyfońskiego przysięgi, że wszystko „w tym samym kształcie znowu się postawi,“ gdy po trzech tysiącach lat, z tegoż alabastrowego sarkofagu, *w tych samych ciałach*, on, król, będzie się budził z siostrą i żoną Atessą. Ta wiara „w zmartwychwstanie ciała“ — jakże zawodną, jakże oszukańczą wydała się poecie, gdy „przy pochodni błysku... do grobu zawitał, i stanął, i coś czytał na smętnym obelisku,“ i ujrzał, że „dawne groby próżne,“ że „sarkofagi straciły... proch — ciało,“ że „nic z nich nie zmartwychwstało... choćby też muszki ciało!“ Wtedy to, podczas owych odwiedzin w Egipcie, musiał powstać ów zawrotnie melancholijny *Chór duchów:*

O smętny! o kochany!
Srodze ty oszukany!...

Później, pisząc *Eoliona*, poeta, ujęty niewysłownym łkających tych strof liryzmem, włączył je do dramatu, ale nie dość wyraziście uwydatnił, w dodanej wtedy zapewne strofie 6-ej, nową wiarę w du-

cha kolejne przerodziny i wcielenia. Ztąd pozorny rozdźwięk tego chóru z całością dramatu, ztąd niejasność, na czem polega owo „oszukanie.“ Gdyby II część *Wykładu nauki* była napisana przed *Eolionem,* poeta nie pozostawiłby napewno i w dramacie tej niejasności, którą w prozie najdokładniej omówił i rozwiązał. Bo jakże to p. Hahn czytał *Wykład nauki?* Na tej samej 192 stronicy Biegeleisenowskiej edycyi, zkąd cytował „dziwiące“ go słowa o „oszukaństwie,“ czytamy o kilkanaście wierszy dalej: „...duch twój zażądał i zażądawszy uwierzył, że *w tej samej formie* na świat powróci.“ Oszukaństwem wiary było właśnie obiecywanie tej samej formy, bo ciało zniszczało w grobowcu. Ale duch — acz w innej postaci — powrócił. „Co do ducha więc“—ciągnie dalej poeta—„Bóg ciebie nie oszukał: co do ciała dał więcej niż żądałaś... albowiem dał formę wyrobioną przez mękę Chrystusową i dziś jesteś tem, co się nazywa typem... to jest królową z ducha podobnej tobie duchów gromady...“

Samo to dowodziłoby już dostatecznie, że epizod egipski w *Wykładzie nauki* później od Eoliona powstać musiał. Ale oto — tak częsta u poety fascynacya przeciągła tych samych obrazów na bliższe pozwala daty oznaczenie. Atessa w *Eolionie* jest raczej drugorzędną, bierną postacią. Helois, jako królowa egipska w II części *Wykładu nauki,* to wielka mocarka ducha, mogąca „oćmić oczy błyskawicami dawnej wiedzy, to natchniona twórczyni wiar dla milionowego ludu, chciwa nowych ducha tajemnic, pytająca o nie gwiazd, szukająca ich w wieściach ludzkich. I poeta maluje nam ją, w jakimś „roku tysiącowym,“ właśnie w przededniu zbudzenia się w niej nowej wiary w zmartwychwstanie ciała, śniącą już o tej wierze i przysłuchującą się bacznie obiegającym świat wieszczebnym i objawiennym, heroicznym i symbolicznym opowieściom — o śmierci króla Dawida, o wyprawie Argonautów, o Jazonie i Medei, o Orfeuszu i mocach jego lutni (Bieg. 190). Jakże analogicznie, jak identycznie prawie brzmią opisy przedednia nowej wiary w piastowskim rapsodzie *Króla Ducha:*

Wieki minęły krwawe — świat był nowy,
I źródło ducha trysnęło z kamienia;
Nadchodził wielki ów rok tysiącowy,
Który narody jak gwiazdy odmienia.
Dawniej — Sezostrys, i Orfeuszowy
Dźwięk lutni nimfy wywodził z kamienia,
I usłyszano w Oceanid łonie
Wieść o chodzącym po morzu Jazonie.

Najwyższa w niebo rosła piramida,

Na nią zlatywał rumak Perseusza;
Świat cały w strachu wieściach; Atlantyda
Herkulesowi z rąk pierzchła, jak dusza:
Nad całym wiekiem brzmi harfa Dawida
A pod nią każdy duch swym ludem rusza...
(III, 1, VI—VII, P. P. 1866, II, 203).

Albo piękniej, wizyjniej snadź jeszcze — w waryancie tejże pieśni (P. P. 1866, II, 359):

A już kraina żyt, bożemi słowy
Zasiana, ciszy wielkiej dostąpiła,
I wschodził nad nią ów rok tysiącowy
Wielki, cudowny. Duchom się odśniła
Moc dawna czasów — śpiew Orfeuszowy,
Kamienna przezeń poruszona bryła,
Podług tych głosów, które ruch uczynią,
Nagle stająca — nimfą lub boginią.

Odśniło się znów duchom, że widziały —
Przed dwutysiącem lat będąc jak dusze —
Piramid aż do gwiazd rosnące skały,
Przelatujące niebem Perseusze,
To znów Dawida harfę i chorały
Święte...

Tak bliskie nastrojem i obrazami ustępy powstać mogły tylko bezpośrednio po egipskim epizodzie w *Wykładzie nauki.* Że zaś — jak stwierdza notatka w *Dzienniku* poety (Bieg. 229) — trzecia pieśń drugiego rapsodu (który u Małeckiego stał się trzecim) dokończona została d. 25 paźdz. 1847 r., — więc pieśń pierwszą, z której pochodzą powyższe oktawy, oraz prozaiczny epizod egipski, umieścić należy, co najdalej, gdzieś w początku tegoż roku lub w samym końcu 1846-go. Może nawet do tych prac obu odnoszą się słowa w liście do matki z 14 grudnia 1846 r.: „Pracuję, myślę, przygotowuję moje obrazy na expozycyą. Malarstwo mię zatrudnia, chciałbym w tych płótnach światło wyrazić więcej niż kolorowość natury, światło z którym w oczach Rafael zaczynał.“ Przygotowywanie na ekspozycyę oznacza niewątpliwie druk ukończonego już pierwszego rapsodu *Króla Ducha,* — a owemi płótnami, w których poeta chciał wyrazić światło więcej niż kolorowość natury, nie mogło być nic innego, jak dalszy ciąg *Rozmowy z Helionem i Heloisą,* pisany — jak gdyby według rady Ducha w *Poecie i natchnieniu* — „w czystym bezkolorze,“ oraz piastowski rapsod *Króla Ducha,* w którym na wstępie takie spotykamy strofy:

Bóg ojców, który mię raz na śpiewaniu
Śpiącego zastał i naszedł wieczorem

I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
I mocy swojej przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną
Napełnia pieśnią to maluczkie łono...
— — — — — — — —
Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
Ubrałem panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnej uwolniony troski,
Cały się zdając na moc i duch boski..

Po epizodzie egipskim poeta porzuca wcielenia Helois, każąc jej spać w „obelisku“ (?), a przeprowadza Heliona przez cały szereg reinkarnacyj, na przemian to siebie, to osobę trzecią pod tem kryjąc imieniem. Pod sam koniec *Rozmowy* — oto co Tłómacz Słowa-Słowacki opowiada o Helionie-sobie samym: „A teraz moja Helois — Egipcyanko moja, oto brat twój Helion przemądrzały... poznał, że czucie i wiedza... mają być razem do lotu użyte... i oto duch jego dawno już przyoblekał ciało w tej ogromnej respublice... gdzie wokoło wrzały wulkaniczne siły ducha Bożego... *postawił on nawet dwa ogromne posągi*... twoim dawnym śpiewającym kolorom [1]) podobne... *posągi będące formą przyszłego ducha*... które mają ten rozmiar, że przez ludzi z ciała budujących napełnione być nie mogą, ale są posągami Sfinxowemi przyszłości... *Obiór jednego przez wszystkich i zaprzeczenie wszystkim przez jednego*...“ Zasługę wzniesienia tych dwóch Sfinksowych posągów przyszłości mógł poeta przypisywać sobie dopiero po napisaniu i wydaniu rozprawki *O potrzebie idei,* tam bowiem po raz pierwszy wypowiedziany został stanowczy postulat „zbudowania kraju na wolności ducha ludzkiego, z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń.“ Broszurka owa wyszła w r. 1847, lecz raczej w drugiej jego połowie, niezadługo przed prelekcyą Edm. Chojeckiego (7/X 1847), która zrodziła się niewątpliwie pod jej wpływem. Prof. Tretiak, twierdząc bez żadnych dowodów, iż ukazała się ona w samym początku roku, i że oświadczenie Słowackiego w Towarzystwie historyczno-literackiem (25/III 1847) o potrzebie wystawienia przez nie „jakiejś myśli, Idei“ miało na celu zręczne zareklamowanie ksią-

---

[1]) Czy nie „śpiewającym kolosom“ raczej? Memnonom? Wydawca musiał źle przeczytać.

żeczki, — popełnia jedną z tych licznych śmieszności, do jakich doprowadziła go mania odnajdowania w poecie wszystkich możliwych mizeryj i meskineryj. Jeżeli Słowacki pod koniec marca mówił o potrzebie wystawienia „*jakiejś* Idei,“ to niewątpliwie chciał *potem* sam określić, *jakiej* — i ztąd zrodziła się broszura. Dopiero po replikach na nią (pośrednich zresztą) w *Trzecim Maju,* oraz w odczycie K. Hofmanna (4/XI 1847), poeta doszedł do wniosku, że jego „posągi“ przez ludzi „z ciała budujących“ zrozumiane być nie mogą, i nazwał je „posągami Sfinksowemi przyszłości.“ Tak tedy — ukończenie II części *Wykładu nauki* odnieść możemy z całą pewnością aż na sam koniec roku 1847.

Powyższe sprostowania co do chronologii utworów stwierdzają już kategorycznie, że ani w Szczęsnym z *Teogonii,* ani w Helionie z *Wykładu nauki* niemożna dopatrywać się Szczęsnego Felińskiego, którego Słowacki poznał dopiero w początkach roku 1848. Ale — o ile Helion w *Wykładzie nauki* mało ma cech indywidualnych i tylko w chwilach, gdy w samego poetę się przeobraża, żywej postaci robi wrażenie — o tyle Szczęsny w *Teogonii* scharakteryzowany jest kilku zwięzłemi, lecz tak wyrazistemi rysami, że same one — dla uważniejszego czytelnika — winne były stanąć na przeszkodzie wszelkim co do Felińskiego przypuszczeniom:

... a nie mniejszą pięknością przy tobie
Świeci twój brat, w piekielnej po słońcach żałobie,
Głęboki smutnik — wielki zamyśleniec, dumny,
Który chce po naukę koniecznie do trumny...

Można-ż było — nawet odnosząc mylnie *Teogonię* do roku 1848 — widzieć w tem „kochanego“ i „kochającego,“ a choćby nawet „skarb i brylant“ — „Felusia,“ o jakim Słowacki pisywał do matki? Owe wzmianki w listach świadczą o wielkiem przywiązaniu poety do Felińskiego, o jego prawie ojcowskich co do przyszłości ulubieńca nadziejach, ale nie wskazują bynajmniej, aby mu tenże w czemkolwiek imponował. Tymczasem wyrażenia o Szczęsnym w *Teogonii* tchną przedewszystkiem jakimś wielkim podziwem i szacunkiem. Poeta nie godzi się z jego skłonnością do „utysku,“ zarzuca mu, jako

Ani wie, że się schodzą dwóch żywotów końce,
A czasem między niemi jest grzmot albo słońce,

ale, mimo wszystko, w tym „smutniku'“ w tym „zamyśleńcu dumnym“ uderzają go jakieś rysy prawie posągowe, jakaś niezwyczajna „piekielność“ w jego „po słońcach żałobie,“ jakaś moc myśli, jakaś powaga ogromna:

... on, twój brat... od orłów lotność doskonałą
A od lwa wziął powagę... a to, co ku zdradzie
Duchowi dziś — szał może w słodkim winogradzie
Wypracował...

Szczęsnym z *Teogonii* był z całą pewnością *Feliks* Węgierski. Świadczą o tem — nietylko przytoczone powyżej szczegóły z życiorysu pani Zofii, nietylko wyrażenie Słowackiego na pierwszej stronnicy t. zw. *Wykładu nauki* (Bieg. 115) o dwojgu „jasnych, smętnych i rozmiłowanych," — lecz i pewne inne jeszcze wskazówki. Pani Zofia przybyła do Pornic i Paryża już po zerwaniu z pierwszym mężem, już jako Węgierska. Był to wszakże, zda się, tylko związek serc bez małżeństwa urzędowego. Jako „separatka," poślubić Węgierskiego nie mogła [1]) — i ztąd owa, przy rozmiłowaniu, „smętność" obojga. Stosunek „nieulegalizowany" narażał ich zapewne, i w ówczesnym plotkarskim powiecie paryskim, na mnóstwo przykrości. Słowacki natrąca o tem parę razy w *Teogonii,* zaznaczając swą wiarę w prawość ich uczuć i swoje dla napastowanych przez świat współczucie:

... kiedym patrzał w oczy, coś w twojej źrenicy
Błysnęło niby słońce w oczach gołębicy,
Tak, że *pomimo świata rozbojów i złości*
Stoisz dotąd jak posąg biały niewinności...

A nieco dalej:

... moje wesele — spokój — przeszły mimo,
Jako około kwiatów powalonych zimą
Anioł wiosny przechodzi, a wyście zostali,
Pytając: zkąd my przyszli? czemuśmy płakali?
Dla czego bez ojczyzny żywot nasz przeminął?
Dla czego ten nam żyje zły — a tamten zginął...

I później jeszcze, w r. 1848, polecając Węgierską Stattlerowi, dyskretnie ostrzega go, aby nie zwracał uwagi na puste formy zewnętrzne: „Chciałbym, aby *wszystko to, co ma w sobie pierwiastek*

---

[1]) Wspomnieliśmy wyżej, że jeszcze w czerwcu i lipcu r. 1848 Słowacki prosił, aby mu listy posyłać do Wrocławia pod adresem: Madame Sophie Mielęcka [nie: Węgierska]. Tegoż atoli roku, „w dniu Bożego Narodzenia," pisał do Stattlera: „Nieraz przed panią Zofią *Węgierską* chwaliłem się z tej miłości, którą mnie serce twoje darować raczyło." Trudno przypuszczać, aby ślub jej z Węgierskim nastąpił między lipcem a grudniem 1848 r. Prawdopodobniejszem wydaje się, iż byli oni państwem Węgierskimi dla przyjaciół umiejących szczery związek serca uszanować, że wszakże urzędownie pani Zofia, zwłaszcza w pasportowych krajach niemieckich czy austryackich, nie przestała być Mielęcką. — Zresztą, znacznie później jeszcze, sama ona, która stale, przedtem i potem, podznaczała swoje kroniki w *Bibl. Warsz.* nazwiskiem Zofii Węgierskiej, nagle w r. 1867 podpisuje się: Zofia z Kamińskich Mielęcka.

życia, zbliżało się, stawało w jeden wieniec wzajemnie pobudzający się do ruchu i do wspólnej harmonii. Obracajcie się wkrąg, jak dawne greckie godziny, piękne i śpiewające, *a nie dawajcie się uciemiężać starym formom,* które stoją dla tego, bo są spróchniałe, i wszelkiej twórczości świętej zaprzeczają. Ty, kochany Wojciechu, bądź regulatorem tego zegara i pomagaj ruchowi godzin, a nie pozwalaj, ażeby która wykroczyła."



Chronologię pośmiertnych dramatów Słowackiego niemniej bałamutnie dotąd traktowano. Prof. Tretiak mówi hurtem o *Zborowskim, Agezylauszu, Zawiszy Czarnym, Z dziejów wielkiego Nowogrodu* —w jednym i tym samym rozdziale, opisującym pierwsze chwile po powstaniu *Genezis,* i powołuje się nawet na list do matki z 8-go października 1844 roku, twierdząc, iż pracą, o której Słowacki tam mówi, były najpewniej te dramata (II, 94). Że jest to w sprzeczności oczywistej z podanemi dalej nieco szczegółami o *Agezylauszu* (II, 113—116),—nic to szan. profesora nie obchodzi— i z uporem raz jeszcze nietylko *Zborowskiego,* lecz i trzy pozostałe dramata do „owych czasów" (zaraz po napisaniu *Genezis)* odnosi (II, 113).

Sprawdźmy rzeczy po kolei.

Chronologię *Agezylausza* i *Zawiszy Czarnego* z łatwością i dość ściśle ustalić można. D. 28 listopada 1843 r. donosi Słowacki matce, iż „przedwczoraj dopiero imieniowi jej wywiązał się z długu," t. j., że ukończył *Sen srebrny Salomei.* Musiał już wówczas być ukończonym i przekład *Księcia Niezłomnego,* skoro obie książki wyszły wnet potem prawie jednocześnie, tak, że przed 15 stycznia 1844 r. mógł poeta przesłać W. Stattlerowi, obok swoich dwóch „obrazków" *(X. Marka* i *Snu Salomei),* „dawny wielki obraz starego Hiszpana odlakierowany na nowo." Nie o przekładzie tym tedy, lecz o jakichś innych pracach, które się w jego ciągu lub bezpośrednio po nim rodzić jęły, pisał do matki w tymże liście z 28/XI 1843 roku: „Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów jakby mocne pchnięcie od

Boga przyszło do pracy, a mam tę chwilę, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, *aż ich urobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych...*" O jakich-ż to „najpiękniejszych" mogła być mowa, jeśli nie o „świętej postaci" Króla Agisa, „na której leży ducha namaszczenie;" jeśli nie o tym tak cudnie, tak niebiańsko rubasznym „panu Czarnym," „orle" o „czystem sercu łabędziem;" jeśli wreszcie, nie o owym „najśmielszym z rycerzy," który ojczyźnie „był do końca wierny" i różnej nędzy dla niej kosztował, jeśli nie o Beniowskim z fragmentów dramatycznych?

Co do *Agezylausza,* sen zapisany w czerwonej książeczce pod datą 14/15 kwietnia 1845 r. (a umieszczony w końcowej scenie III aktu), oraz dwa przytoczone przez prof. Tretiaka listy do matki (z 16/IV i z 30/XI 1844), stwierdzają dostatecznie, iż dramat pisany był w r. 1843 i pierwszej połowie 1844, przed drugim wyjazdem do Pornic, a co najwyżej kończony lub poprawiany po powrocie ztamtąd. Że, mimo wzmianki o Królu Agisie w liście do matki z 5/II 1835, *Agezylausz* jął się kształtować dopiero po „transfiguracyi," świadczy cały ton utworu oraz charakter głównej postaci.

Tworzenie *Zawiszy Czarnego* szerszy obejmuje okres czasu. Pierwsza redakcya dramatu, którą p. A. Górski (1906) na drugiem miejscu (od str. 61) postawił i „odmienną" nazwał, rodzić się jęła jeszcze w trakcie pisania *Snu srebrnego Salomei.* Ton jej pobrzmiewa wyraźnie już w liście do matki z d. 18/III 1843, w czysto osobistem wyznaniu poety: „...jeżeli ty mi, droga, przygotujesz jaką dobrą żonę i za rękę ją wprowadzisz i posadzisz przy mnie, przy Wielkanocnym stole, nie odwrócę się od niej zmarszczony, chyba że się ona zmarszczy, widząc mnie cokolwiek podszarzałego na służbie Bożej żołnierza... Jeżeli więc to będzie jaka Byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady, i pod kolumnami Ateńskiemi, i z przeszłym Julem niech się żeni... bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca. Lecz to szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą i wiedzą o tem wszyscy, którzy tylko za szczęściem gonili, i którym ten owoc w ustach zgorzkniał... albo ci, którzy go nie otrzymali i dotąd cierpią..." Ten „podszarzały na służbie Bożej żołnierz," te poglądy na kobietę i miłość, ten smutek finaluy, — wszystko to tak echowo odpowiada całemu nastrojowi owej pierwszej redakcyi dramatu, że niewątpliwie w tem właśnie usposobieniu i w tym samym czasie zaczęła się ona kształtować. W rok przeszło później znajdujemy znowu — i to wyraźniejsze — echo dramatu w liście do matki

z 14/V 1844 r. „Wiesz ty, droga moja“ — pisze poeta — „że jeżeliby mi co teraz było niebezpiecznem, to właśnie szczęście ludzkie, szczęście jakie wielkie, ogromne a zupełnie ludzkie, spotkane na tej drodze, na której siły się moje zastosowały już do innego życia; póki walki, póki oporu, póki nadziei, póty ja jestem nieranny. Jak to czuł kiedyś Homer, raniąc Achillesa w piętę!“ — Nie identycznie-ż śpiewa *Chorus* na wstępie do pierwszej redakcyi (ed. Górskiego, 1906, str. 65):

Jeśli co może duszę połamać ogromną,
To zapewne, że miłość... czysta i nie blada...
Wszakże się prędko troski światowe przypomną
I dawnych myśli wielkich — krzycząca gromada
Prędko wielkiego ducha wyrywa z niewoli
Tak, że te więzy wszystkie rwie... choć serce boli ..

Druga redakcya natomiast, której A. Górski pierwsze dał miejsce (str. 3—60), powstała z całą pewnością już po *Genezis* oraz po poznaniu Węgierskiej, i to prawdopodobnie nie zaraz, lecz dopiero w r. 1845, gdy poeta ochłonął nieco z absorbujących go prac nad filozofią ducha. Wiersz wstępny: „Śni mi się jakaś wielka przez wieki idąca powieść,“ został napisany niewątpliwie tuż po owym nieposłanym matce liście z lutego 1845, w którym poeta tak gorzkie, tak namiętne robił jej wyrzuty, że chce dla niego sławy i oklasków, że „do nóg by upadła autorom artykułów i portretów,“ że w każdym utworze przypomnień tylko jego postaci szuka. Nie z tegoż uczuć źródła — i to natychmiast, bezpośrednio — wypłynęły owe pod nadmiarem przejęcia chwiejne aż i niepewne wiersze prośby razem i obietnicy:

— — — — O pomóż Zbawicielu
Abym te wszystkie rzeczy... do gwiazdy i do celu
Doprowadził... a ludzkim się nie zmieszał oklaskiem,
Ani łzami się zalał, ni ścmił Twoim blaskiem.

Ojczyzny nieśmiertelnej... serce wielkie niech słyszę
Ciągle w sobie bijące — a na wielką się ciszę
Przygotował [przygotuję]... że żadnych ztąd oklasków nie będzie...

I w samym tekście dramatu mamy dla asercyi naszej dowody. Ten jawiący się w drugiej redakcyi dopiero Król Jagiełło, któremu „wschodzą myśli nieznane nikomu,“ w którego oczy „niby napół śpiące *przedstworzennych* wypadków błyskają miesiące.“ To wyraźne przeciwstawienie — w Jagielle i Zawiszy — Mickiewicza i siebie, z aluzyą raz jeszcze, acz tym razem łagodną i niepozbawioną

nadziei [1]), do wypadków z 29 listopada 1844 roku (ed. Górskiego, str. 16):

Nie obaczycie więcej takiego mocarza,
Który *bez miecza... sercem narody wojował...*
I duchy swe wywołał z wiatru i z cmentarza,
A te, które przeciwne, do ziemi pochował
I w ciągłym cztery wieki utrzymywał spaniu
I sprzeciwił się nawet teraz... zmartwychwstaniu...

Od straszliwego ducha odwracajmy oczy,
Prędzej go zobaczymy..., niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali
I z ranami polskiemi starą pierś pokaże
I otoczą go wkoło Litewscy guślarze.

Przeciw niemu... ten drugi duch... przez ciernie, osty
I przez żywota drogę... męczeńską przechodzi...
Jako leżąca owca u pasterza — prosty
Jak łąka... zatopiony długo od powodzi
Niewinny...

Ta wreszcie — spowodowana poznaniem Węgierskiej — zupełna zmiana w scenie pierwszego spotkania Zawiszy z Laurą, to piorunowe olśnienie bohatera jej pięknością (str. 38), to odjęcie Laurze licznych w pierwszej redakcyi cech płochości, a nadanie jej charakteru niewysłownie prostego i entuzyastycznego, ten nakoniec, przypominający wyrażenia i listu do Sofosa, i poemaciku *Poeta i natchnienie*, dyalog znaczący:

Zawisza. *Piękną jestes — a wiec masz już świętości połowę,*
Dostań drugiej.

Laura. Jakże to?

Zawisza. Bądź przez serce natchniętą
I otwórz sobie sama wrota dyamentowe —
Ja tobie nie pomogę... [2]) Od jakiegoś ja czasu
Jestem przez ciemne duchy... za ramiona chwytany,
Oczy mam pełne ognia — a hełm pełen hałasu...

Wcześniejsza tedy [3]) redakcya *Zawiszy*, nazwana u Górskiego „odmienną,“ przypadałaby na rok 1843 i pierwszą połową 1844; póź-

---

[1]) Por.—co do tonu—początek listu do matki z d. 14/III 1845 r.

[2]) Pal się!..*nie mogę żadnej dać pomocy.*
(Poeta i natchnienie. P. P. 1866, I, 255).

[3]) Wbrew dociąganym i niekiedy (np. w punkcie 2) zbyt widocznie niesłusznym wywodom p. T. Dąbrowskiego o jej „późniejszości“ (Pam. Lit. V, 110).

niejsza ciągnęłaby się przez rok 1845 i może nawet jeszcze w roku 1846.

Zupełnie fałszywie — skutkiem niedość uważnego wczytania się w tekst utworu — oznaczano dotąd czas powstania fragmentów dramatycznych o Beniowskim. Prof. Małecki wyraża wprawdzie w jednem miejscu, z chwalebną ostrożnością, „domysł“ tylko, iż dzieło to musiało być owocem czasu między latami 1839 a 1841, i w trzeciem wydaniu swej monografii głosuje nawet za rokiem 1841 (II, 173), gdzieindziej wszakże (II, 249) spokojnie znów mówi, iż rękopis dramatu leżał już na biurku poety, gdy tenże zdecydował się podjąć przedmiot na nowo — w formie poematu. Prof. Tretiak, z zupełną nonszalancyą, bez żadnych dowodów, orzeka apodyktycznie, iż Słowacki zaczął pisać dramat o Beniowskim z końcem roku 1839, i dopiero, gdy okazało się, jako stworzenie polskiego *Fausta* „przerasta“ (sic!) jego siły, zabrał się do oktaw „polskiego Don Juana.“

Pomińmy, iż gdyby Słowacki istotnie był „uczuł,“ jak mu to prof. Tretiak insynuuje (I, 202), swoją niezdolność do wielkiego ideowego dramatu, ogarniającego zagadkę żywotów ludzkich, to nie obiecywałby — *potem* — w II pieśni *Beniowskiego:* „Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta!“

Poza tym wszakże czysto logicznym wnioskiem, mamy w treści, tonie i niekiedy nawet w formie ogłoszonych przez prof. Małeckiego urywków dramatycznych dostatek wskazówek aż nadto przekonywających: — 1) że żaden z nich nie mógł powstać przed ukazaniem się pierwszych pięciu pieśni poematu; 2) że nie zrodziły się one jednocześnie, w jednym ciągu, lecz pisane były w różnych czasu okresach i różnych ducha nastrojach; 3) że są one nietyle przechowanemi cząstkami jakiejś zagubionej całości, ile raczej szeregiem jak gdyby coraz nowych prób, coraz nowych zagajeń tegoż samego tematu.

W dalszych pieśniach *Beniowskiego* niejednokrotnie spotykamy dowody zniechęcenia poety do rozwijającej się bez nadziei końca migotliwej wstęgi oktaw.

> Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,
> Co niby z Boga jest, lecz nie pozwala
> Ta pieśń, która jest koroną i szczytem
> Awantur krymskich —

czytamy w pieśni X-ej. A później jeszcze, w pieśni XII-ej:

> Na powieść moją smętny człowiek czeka,

A mnie odleciał Anioł, który stwarza;
I muszę przestać strofy, która ludzi
Łamaną sztuką bawi — a mnie nudzi.

Zdaje się wszakże, iż najbardziej dość tej „łamanej sztuki“ miał właśnie w chwilach najbliższych po wydaniu pierwszej części poematu. Dał był w przelicznych jej dygresyach bogatą, wszechstronną spowiedź liryczną duszy własnej, teraz zapragnął szerokości epickiej, linij bardziej wyrazistych, postaci bardziej plastycznych, akcyi bardziej skupionej. Chociaż tedy „rym tętniący“ poematu biegł dalej, niby „w rzymskiej ruinie kaskada,“ niosąc obrazy walk z hajdamakami i krymskich ambasad, — było to już jednak uboczne tylko, mimowolne, odruchowe chwil wolnych zajęcie. Myśl poety coś innego teraz wyłącznie zajmować jęło. Niezadługo po wycieczce frankfurckiej widzimy go pogrążonego w pracy nad *Złotą Czaszką*. Tylko do tego, wspomnień krzemienieckich pełnego dramatu stosować się może wzmianka w drugim po powrocie do Paryża liście do matki, który Meyet w swojej edycyi mylnie liczbą 74 oznaczył: „Maluję teraz rzeczy, *które mnie często w nasze strony myślą zawodzą,* i duch mój przechadza się po xiężycu w Julinkach, i pływa z łabędziami po stawach.“ Ale rzecz urwała się niedokończona. Może i jej rodzajowe szczegóły wydały się poecie „mozajkowością“ jeno, na którą we wrześniu czy w październiku r. 1841 skarżył się Krasińskiemu. On pragnął teraz wielkiego oddechu, czuł się — po wrażeniu, jakie zrobiła ogłoszona część poematu — sławnym nakoniec, tym, od którego naród cały spodziewa się i czeka, i chciał dać coś najwyższego, coś zatrącającego najgłębsze treście ludzkie. Jednocześnie, żal mu było snadź tematu Beniowskiego, który w wydanych pieśniach nazbyt przysłaniały dygresye, a który w dalszym ciągu coraz bardziej jął drugorzędnieć, rodzajowieć, uchodzić w cień przed nowo zjawionemi w widlącym się poemacie postaciami Sawy, X. Marka, Wernyhory, aż wreszcie pierwotny bohater zaprzepaścił się beznadziejnie w zbyt przewlekłych, acz tęczowo skrzących baśniach epizodu krymskiego. Szukanie dla tego ulubieńca nowej, bardziej skupionej formy literackiej zbiegło się z nurtującemi duszę poety zamiarami „faustycznemi“ — i pod sam koniec r. 1841 kiełkować jęła myśl dramatu, którego urwanym początkiem są cztery sceny t. zw. fragmentu pierwszego. „Ostatni maleńki [pięć wydanych pieśni poematu]“ — czytamy w liście do matki z 10 listop. 1841 r. — „zły jest... *Ten, co po nim, jeszcze nieznany,* ale *będzie* lepszy i piękniejszy; *zobaczysz w tym maleńkim mój obraz.*“ Słowa ostatnie nie mogą się odnosić do wydanej części poematu, bo poeta powiedziałby:

„mój *dawny* obraz.“ Toć w pierwszym zaraz liście po powrocie z Frankfurtu, mylnie oznaczonym u Meyeta liczbą 76, szeroko rozwodzi się o zupełnej zmianie swego usposobienia i nastroju. Tem bardziej — nie stosują się one do dalszego ciągu poematu, gdzie zmniejsza się liczba osobistych dygresyj, a postać samego Beniowskiego w wirze wypadków i nowych postaci raczej zaczyna tracić na wyrazistości. Mówiąc o swym obrazie, mógł poeta mieć na myśli tylko ów „faustyzm,“ którego ślad znajdujemy w słowach Fantazego, niezrozumiałych bez takiego osobistego znaczenia:

...jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie!

Zresztą, w tym samym liście, Słowacki zaznacza poniekąd zasadniczy rys swego obecnego obrazu: „...ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej *zimnej, marmurowej kochance,* która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy...“ Zestawmy to z podaną przez Pamfila, w pierwszej scenie, definicyą Fausta-Beniowskiego, jako człowieka, „który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy,“ a dojdziemy do wniosku stanowczego, że pisząc: „ten, co po nim,“ poeta mógł mieć na myśli tylko zamierzony dramat o Beniowskim.

Już samo wszakże wzięcie sławy za motyw główny wskazuje na pewną powierzchowność „faustyzmu“ owoczesnego. Poza tem, i w temacie faustowskim, i w arcydziele Goethego, uderzyła Słowackiego tylko strona fantastyczna. Szyderca Pamfil, wzorowany na Mefistofelesie, oraz transponowana w scenie czwartej (nad jeziorem wśród lasu) noc Walpurgi — oto jedyne prawie analogie z niemieckim dramatem metafizycznym. Głębi ideowej, dna faustowego jeszcze tu ani śladu. Poeta nie wyczekał, aby „myśl rozogniła się“ należycie i przystąpił do swego „Fausta“ z tą samą jeno kapryśną, rozkiełzaną wyobraźnią, która tak migotliwemi tęczami grała w oktawach poematu. To też — mimo zasadniczych zmian w treści i formie, mimo tak jak nigdzie urozmaiconych i cudownie alternowanych rytmów, w których czuć chęć wyzwolenia się nawet z zewnętrznej niewoli oktawowych jedenastozgłoskowców—owe cztery sceny pierwszego fragmentu tak dalece nie różnią się, co do nastroju, charakteru i całego typu twórczości, od ogłoszonej części poematu, że możnaby je wziąć za jakiś luźny jej ciąg dalszy. Te same

tu, co chwila, odstąpienia od tematu, te same zbyt przewlekłe, acz w sobie cudne epizody (np. owe folklorowe sceny z Grażułasem, a później z krakowiakiem), te same dygresye, aluzye, polemiki, echa zdarzeń i wyrazy uczuć osobistych, to samo, jednem słowem, odbicie całego wewnętrznego i zewnętrznego życia poety. Oto, naprzód, niewątpliwe wspomnienia o pani Bobrowej, świadczące raz jeszcze, że utwór mógł powstać dopiero po powrocie z Frankfurtu. Jedno — smętne i tkliwe:

Uśmiech się kryje w twoich jasnych dołkach;
Ale sen ciężki, jak smutek, tęsknota,
Leży na czole, jak błękitno-złota
Chmurka na niebie...

Drugie — przez usta Pamfila — gorzkie i zawierające, poza ogólniejszem znaczeniem, aluzyę do osobistych przykrości, na jakie naraziła poetę wycieczka do Frankfurtu: „Gdybyś nie był gonił za dziewczyną, co miała tęczę na głowie, nie zamoczyłbyś teraz butów w jadzie wężowym.“ — Dalej — po niedawnych złośliwych *Preliminaryach peregrynacyi ks. Radziwiła Sierotki,* które miały być niewątpliwie satyrą i parodyą *Pamiątek Soplicy* — zwraca uwagę zupełnie inne, w scenie trzeciej, traktowanie postaci księcia Panie Kochanku, które możemy sobie wytłómaczyć tylko objawiającą się jednocześnie, w VI pieśni *Beniowskiego,* zmianą w poglądach poety na przeszłość staroszlachecką. — Jeszcze dalej, uderzają charakterystyczne paralelizmy w znaczeniu, tonie i rytmie z powstałemi, bez kwestyi, właśnie na schyłku r. 1841 i początku 1842 pieśniami poematu.

A jednak dziwna jest piękność w oddali
I w perspektywie poetycznej —

czytamy na wstępie pieśni siódmej. A gdzieindziej, w strofach o *Panu Tadeuszu* i Litwinach (pieśń VIII):

Jednak w tej cudnej epopei żyją;
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją...
— — — — — — —
Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali:
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca.

Jakże pokrewnie brzmią, w drugiej scenie, słowa Beniowskiego po rozmowie Pamfila z Grażułasem:

Jednak to wszystko cudowne, Pamfilu!
— — — — — — —
Słońce się w myślach ludu zestarzało:
Już nie Faeton, nie młoda Dyjanna,
Lecz groźny, stary Litwin z głową białą,
Lecz stara wiedźma z piersią wyschłą, suchą,
Jakaś uwiędła Słowiańska Marzanna,
Hekate puszczy...

Niemniej znacząca jest, następnie, sympatyczna raczej, mimo iż z ust szydercy Pamfila, wzmianka o „epoce wielkich gawęd,“ w której domyślać się należy aluzyi do zaczynającego przeważać, właśnie w tych latach, w poezyi polskiej pierwiastku ludowego. — Każdego zastanowić musi na pierwszy rzut oka niepozbawione pewnej *arrière-ironie*, jakby umyślne przeładowanie utworu folklorem, w odpowiedzi zapewne na zarzuty krytyków poznańskich, iż poeta nigdy „nie rzucił się z całą miłością ducha w poezyę gminną“ (por. *Krytyka krytyki i literatury*, wrzesień 1841, Poznań 1891, str. 19). Wyraźną, wreszcie, wskazówkę chronologiczną daje wystąpienie, przez usta Pamfila, przeciwko „muzie romantycznej,“ za którą „krzyże i mogiły samobójców,“ przeciwko owym „pisarzom wierszy próżnych a dźwięcznych,“ przeciwko sentymentalno-patetycznym naśladowcom Mickiewicza, których poeta surowo apostrofował już w piątej pieśni *Beniowskiego* [1]) i którym świeżo w *Krytyce krytyki i literatury* tak dotkliwą wymierzył chłostę.

Wszystkie te szczegóły, w połączeniu z przytoczonym wyżej listem do matki, pozwalają wnioskować z całą stanowczością, iż umieszczony przez Małeckiego na czele fragment cztero-scenowy powstał pod sam koniec roku 1841 lub nawet w początku 1842. Jednocześnie wyjaśniają one, czemu poeta, po napisaniu czterech scen, nagle urwał [2]). Była to jeszcze raz „mozajka“, gdzie poza

---

[1]) ..... nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę lub ciągłe tętna...

[2]) Sądzimy, iż nie napisał wówczas nic więcej. Pamfil zamyka wprawdzie „noc walpurgową“ słowami: „Chodź na scenę świata, poniosę cię na ramionach i rogami będę podrzucał,“ co właściwie kazałoby oczekiwać, między I a II fragmentem, całego jakiegoś aktu przynajmniej, a mianowicie — według retrospektywnego streszczenia w Parabazie — opowieści o tem, jak bohaterowi „ufność wyszła na hańbę... dworskie tryumfy

mnóstwem ubocznych rzeczy i bohater ginął, o którego przecież chodziło, i dno ideowe nie mogło się uwydatnić, i zatracała się nawet linia architektoniczna utworu. Kto wie, czy Słowacki nie zaczął przypisywać tego rozpraszania się tematu zbyt wielkiemu mnóstwu związanych z Beniowskim szczegółów rzeczywistych, i czy — dążąc bądź co bądź do upostaciowania swych planów faustycznych — nie próbował wtedy właśnie zrzec się dotychczasowego ulubieńca i zastąpić go mniej realnym, a przeto łatwiejszym do obracania Eolionem? Do przypuszczenia tego upoważniaćby mogło kilka ogłoszonych przez p. B. Gubrynowicza (Pam. Lit. I, 99 — 100) oktaw początkowych jakiegoś poematu o „dziwaku, wizyonarzu wielkim" tego imienia, który „w odludnym zamku na Karpatach... chował Niemca (Fausta)... ażeby z nim filozofował". Nic stanowczego wszakże twierdzić tu niepodobna. W każdym razie, jeżeli poeta miał w owym czasie myśl taką, to zapewne porzucił ją po pierwszych oktawach, zajęty swą miłością dla p. Bobrowej oraz wyszydzającą decepcye tego uczucia *Nową Dejanirą*. Utwór powyższy powstał niewątpliwie w chwilach, gdy poeta, jako „środkowy kamień", najbardziej cierpiał, a więc nie w r. 1841, lecz w ciągu maja i czerwca r. 1842, w epoce owego pożegnalnego, gorzkiego i gwałtownego listu z wierszem o wersalskiej kaskadzie. Toć istotnie Słowacki w dramacie swym „zleciał" na kobietę „jak kaskada z góry, porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył". W przepaść — sarkazmu, zrazu bezlitosnego, a łagodniejącego zwolna w ciągu utworu, w miarę jak — pod wpływem choćby żartobliwych czy interesownych, ale bądź co bądź przyjaznych listów p. Joanny — łagodniała gorycz zawodu. Idalia od połowy dramatu zupełnie ina-

---

skończyły się więzieniem..." Pierwsze jednak słowa Beniowskiego w drugiej scenie II-go fragmentu:

> Mdleję z czczości i tęsknoty,
> Tak mi bije ciągle w oczy
> Ten schylony miesiąc złoty —

zbyt blisko wiążą się z jedną z ostatniej wizyj „nocy walpurgowej," z wizyą

> — — — — — — — — trupa,
> Co w bramę zamkniętą trąca,
> Na nim leży twarz miesiąca
> Jako na żółwiu skorupa —

aby można przypuścić te sceny w jakiemś znaczniejszem od siebie oddaleniu. Zresztą, cały retrospektywny plan w Parabazie wydaje się naszkicowanym kiedyś później zupełnie nanowo, bez oglądania się na to, co już było napisane, nietylko bowiem „wspomina o scenach, których niema ani w jednym, ani w drugim fragmencie" (Mał. II, 174) ale — co gorzej — nie daje się dopasować do tego, co w nich mamy.

czej zaczyna się przedstawiać, a listy do p. Bobrowej z 3 i 9 czerwca markują zupełnie wyraźnie równoległe etapy uczuć poety.

Ochłonięcie zupełne z tej zemsty miłosnej zbiega się co do czasu z coraz większem chyleniem się Słowackiego ku wyśmiewanym pierwotnie „mistycznym waryatom" i „cudotwórcom", które w lipcu w r. 1842 zakończyło się dwiema rozmowami z Towiańskim, uznaniem „jednej tylko, jednobramnej drogi ducha" i słynnym wierszem: *Tak mi Boże dopomóż*. Na ten właśnie czas przypada drugi — krótszy jeszcze od poprzedniego — nawrót do faustycznych na tle Beniowskiego zamiarów, reprezentowany przez dwie pierwsze sceny fragmentu II-go. Że urywek ów powstał niezadługo po *Nowej Dejanirze*, gdy poecie jeszcze po myśli się błąkały jej sarkazmy i brutalności, świadczy choćby następujący wyrażeń paralelizm. „Duchowi memu dała w pysk i poszła" — powiada Fantazy do Rzecznickiego. Pamfil, w rozmowie o wzejściu słońca (scena II), szerzej to wyrażenie rozfilozofywuje: „Trudno przewidzieć, gdzie wejdzie — dziwne ma gusta! Raz ledwom mu w złotą nie zamalował papę... Patrzysz zdziwiony? — Czy myślisz, że słońcu nie można dać w pysk? — Panteistycznie biorąc rzeczy, będzie to sacrilegium — ale jest rzeczą podobną".—Cała znowu scena I nosi tak wybitnie apostolski charakter, że mogła się zrodzić tylko w chwili, gdy poeta już stanowczo przechylił się na stronę „nowych myśli." Oto, naprzód, wyraźna apostrofa Chrystusa:

„O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańska! przychodzi godzina, że będziesz rozwaloną i rozbitą jak naczynie garncarza.

Dla czegoście wy mury nie szły na południe? .... Stałyście na miejscu jako morze bez fali, zasypiałyście jako trumny ołowiane: *gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było was.*

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przyszedłem w nocy cichej z matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły;— przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą i powitał.

Albowiem już nie tamta, która stoi nad potokiem Siloe w cieniu drzew oliwnych, ale ty jesteś Jerozolimą moją i grobem moim."

Dopełnieniem tych słów brzmi głos z mogiły Wandy:

Skoczyłam do Wisły, cała w zbroi,
Kiedy biła godzina rozpaczy:
Dziś na grobie moim Chrystus stoi...

A gdy Marya, popierając błagalną prośbę, pyta syna, czy nie może dzieweczki podnieść z grobu, oto jaką pełną znaczenia słyszymy odpowiedź:

„Ujrzeliby ją i nie uwierzyliby ani w miecz jej, ani w duszę jej, ani w piękność jej. — Z mogiły jej wyprowadzę siedm kwiatów białych, i to będzie siedm oliw moich pod któremi płakałem.
Tu, w ogrodzie bieli, proście..."

Wspomnieliśmy powyżej (w odnośniku), że nastrojem cały ten ustęp dramatu wiąże się bezpośrednio z czterema scenami pierwszego urywka. Z treści wszakże wygląda on raczej na nowe zagajenie przedmiotu — inną tym razem, analogiczną z Goethowskim „prologiem w niebie" (Nun gut! es sei dir ueberlassen!) sceną oddania bohatera pod władzę szatana:

Chrystus. Dozwoliłem, aby człowiek ten oddany był na pokuszenie i spróbowany w ogniu.

Ale poeta szybko zniechęcił się i do tej nowej próby, która zaraz w drugiej scenie utknęła mu znowu na przydługim stosunkowo, folklorowym epizodzie z krakowiakiem. Co więcej, zaczął, zda się, nieco lekceważyć napisane dotąd ustępy i uważać je za materyał raczej do jakichś rodzajowo-ludowych „komedyjek". „Marzę sobie — pisał do matki 2 sierpnia 1842 r. — jakto my kiedyś zamieszkamy w skromnym dworku z owocowym sadem, jak będziem mieli co wieczór kilku miłych przyjaciół, a czasem pójdziemy do żydowskiej szopy, gdzie przy łojowych świeczkach będą włóczący się aktorowie *grać komedyjki, umyślnie dla ciebie napisane;* potem przy xiężycu będziemy wracali do domu, a ty się, droga, „*jeszcze będziesz śmiała z jakiego Hrycia lub Hawryły.*" Omal przeczytaćby można: „z jakiego Grażułasa lub krakowiaka". To też, nie omylimy się, sądzę, — twierdząc na podstawie tego wszystkiego, iż dwie pomienione sceny powstały w lipcu r. 1842.

Z „nawróceniem" — zmieniło się wszystko w Słowackim: całe usposobienie, poglądy, dążenia, czytelnictwo, plany wreszcie i zamiary twórcze. Cały rok — od jesieni 1842 do jesieni 1843 — widzimy go pogrążonego w pracy nad udoskonaleniem samego siebie, w gorliwych wysiłkach apostolskich, w Biblii, Platonie i Kalderonie, z dzieł zaś własnych — w *X. Marku,* przekładzie *Księcia Niezłomnego* i *Śnie srebrnym Salomei.* Wszystkie dawne tematy i projekty zostały odsunięte na bok — mamy wrażenie, że nawet kaskada oktaw *Beniowskiego* w ciągu tego roku się zatrzymała. „Przeszłego mego życia nie żałuję" — czytamy w liście do matki z 18/III 1843 r. — „ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły,

są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym, ale dzięki Panu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej, a to, co zostało, nie będzie stracone". Dopiero po powrocie z pierwszej wycieczki nad ocean, gdy przyszło owo nowe „mocne pchnięcie od Boga do pracy", poeta jął przypominać sobie i dawne tematy, próbował niektóre przerabiać, ciągnąć dalej czy też rozpoczynać na nowo — i wtedy to niewątpliwie, w trakcie pisania *Agezylausza* oraz *Zawiszy*, lub snadź wcześniej jeszcze, powstały także obie zastanawiające analogicznością pewną parabazy — w *Beniowskim* i w *Złotej Czaszce*. Jakże atoli w parabazie *Beniowskiego* zmienia się dotychczasowy bohater. Nie „awanturnik" to już z poematu, nie „człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy", nie Faust nawet, lecz „najśmielszy z rycerzy", nowy książe niezłomny, którego serce „się nie skruszy, wielką dotknięte żałością". I ogólny charakter utworu — o ile wnioskować z wyłożonego w parabazie planu — zasadniczej miał uledz zmianie. Faustyzm cały, cały dramat metafizyczny miał być usunięty do prologu czy jakiejś większej części przedparabazowej. Po parabazie miał się rozpoczynać dramat właściwy, dramat czynu, który zdają się wieścić słowa „matki umarłej":

— — — — — — — — — Mój synu!
Czemu ty próżnym myślom oddałeś się cały —

albo dramat cierpienia i niezłomności, dający się przeczuwać z przepowiedni Hektorowego cienia:

Jak ja pod Troją — zginiesz i płomieniem
Będziesz pożarty — reszta jest milczeniem...

Podobnie i w parabazie *Złotej Czaszki*, poeta czyni z całej gotowej części jakgdyby wstęp rodzajowy do właściwego dramatu, który się zacznie z chwilą, gdy przed spokojnym zakątkiem zakołysze się:

Las pływający rozwiniętych znaków,

a do ścian cichego domku, „kędy jasna kolenda w przyćmionej piekarni płakała," nagle wyrocznym dźwiękiem zapuka nieszczęście. — Wysoki, uroczysty patos obu tych intermedyów lirycznych pochodzić może jedynie z owego schyłku r. 1843, gdy Słowacki tkwił cały w wierze, iż „...tylko czyn, nie zaś bynajmniej prosta i wnętrzna świętość," iż „wszystko na ziemi robić można, byle zawsze przed oczyma mieć drogę prostą, jedną gwiazdę — Boga — zdobycie przez ducha swego czynami ciała nieśmiertelności ducha" (do matki, 28/XI

1843). I obie parabazy wszakże pozostały niedokończone. Do *Złotej Czaszki* już poeta nie wrócił, w *Beniowskim* zaś zrzekł się osobistego apostrofowania i zastąpił liryczną zapowiedź ekspozycyą dramatyczną, która zresztą nie wyszła również poza dwie sceny: w Czarnym Zamku i na szczycie gór nad Morskiem okiem. Kiedy ta ostatnia powstała przeróbka, stwierdzić trudno z całą pewnością. Może gdzieś w pierwszej połowie r. 1844. Że jednak nie zaraz po parabazie, świadczy ton i styl w każdej z obu prób zupełnie inny: uroczysty, patetyczny w urywku lirycznym, — prosty, zwięzły, niekiedy rodzajowy w dyalogu z ks. Markiem.

Tak tedy, po czterykroć powracał poeta bezowocnie do dramatu o swoim ulubieńcu. Jakby klątwa jakaś wisiała nad imieniem i tematem Beniowskiego, ani poematu o nim nie skończył, ani żadnego z owych zagajeń dramatycznych, z któremi tak wysokie wiązał nadzieje. Ale nienadaremne były te wysiłki, bo — drogą tajemniczych przetworzeń wnętrznych, drogą cudownej ewolucyi twórczej — powstały z nich inne „pieśni," które „nie przeminą." Spieniona rzeka oktaw *Beniowskiego* przelała się w wielkie morze rapsodów *Króla-Ducha* [1]), a z prób faustycznego dramatu wyłonił się ten jedyny w swoim rodzaju, niedokończony, nieopracowany ostatecznie, luźno nader związany w swych częściach, a mimo to nadarcydzielny utwór, który znamy pod nazwą *Samuela Zborowskiego.*

---

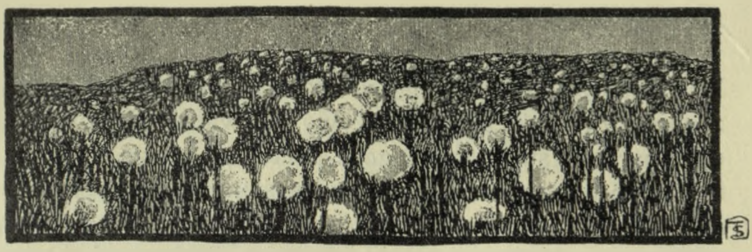
[1]) Por. *Nieznane fragmenty i waryanty Beniowskiego*. Gaz. lwowska 1902.

[Mimo wielkiego braku miejsca w ostatnim zeszycie, pragnęliśmy zapoznać czytelników *Chimery* bodaj z pierwszemi rozdziałami tej pracy. Sprawa ustalenia chronologii pism Słowackiego, wobec zapowiadanych nowych edycyj, wzbudzić powinna sama przez się pewne zainteresowanie; chcemy wierzyć, że nie wyczerpie go kronikarska strona bibliograficznego faktu. Próba wyczytania przybliżonej daty utworu z jego treści, wobec tak bujnej ewo-

lucyi ideowej Słowackiego w latach najpłodniejszych, oraz z impulsów twórczych, tak żywo odzwierciadlających się u najbardziej subjektywnego z poetów, — może i powinna zaostrzyć baczność na wiele piękności, zagubionych w komentarzach opacznych i w uwadze czytelnika niedostatecznie zoryentowanej co do kierunku duchowych i uczuciowych nurtów poety. Pył tych komentarzy zetrzeć, uwagę i wrażliwość na właściwy ton nastroić, — oto między innemi zamierzenie tej pracy. Może już te pierwsze rozdziały będą czytelnikom *Chimery* podniętą do zagłębienia się w pięknie utworów, o których mowa.

Kogo poruszone tu sprawy twórczości Słowackiego zainteresują, — znajdzie ciąg dalszy w wydaniu książkowem.]

Ż. P.



Dwa sonety.

SONET 64.

Gdy widzę, jak tu czas potęgą bezlitosną
Pomniki dumnych lat obraca w gruzy zgliszczy,
Jak na ruinach wież milczące trawy rosną,
Jak wiecznotrwały spiż zaciekłość ludzka niszczy;

Gdy widzę, jak na koszt piaszczystych swych wybrzeży
Ocean głodny wciąż rozrasta się, a za to
Z wód, pokonanych znów, ląd się wyłania świeży,
Jak stratę zmienia zysk, a zysk się staje stratą;

Gdy widzę zmienne to wielkości falowanie,
Albo wielkości treść, że w niej czerw' zawsze gości, —
Ruiny uczą mnie myśleć, że czas nastanie —
Złowrogi czas, co mej pozbawi mnie miłości...

— Ta myśl jest mi jak śmierć, powstrzymać łez niezdolna,
Że swój najdroższy skarb z dnia na dzień traci zwolna. —

SONET 66.

Strudzenie wszystkiem tem snu śmierci we mnie woła:
Widziałem dość, jak cna zasługa żebrać musi,

Jak nędzna nicość wkrąg zadziera w szychach czoła,
Jak i najczystszą z wiar krzywoprzysięstwo skusi;

Jak czci złocisty blask haniebnie ścmiony bywa,
Jak się dziewiczych cnót brutalny nierząd ima,
Jak prawość wszelka łask nie zazna, póki żywa,
Jak siła wobec władz nikczemnych mocy nie ma;

Jak powag nacisk wciąż — niewolną sztukę czyni,
Jak mądrość wiecznie tu podlega głupstw kontroli,
Jak szczera prawda jest grubjaństwem dla opinii,
Jak służy panu-złu rab-dobro poniewoli...

Znużony wszystkiem tem, odszedłbym; lecz czyż mogę,
Rzuciwszy miłość mą, samotnie iść w tę drogę?



PRZEŁOŻYŁ
Kazimierz Błeszyński

William Shakespeare.



AUBREY BEARDSLEY. VI satyra Juwenala.

OJCZYZNA.

W pewnym sklepie spożywczym, na wystawie okiennej stało masło.

Masłu temu sklepikarz, przez patryotyzm, nadał formę piramidy, z wyżłobionym na frontonie napisem:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Masło, ściśle biorąc, nie nadaje się do rycia w niem godeł monumentalnych. Na maśle łatwo coś wyryć, ale i zamazać nietrudno. Niejaka twardość w materyale, przeznaczonym na monument, jest nieodzowna. Twardość nawet masłu, jako takiemu, nadaje pewną zaletę, i dlatego wolimy je w formie twardej osełki raczej, niż w kształcie bryły.

Uznając jednak masło za nieodpowiednie na posąg, nie chcemy przez to dyskredytować jego użyteczności pod względem spożywczym i handlowym.

Zresztą, nawet, jeśli się to komu podoba, niech sobie utrwala swój patryotyzm i na maśle. Owszem, niech sobie w niem rzeźbi:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Każdy wybiera do ujawnienia swych uczuć patryotycznych i innych taki materyał, jaki mu się wydaje najodpowiedniejszym.

Wprawdzie, co do nas, wolelibyśmy tę inwokacyę do Boga o zbawienie ojczyzny utrwalić w jakim materyale twardszym, naprzykład w bronzie, w marmurze, w złocie, w śpiżu, w granicie, albo w duszy ludzkiej. Lecz trudno. Nie możemy zabronić panom

utrzymującym sklepy spożywcze mieć własnych o patryotyzmie i o sztuce rzeźbiarskiej przekonań. Jednemu podobać się może katedra, przypuśćmy, z czystego białego marmuru; inny będzie wolał mieć katedrę z czekolady, ponieważ zjeść ją można, a marmuru nie ugryziesz.

A zresztą, bodaj że i nie powinno nam znów tak bardzo chodzić o utrwalenie tego napisu:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Wszakże nie o to chodzi, żebyśmy się ciągle o zbawienie ojczyzny modlili, tylko o to, żeby ta ojczyzna nareszcie była zbawiona. A wtedy co? Przypuśćmy, że Bóg wysłuchał napisu tego i ojczyznę nam zbawił. Cóż wtedy? Zostanie monument marmurowy z tym napisem:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

i będzie sterczeć, jako zbyteczny, pusty anachronizm. Co z nim robić, kiedy już ojczyzna zbawiona? Chyba rozbić młotami.

Jeżeli zaś napis ten będziemy ryć (w mądrem przewidywaniu, iż Bóg nam ojczyznę w końcu zbawi) — na maśle, to w wypadku, gdy nagle ojczyzna ulegnie zbawieniu, cały pomnik maślany można będzie z radości — zjeść...

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Ileż to widzimy dziś katedr oraz innych pomników i rzeźb, w swoim czasie, kiedyśmy się o coś do Boga modlili, potrzebnych, ale dziś, skoro już mamy wszystko, absolutnie wszystko, stojących zbytecznie po placach, ulicach, muzeach i cmentarzach.

Natomiast, jakaż dziś byłaby korzyść spożywcza, jakież byłoby słodkie wesele, gdybyśmy w swoim czasie do budowy tych katedr, pomników i rzeźb użyli byli czekolady lub masła?

Po bokach napisu tego:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

były przez sklepikarza wyobrażone dwa ptaki, które najniezawodniej miały być, jak to z pewnych oznak, a mianowicie z garbatości dziobów ich, sądzić należało, — orłami, ale które nieudolność rysunkowa patryoty i nieodpowiedniość materyału zrobiła podobnemi raczej gęsiom albo jastrzębiom. Do gęsi upodobniał je tułów gruby i tłusty (ile że z masła), a do jastrzębi — krzywizna dziobów.

Bądź co bądź jednak, ptaki te, orło-jastrzębio-gęsiowate, zdawały się, gorliwiej może od samych czystych orłów, na piramidzie maślanej krzyczeć:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Nie możemy brać za złe sklepikarzowi tej herbowej zagmatwaności i tego niejako sprofanowania orłów, a raczej — ponieważ wyraz profanacya trochę tu brzmiałby za twardo w stosunku do masła — tego orłów zjastrzębienia i tego ich gęsiostwa.

Brać sklepikarzowi za złe tego nie możemy, bo zacna, poczciwa tendencya ujawnienia patryotyzmu na maśle winna go od zbyt surowych naszych zarzutów krytycznych ubezpieczyć.

Ten pomnik maślany codzień się zmniejszał, ponieważ sklepikarz co dzień — źle mówię: — co godzina, i częściej, odkrawał z niego skibkę masła na sprzedaż.

Więc naprzód znikł z piramidy, zwolna odkrawany, lewy orzeł, czyli gruby i tłusty jastrzębio-gęś o orlim tytule.

Potem, stopniowo, sklepikarz zaczął odkrawać po literze z wyrazu BOŻE, tak, że w pewnem stadyum tego rozbiorowego procesu, kiedy została tylko ostatnia litera boska, czytać można było na piramidzie taki napis:

E, ZBAW OJCZYZNĘ!

Później zakupiono i zabrano pajdkę masła z literą E — z tym ostatnim śladem wezwania ku Bogu, i z literą Z — pierwszą literą od wyrazu ZBAW. Na piramidzie zostało:

BAW OJCZYZNĘ!

Dalej, nieugięte wymagania komercyjno-spożywcze pochłonęły wyraz BAW, tak że został tylko sam jeden przypadek czwarty:

OJCZYZNĘ!

Wyglądało to z jednej strony tajemniczo i mistycznie, a z drugiej — miało charakter jakiejś swobody i poniekąd samowoli gramatycznej, ponieważ każdy, kto w danym momencie tę resztkę modlitwy na maśle oglądał, mógł sobie do tego rzeczownika w czwartym przypadku dobierać czasownik, jaki mu się żywnie spodobało. Mógł sobie myśleć: *kochaj* (OJCZYZNĘ), albo *kraj, tnij, rozbieraj, sprzedawaj, top, smaż* na maśle i *jedz* (OJCZYZNĘ). Wogóle, rób z nią, co ci się zachce.

Sklepikarz — któż wie? — może i dopowiadał sobie w duszy:

kochaj (OJCZYZNĘ)! Na zewnątrz przecież objawiało się to w formie coraz większego i *postępowszego*, że tak powiemy, jej ukrawania.

W pewnym czasie tego rozkładowego postępu, czyli tego spożywczego postępowania, na piramidzie maślanej widniała jedna tylko litera, ostatnia:

Ę!

Był to niby, z jednej strony, tajemniczy i mistyczny *jęk*, a z drugiej strony robiło to wrażenie zwykłego, codziennie mówiąc, spożywczego stękania po zjedzeniu trzech czwartych tego patryotycznego monumentu z masła.

Trzech czwartych powiedzieliśmy, bo została jeszcze ostatnia jego ćwiartka, z prawym orłem, czyli gęsio-jastrzębiem.

Ale i ta ćwiartka, podobna do tającego w herbacie kawałka cukru, stopniowo malała, malała... Gruby i tłusty orło-jastrzębiogęś utracił naprzód łeb, potem szyję, potem brzuch, aż wreszcie znikł z powierzchni maślanej całkiem.

Ostatnia, najostatniejsza cząstka piramidy, ta nieostemplowana niczem, zachwiała się też wreszcie, runęła i została sprzedana po cenie zniżonej, jako resztka.

W oknie sklepikowem czas jakiś nie było nic monumentalnego. Ale ten stan apatryotyczny trwał krótko.

Pewnego dnia przechodzień, który stopniowe zmniejszanie się piramidy i jej stanowczy zanik obserwował i który, nie widząc w oknie już nic pomnikowo-patryotycznego, ze smętkiem zapytywał siebie: zali w sklepiku wszystek patryotyzm już wyszedł? — miłego doznał wrażenia, ujrzawszy nagle za szkłem sklepikowem:

OGROMNĄ DZIEŻĘ ŚMIETANY!

Na śmietanie tej nie było już, niestety, ani żadnych godeł patryotycznych, w rodzaju orłów lub choćby gęsi, ani też żadnych modlitewnych ku Bogu wezwań.

Ten brak dawał się, z jednej strony, bardzo pozytywnie i codziennie wytłómaczyć tem, że na śmietanie zgoła niemożebnem jest pisać, ryć lub rysować, i że sztuka w stosunku do śmietany nie ma żadnego zastosowania, zwłaszcza jeśli pisanie lub rysunek mają *trwać*, choćby króciutko.

Śmietana jest to żywioł smaczny — ale taki, że na nim, przejechawszy palcem, można wprawdzie coś nie coś wyryć, choćby OJCZYZNĘ, — na moment; utrwalić jednakże tego wyrazu na śmie-

tanie nie sposób. Trzeba czekać przynajmniej aż zostanie masłem. Śmietana, nakształt lawy białej, wszelkie, by najkrótsze wyrazy patryotyczne zalewa.

To jeden, pozytywny powód, dla którego śmietana w dzieży nie miała na sobie stempla.

Drugie, mistyczne wytłómaczenie tego mogło być i takie:

Oto prośba o zbawienie ojczyzny na maśle została wysłuchana, i—jako widomy symbol tego wysłuchania—zjawia się w oknie sklepikowem:

OGROMNA DZIEŻA ŚMIETANY.

Stemple i herby już zbyteczne.

Śmietany białość to z jednej strony (codzienno-pozytywnej) — białość gęsia, a z drugiej strony (mistycznej) — białość orla. I tę śmietaniczną, podwójną białość orlo-gęsią ruchem statecznie okrągłym obejmuje jastrzębio-spożywcza sklepikarska dzieża.

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Jan Lemański.



MÓL I SENTYMENTALIK.

Nie bajka. Rzeczywistość.

Sentymentalik chodził po pokoju bezwiednie, wielkiemi, cichemi, smutnemi, zadumanemi, niemal łkającemi w niemem cierpieniu krokami. W piersiach nosił ból, szarpiący ból—bezmierny, skubiący.

Bo było to w epoce, gdy ból noszono w piersiach i w spojrzeniach, gdy z cynicznością jawnej prostytucyi zalał on fotografie i nędzne portrety; gdy ci, którzy zbyt słabe posiadali piersi, by dosyć silnie studzić oddechem własnym wartki żar „Przeznaczenia," i których życie sparzyło, — bezsilną wyobraźnią uogólnili szybko z własnych pozorów Wielkie Niezbadane, jak przyjęto mniemać, i wyrośli nagle na Dalaj-Lamów Cierpienia; w epoce „zaświatowców" Bólu, Mistyków urojenia, Bezosobowych Indywidualistów. Wieczny im spoczynek.

Sentymentalik Bólu chodził po pokoju. Ten Ból niepojęty, dziwny, mistyczny... Jak on się przejawia w każdym ruchu, w każdym smutnym kroku. Ten Ból tajemniczy, Ból zaświatowy. — Głębia! Ten „święty, potężny, zapładniający." A ten niepokój rozczulony, dziwny, niezwykły...

Sentymentalik zwolna chodził po pokoju. — Zmierzch zapadał, szary, silny w tonie w pokojowych głębiach, jak silna była walka popołudniowego słońca z ciężkiemi chmurami. Nadchodziła godzina najcichsza, najgłębsza, droga wszystkim słabym, wszystkim kieszonkowo-drobniutko-występnym i wszystkim, co tęsknią. — Maleńki mól, szaro żółty, wątły, wypełznął zwolna z pod starej kanapy w najciemniejszym kącie i zaczął krążyć cicho, bez szelestu i bezcelowo, zda się, wśród cieniów pokoju. Istota najsmutniejsza, trocinka fruwająca. W smudze światła wpadającej przez drzwi balkonowe spotkał się z człowiekiem. Tego już ból zdenerwować zdążył. —

Och, to istnienie! Życie jest cierpieniem, śmierć wyzwoleniem. Nic tylko pokusy...

Ale znów tylko cierpienie zapładnia i tworzy. Tworzy sztukę, absolut, coś, co się nie zmienia, coś, co jest wieczyste, co się nie zużywa, absolut, absolut — największa oszczędność. Gdy kogoś na nic nie stać?..

I zapomniane, wyeliminowane Życie mściło się rozdrażnieniem. Przedtem ból, teraz znowu mól. Sentymentalik schylił się klaszcząc w dłonie, jak nie oklaskiwał nigdy najboleśniejszej „tragedyi" przeznaczenia. Lecz okoliczności, które gubią silnych, pomagają słabym; zginęliby inaczej. Powiew wiatru zniósł mola ku oknu. Nowy oklask wstrząsnął wieczornem powietrzem. Mól usiadł na szybie. Teraz walka krótka, — mól drałuje szybko, człowiek się skrada i wyciąga rękę.

„Umrze odrodzony przy szybie Mallarmé'go. — Czy nasza szyba nie jest dla mola oknem na Niepojęte?"

Lecz przerażony światłem mól, mały, szaro-żółty, bezwiedny i ciemny, nietylko nieświadomy niezłomnego fatum, lecz nawet narzędzi, jakiemi go ścigało, — sfrunął, zatoczył koło i cicho usiadł na nodze człowieka. Sukno! Już się uspokoił. —

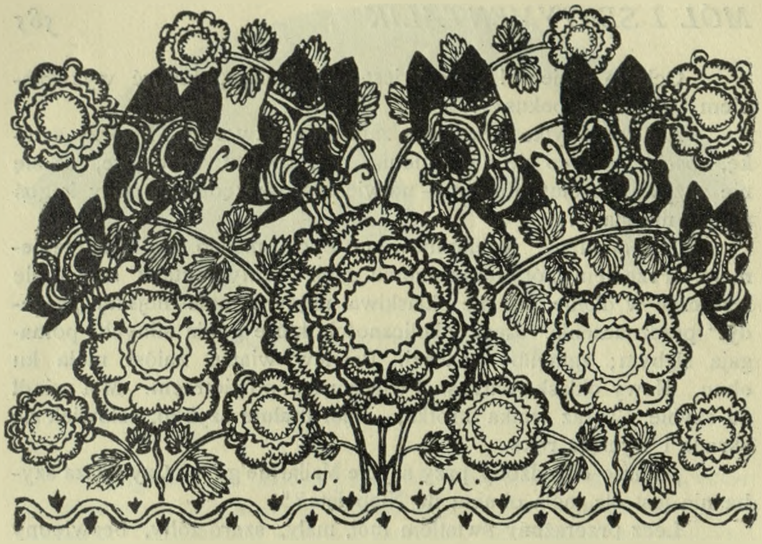
Sentymentalik patrzył przez chwilę zdziwiony. Książki się zbudziły.

„Ścigana ofiara padła dobrowolnie, wyczerpana walką, w ramiona prześladowcy. Fakirzy. Cześć dla stworzeń. Mrówki po najczarniejszym chodzące marmurze. Cześć dla zwierząt. Stara Europa. Cześć dla słabych. Szlachetność. A on przecież nie ma najmniejszej świadomości, ani swej małej winy, ani swej wielkiej, bezwiednej, bezświadomej, świętej trwogi przed Niepojętem. A przy tem jestem tak wielkim panteistą. „Żem panteista trochę i romantyk." I ta dziwna, piękna, mistyczna ufność istoty słabiutkiej. A wreszcie gościnność. Potomkowie słowian..."

Zmrok zapadł zupełny. Zkądś z czwartego piętra doleciał fortepian, — dalekie dźwięki, fale tęsknicy słowiańskiej, fale bólu twórczego. W konającem świetle. Śmierć — śmierć. Przeznaczenie. — Swobodnem skrzydłem mól zatoczył koło, cicho, bez szelestu, trocinka fruwająca.

„I przytem mól się rymuje z bólem, dziwne" — rozmyślał na kanapie sentymentalik o nieświadomej i niewiadomej głębi.

Kazimierz Błeszyński



W pamiętniku.

Nietylko, pierw się najadłszy Mandragor,
Błądziły w Limbach szalone kobiety;
Nietylko Dante i trzeźwy Pythagor —
Byłem i ja tam... pamiętam, niestety!

Że byłem? tomów dwunastu na dowód
Pisać?.. sił nie mam, bo myśl mię udławia;
Jestem zmęczony! wolę jechać do wód —
Nie na wyjezdnem się o piekle mawia!

Wolę — gdzieś jechać, w pilnym interesie,
Patrząc przed siebie z obłędu wyrazem,
Wieki *potrącać, jako grzyby w lesie,*
Ludzi, Epoki!.. *mieszać wszystko razem —*

Być tam *i* owdzie — *w* on *czas,* dziś *i* potem,
Jako się wyżej albo niżej rzekło;
A nie równiejszym wracać kołowrotem,
A nie odpomnić, że zwiedziłem Piekło!..

Lecz pytasz: „owdzie, co tak wielce trudzi,
I które z bliskich spotkałem postaci? —“
— Tam braci niema, ni bliźnich, ni ludzi,
Tam tylko studia *nad sercami braci!..*

Tam uczuć niema, tylko ich sprężyny
Zdające z siebie wzajemny rachunek,
Do nieużytej podobne machiny,
Puszczonej w obieg przez pęd lub trafunek.

Tam celów niema, lecz same rutyny
Pozardzewiałe — i niema tam wieków —
Dni — nocy — epok — tam tylko godziny
Biją, jak tępych utwierdzanie ćwieków.

Nieokreślone pierwej cyfrą stałą,
Lecz fatalności pchnięte raz ostrogą,

Nie znaczą wcale, co? kiedy? się działo —
W godzinę, wybić liczby jej, nie mogą!

Rzekłbyś — w Tytańskim z wiecznością zapasie
Mniejsza! czy biją minuty? czy lata?
Iż każda wątpi o sobie i czasie —
Każda dogania się, lecz nie ulata...

Jakby wcielonej ciągle puls Ironii:
Słysząc, wiesz naprzód i wiesz ostatecznie,
Że z godzin żadna siebie nie dogoni!
Że nie wydzwoni siebie, dzwoniąc wiecznie!

A ten systemat sprężyn, bez ich celu,
Jakby tragedya bez słów i aktorów,
Jak wielu nudów i rozpaczy wielu
Muzyka gwałtem szukająca chorów:

Raz w raz porywa spazmem za wnętrzności,
Jak niezwykłego do morza człowieka;
Tylko nie spazmem nudy, lecz wściekłości,
Który, sam nie wiesz, zkąd? i po co? wścieka.

Wtedy to próba *jest, wtedy jest waga,*
Ile? nad sobą wziąłeś panowania;
Wartość się twoja ci odsłania naga —
I oto widzisz, ktoś-ty?.. *bez pytania.*

I ileś zwał się tym lub owym w Czasie?..
Lub byłeś zwany imieniem twych dziadów, —
Widzisz — i ile? nabrałeś sam na się
Z tragedyi? tonu? stylu? lub przykładów?

Co raz, to z ciebie jako z drzazgi smolnej
Wokoło lecą szmaty zapalone;
Gorejąc, nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, *ma być zatracone?*

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? — czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyament,
Wiekuistego zwycięztwa zaranie!..

Lecz — prawić o tem i prawić na dowód,
Że byłem owdzie? — myśl sama udławia!
Jestem zmęczony... wolę jechać do wód,
Nie na wyjezdnem o Piekle się mawia.

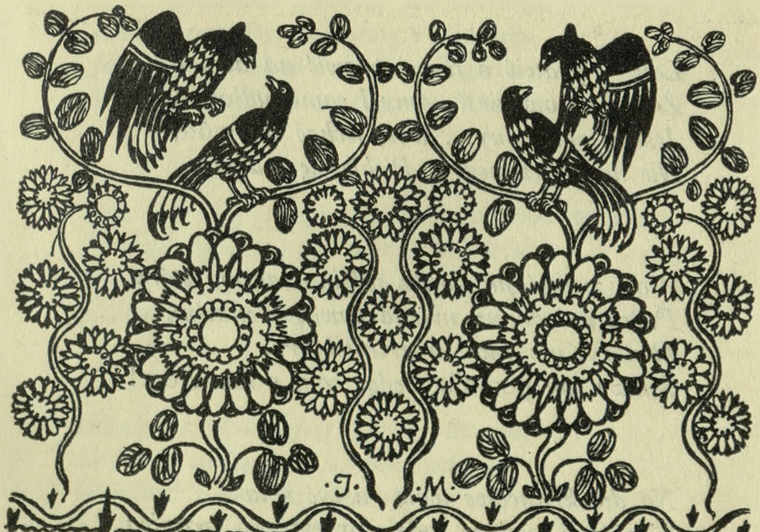
Wolę wsiąść na koń z jakim drabem, który,
Prócz ze swoimi, nierad bywać z nikiém,
Historyi nie zna, ni architektury,
Milczy jak pomnik, *będąc sam* pomnikiem!

Na dwukrańcowe wolę ruszyć szlaki
Krajów i wieków, gdzie przestrzeń *granicą,*

Granica? — *czasem... i gdzie, z nad kulbaki*
Patrząc, firmament cały?.. okolicą!

[Z prologu do fantazyi:
ZA KULISAMI.]

Cypryan Norwid.



Kronika.

JAN STANISŁAWSKI

ur. 1860 r. w Olszanie — zm. w Krakowie 6/I 1907.

Powielokrotną przez śmierć jego sztuka polska poniosła stratę. Ubył jej artysta świetny, znawca o kulturze ogromnej i nawskróś wyrobionym smaku, entuzyastyczny a niezłomny przewodnik nowych generacyj malarskich, organizator sprężysty błąkającej się nieco gromady „dobrych twórców,“ działacz we wszystkich związanych ze sztuką sprawach nieutrudzony, człowiek, od którego ożywczo rozlewały się wokół ufność, zapał, energia i pogoda.

Jako artysta—należał Stanisławski do owego rzadkiego typu bezwzględnie szczerych, bezdennie prostych, nawet o sobie —gwoli tworzeniu swemu, gwoli „swojej prawdzie“ —zapominających twórców. Żadnej w nim narcyzowości, żadnej rozlubowanej w swych sposobach i sposobikach wirtuozyi, żadnej zadowolonej z siebie maniery, żadnej wreszcie interesowności, szukającej najefektowniejszych i najpodatniejszych dla siebie tematów. Pełny greckiej jakiejś czy prasłowiańskiej pogody i radości życia, widział w naturze i jej świetlnych transfiguracyach niezgłębione piękna morze—i przed każ-

dem zjawiskiem stawał z jednako rosistą wrażenia świeżością, z jednakiem dziecięco prostem i naiwnem wzruszeniem, z jednako twórczą zadumą, jakby to nowe widzenie w nowy, jedyny sposób barwą i linią na płótnie wyczarować. Ztąd ciągła „odmienność" jego tworzenia, ztąd owa niezaznaczona dotąd należycie, ogromna, nieustanna w jego pejzażach ewolucya. W niepoliczonych seryach drobnych swych obrazków, olbrzymią przebył on drogę—coraz głębiej wglądając w naturę, coraz bardziej wychodząc poza jej materyalność, coraz bliżej docierając do owych jej krańców, które już rąbek przysłania tajemnicy. By go poznać istotnie, całą pielgrzymkę odbyć trzeba — od najdawniejszych, majstersko kończonych, lecz jeszcze niedość osobistych *coins de nature,*—poprzez głęboko sentymentowe zmierzchy i sady ukraińskie, poprzez mistyczne pochylenia i drżenia czarnych topól nad wodą, poprzez heroiczne zapasy ze słońcem na złotych kopułach cerkiewnych, poprzez wizyjnie prześwietlane, jakby niemateryalne św. Marki, poprzez bezbrzeżne melancholie rdzawych, spalonych pustyń stepowych, poprzez senne zciszenia wilgotnych patyn na słupach lagun weneckich, poprzez hejnałowe upojenia edeńsko rozkwieconych ogrodów, poprzez transfiguracyjne sezamy barw i blasków, wyczarowywanych z pozornie szarych chałup wiejskich, poprzez szeroko epickie Dnieprów panoramy czy wiatraków straże, poprzez inkrustowane wprost na płótnie Weron i Sien ballady, poprzez legendą pachnące Wawele, Tyńce, Tenczynki,— aż ku coraz syntetyczniejszym wizyom wieczyście kołujących pór roku,—aż ku coraz dramatyczniejszym niebom, zawładającym stopniowo nad resztą pejzażu,—aż ku cofniętym w marzeniowe już czysto oddale zameczkom italskim czy strzechami jeno z dna jaru wyzierającym wioszczynom ukraińskim,—aż ku coraz bardziej wyzwolonym *snom światłości* na temat tego, co rzeczywistemi krajobrazami zowiemy. Anegdota, przedmioty, szczegóły, bryłowatości nigdy u Stanisławskiego — z wyjątkiem najpierwszych, mniej osobistych początków — przeważnej nie grały roli. Od chwili owładnięcia sobą, widział on z nich wyłącznie to tylko, co zaznacza się w świetle, tylko *granie* ich w słońcu czy cieniu, tylko plam barwnych przelewność, tylko sylwet ruchliwy charakter, tylko światłości falowanie. A jakieś uczuciowe, rozkochane, zachwycone światłości owej twórczej traktowanie sprawiało, że nie była ona nigdy zimnem roziskrzeniem, fajerwerkiem olśniewającym, grą obojętną barw i blasków, lecz jakby żywą duszą świata, wędrującą po ziemi i czarodziejskie, melodyjne śpiewającą o niej baśnie. I właśnie ten liryzm głęboko uczuciowy, ta bukoliczna *śpiewność* krajobrazów Stanisław-

skiego— zapewniały mu własne, odrębne, wysokie, twórcze stanowisko nietylko wogóle, w bogatych dziejach pejzażu z ubiegłego stulecia, lecz i w ściślejszem kole luministów *par excellence.* — Pod koniec życia artysty, owe dźwięczne, przeciągłe pieśni o naturze — głębszych jeszcze, organowych jakichś zaczęły nabierać tonów; subtelne, wnikliwe impresye w szerokie, zadumane jęły się mienić marzenie; w głębokich syntezach coraz więcej migotało nieuchwytnych, zaświatowych, — rzecby, metafizycznych pierwiastków i akcentów; śmiałe stylizacye linij i transpozycye barw sięgały niekiedy aż do czysto rytmicznych esencyj natury, aż do tajemniczo symbolowych jej znaczeń. Że przypomnimy tu tylko ową mistyczną prawie autolitografię Tyńca (w *Tece grafików polskich),* której niespodzianość takie, w swoim czasie, nawet między dobrymi artystami osłupiałe wywołała zdumienie. Nowy rozpoczynał się tu okres twórczości — i śmierć nie była epilogiem skończonej pracy, lecz świeżego zerwaniem wątka.

Jako profesor, jako wódz młodzi artystycznej, — mało Stanisławski miał równych sobie. Siał w dusze własny entuzyazm gorący, rozniecał gorliwie każdą wrażliwość samodzielniejszą, żądał niezłomnie szczerości, energii i emocyi w realizacyach, trzebił nieubłaganie wszelkie pozerstwa, efekciarstwa i frazeologie, bez najmniejszego sobkostwa dzielił się z uczniami całą swą wiedzą, całą swą ogromną kulturą artystyczną, wymagając wzamian tylko zapału, umiłowania pracy, dzielności i radości twórczej. Kształcił nietylko oczy, lecz i dusze. Mistrzem był surowym, ale jednocześnie towarzyszem i przyjacielem i opiekunem serdecznym.

O znaczeniu Stanisławskiego, jako inicyatora i twórcy stowarzyszenia „Sztuka,“ które—przez wysokość swych postulatów, przez niezłomność w przeprowadzaniu swych dążeń, oraz przez świetność osiągniętych rezultatów, równie pod względem moralnym, jak materyalnym—tak kolosalną w dziejach naszej sztuki współczesnej odegrało rolę,—studyum osobne napisaćby można... i trzeba. Podobnież, ktoś z bliżej stojących wielostronnego i ożywionego krakowskiego ruchu artystycznego winienby szczegółowo rozpatrzyć ruchliwą niesłychanie, energiczną i owocną działalność Stanisławskiego, jako uczestnika, a często początkodawcy i organizatora, we wszystkich ważniejszych z tego zakresu przedsięwzięciach. I owe nieprzymuszone, samorzutne, częstokroć niespodziane sympozya artystyczne w cichem mieszkanku przy ulicy Pańskiej — również domagałyby się gorącego i szczegółowszego wspomnienia. Toć szło z nich nieobliczalne w skutkach promieniowanie zapału i energii, pogody i...

zgody, nie ustępczej, kompromisowej, lecz wynikającej z pominięcia drobnych niesnasek na rzecz wysokich, jedynych celów sztuki. Wszystko to znajdzie snadź urzeczywistnienie w zamierzonej zbiorowej książce o Stanisławskim, która bodajby jaknajprędzej ukazać się mogła.

Chimera żegna w nim jednego z najpierwszych i najentuzyastyczniejszych towarzyszy pracy; inicyatora — w czasie, gdy nikt jeszcze o tem nie myślał—owych znanych czytelnikom naszym autolitografij barwnych, które potem tak żywy ruch graficzny pociągnęły za sobą; przyjaciela wreszcie, obrońcę i propagatora dążeń naszych—aż do końca.

My sami ze smutkiem ślemy pozdrowienie ostatnie druhowi serdecznemu, z którym niejednokrotnie — czy to wśród natury, czy w skarbnicach muzealnych—przeżyliśmy wspólne chwile najszczerszych i najgorętszych uniesień artystycznych.

Z. P.

VARIA.

ZESZYT OSTATNI w więcej niż zdwojonej oddajemy czytelnikom objętości. Mimo druku wyłącznie prawie petitowego —zawiera on arkuszy 18, co drukiem zwykłym wyniosłoby około arkuszy 23, zamiast normalnie przypadającyeh na zeszyt — dziesięciu. Nadto, w całym tomie X-ym, daliśmy, zamiast zwykłych trzech plansz artystycznych, dziewięć różnorodnych reprodukcyj z dzieł sztuki plastycznej, nie licząc świeżo wykonanych frontispisów całostronnicowych i mnóstwa rysunków zdobniczych.

GŁOWA CHRYSTUSA, którą dołączyliśmy na czele tomu niniejszego, jest fragmentem centralnym z *Wieczerzy* Leonardowskiej, z owego zwolna doumierającego arcydzieła, o którem niezadługo snadź już prawdą się staną bolesne strofy d'Annunzia:

... lo specchio dell' Ideale,
o Poeti, la misura degli Eroi,
la somma dell' Arte,
il vertice del Pensiero e del Mistero,
il segno visibile dell' Immortale
muore, o Poeti, non è più.

Kto nie był w skromnym refektarzu medyolańskiej Najświęt-

szej Panny Łaskawej, nie ma, nie może mieć o tym arcytworze sztuki malarskiej najmniejszego pojęcia. W kopiach i reprodukcyach całej kompozycyi ginie zazwyczaj to, co ją wprost nadludzką czyni: ów wyraz twarzy Chrystusa, wyraz twarzy istoty stojącej „su la cima ultima della Conoscenza,“ wyraz twarzy Człowieka-Boga. Odtwarzając samo tylko oblicze, w większych skutkiem tego rozmiarach, spróbowaliśmy dać choć część właściwego wrażenia czytelnikom, którzy pielgrzymki do Medyolanu odbyć nie mogą. Radzimy przypatrywać się tej głowie niejednokrotnie, porównywając ją z Leonardowskim również, pierwszym szkicem Chrystusa z galeryi Brera, takim skończenie pięknym malarsko, a jednak takim—tylko ludzkim.

UPANISZADY Berenta wytwornie przyozdobił Edward Okuń rysunkami zaczerpniętemi wyłącznie z motywów indyjskich. Wrota naczelne są linijnem odtworzeniem srebrnego ołtarza; wzorów na nagłówki, zakończenia i przerywniki dostarczyły szale, porcelany, koronki, srebrne nabijania na zbrojach i wytłaczania barwne. — Zwracamy również uwagę czytelników na wspaniały frontispis tegoż artysty do *Marchołta* Kasprowiczowskiego.

ZE ZDOBNICZEMI RYSUNKAMI Odilona Redona (nowością u wielkiego tego artysty), towarzyszącemi z taką jedyną odpowiedniością fantastycznemu *Intermezzu* M. Komornickiej,— mogliśmy zapoznać czytelników naszych dzięki koleżeńskiej uprzejmości redakcyi miesięcznika *Wiesy* (la Balance), która z całą. dobrą chęcią wypożyczyła nam ich klisze. Składamy jej za to szczere podziękowanie.

WSPANIAŁY TOM utworów prozą Cypryana Norwida, w wytwornem tłómaczeniu niemieckiem p. J. P. d'Ardeschah, wyszedł nakładem znanej firmy księgarskiej J. C. C. Brunns'a w Minden. Przekłady poprzedza szersze studyum, w którem p. d'Ardeschah stara się dotrzeć do istoty twórczości Norwida, wykazuje wódzcze jego znaczenie nietylko w literaturze polskiej, lecz i powszechnej, z entuzyazmem wita tę gwiazdę pierwszej wielkości, wynurzającą się nareszcie z mgieł długiego zapomnienia nad horyzontem całej Europy duchowej,—i twardemi słowy zapomnienie owo piętnuje.— Tylko, co ma znaczyć zdanie, że „der Dichter nicht in seiner Muttersprache, sondern in einer Uebersetzung *zuerst* an die grosse Oeffentlichkeit tritt“? Toć przekłady nie były dokonywane z rękopisów. Zdanie takie może—zupełnie zbytecznie—łudzić Niemców, iż oni pierwsi odkrywają wielkiego twórcę, którego bezśladne przej-

ście przez życie jest — jak pisze jeden z najgłośniejszych poetów niemieckich—„hańbą ludzkości.“ Hańba ta jest przedewszystkiem udziałem naszych „historyków literatury i krytyków,“ którzy aż do ostatnich czasów, od Koźmianów i Wężyków, poprzez Nehringów, aż do Brücknerów, widzieli w Norwidzie tylko popsutego przez damy zarozumialca, tylko umysł pełny zagadkowych i niezrozumiałych myśli, tylko naśladowcę, „kopistę“ Słowackiego. Ale i Niemcy nie są od niej wolni. Toć od roku 1863 mieli pod ręką wydany u Brockhausa a pełny arcydzieł zbiór *Poezyj* norwidowskich, który do nas z trudnością się przedostawał, im zaś był zupełnie dostępny,—i nawet go nie zauważyli. A były to przecież jeszcze czasy, gdy „Muttersprache“ poety nie była obcą tym i owym inteligentom niemieckim...

NORWID PO NIEMIECKU zaalarmował nareszcie dzisiejszych naszych „historyków literatury i krytyków,“ którzy dotąd wzgardliwie ruszali ramionami na tę *lubie* „modernistów.“ Dziś już jest to dla nich — o metamorfozo! — „postać niezwykła,“ „duch wzniosły,“ dziś już dostrzega się z łatwością „piękności tające się nieraz pod osłoną ściśle zwartej (?) oktawy,“ dziś już objawia się ochotę do urzędowych z katedry „wyświetleń“ w sprawie poety „zajmującego na parnasie polskim własne a osobne miejsce,“ dziś wreszcie wydobywa się na jaw poematy, które „*od lat kilkunastu*“ miało się ręku i... chowało pod korcem, albo listy, o których nawet nie bardzo się wie, do kogo były zwrócone,—i drukuje się je z pełnem komicznej *Schadenfreude* zaznaczeniem, że są to rzeczy „nieznane nawet tym, którzy w sposób bliższy zajmowali się“ Norwidem. — Stara, znana *metoda „przyczynków.“* — — Możemy zapewnić was, łaskawi panowie, że dzięki zasługom waszych poprzedników, którzy zaprzepaścili wielkiego poetę, — ani wy, ani my nie znamy dotąd *całych może setek* jego utworów i listów. Szukajmy więc razem — i owszem. Ale bez blag „przyczynkowiczowskich.“ Pretensyj zaś do „wyświetleń“ możeby lepiej zaniechać, skoro się tak długo nic w tym kierunku nie umiało zrobić — i skoro wielkość poety została już wyświetlona — bez was i przeciwko wam.

POTĘŻNY GENIUSZ TWÓRCZY Mehoffera, którego dolą w kraju było spotykać komicznych znawców w hr. Lanckorońskich i komiczniejszych jeszcze sędziów w różnych, starszych i młodszych, kolegach po sztuce, dostrzegających w nim zaledwie „tęgiego malarza,“—należnej wreszcie, głębokiej i wielbiącej, w *Etudes d'art étran-*

ger p. Williama Rittera, doczekał się oceny. Gorąco polecamy tę książkę (wyd. *Mercure de France*) czytelnikom naszym. P. Ritter jest szczerym, zapalonym miłośnikiem sztuki, wędrowcem dawnym po wszystkich europejskich jej ogniskach, znawcą głębokim, jednako wyzwolonym z komunałów akademickich i z zacietrzewień młodokierunkowych. Obszerne, kilkudziesięciostronicowe studyum o Mehofferze oparł w przeważnej części na wszechstronnem rozpatrzeniu witrażów jego w katedrze fryburskiej. *Cicerone* to świetny, jedyny, po owych bajecznych, zwolna dopiero ogarniać się dających sezamach wyobraźni twórczej, po owych stłoczonych, potopowych, a tak przeczyście, tak harmonijnie rozwiązujących się fantasmagoryach form, plam, linij, alegoryj i stylizacyj, po owych niesłychanych, nieopisanych orkiestracyach polichromii, z cudowną niepojętą równowagą przechodzącej od najszaleńszych rozżarzeń koloru do najsubtelniejszych, najbardziej ściszonych jego odcieni. Dla całej tej Golkondy idei twórczych, wizyj kompozycyjnych i pomysłów dekoracyjnych, dla całego tego świata kształtów, barw i świetności znajduje p. Ritter tak doskonałe, takie magiczne równoważniki słowne, że opisy i analizy jego stokroć lepsze dadzą czytelnikowi przeczucie rzeczy, niż niedołężna, kłamliwa reprodukcya witrażu św. Katarzyny i św. Barbary w *Sztuce Polskiej*. W nas—cośmy kiedyś, wędrując przez Fryburg, mieli sposobność podziwiać genialną, olśniewającą starej katedry iluminacyę — książka krytyka francuzkiego aż do szczegółów najżywsze rozbudziła wspomnienia. „Nigdy"—reasumuje swe wrażenia p. Ritter — „indywidualność nie stwierdziła się dumniej i wynioślej. Te witraże są placówką sztuki słowiańskiej wysuniętą na Zachód. Świadczą one, że sztuka słowiańska niczego się już od Zachodu uczyć nie potrzebuje." A gdzieindziej dodaje: „Jest to jedna z pięciu czy sześciu najważniejszych realizacyj twórczych w całych dziejach sztuki współczesnej."

Tę szczegółową analizę witrażów fryburskich uzupełnia przegląd innych dzieł Mehoffera, w ciągu którego wyraziście wyłania się sylweta tego genialnego poety-marzyciela o szekspirowsko bogatej i rozległej wyobraźni, urodzonego dekoratora, w którego oku cała rzeczywistość przekształca się w jakąś nieustanną uroczystość linij ruchliwych i plam rozkosznych, kolorysty wychodzącego zwycięzko z najwścieklejszych zamętów barwnych, rysownika i malarza, dla którego żadne nie istnieją trudności, artysty-władcy, który „le plus glorieusement, le plus superbement" zdołał otrząsnąć się z wszelkich konwencyj i wszystkim dziełom swym nadać cechę nawskróś osobistą i nawskróś polską.

Studyum p. Rittera o Mehofferze zasługiwałoby na przekład niezwłoczny.

ZMARŁA poetka wytworna, głęboka, samodzielna, — Ludwika Kalenkiewiczowa (El-ka). Na słodyczkowatej niwie sentymentalizmów warszawskich, krzepki, odrębny kwiat jej talentu, nowe, niespodziane drogi myśli i czucia, bujne, niezwykłe obrazy i przenośnie—tylko dziwacznemi wydać się musiały. To też jakaś powiatowa, dziś zapomniana broszurka zaliczyła ją wraz z Miriamem i Langem do rzędu dekadentów warszawskich. Poza tą etykietą — mało kto o niej co wiedział. Utwory jej, bardziej od wielu głośnych, zasługują, aby je zebrać i wydać. Czy jest kto, coby mógł się tem zająć? — — Chimera drukowała wspaniałe przekłady Kalenkiewiczowej z Rodenbacha (IV, 187) i Verhaerena (IX, 141, 489), w niniejszym zaś zeszycie podaje własną jej, mocy i charakteru pełną *Fantazyę liryczną*. — Jeszcze jednej twórczej duszy, bezpamiętnie ze świata schodzącej, — cześć i pamięć.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI, autor *Circenses*, wydaje w styczniu roku 1908 nowy tom utworów poetyckich p. t. *Z zapatrzeń*. Książka składać się będzie z cyklu lirycznego: *Cantationes*, oraz z poematu *Kosmos*, którego część pierwszą wydrukowaliśmy w niniejszym zeszycie Chimery. Część druga nosi tytuł: *Elementa*. — Nakład ograniczony do 125 egzemplarzy. Cena rb. 3. Zamówienia przyjmuje księgarnia E. Wende i S-ka w Warszawie.

CHIMERA.

SŁOWA OSTATNIE.

CHIMERA spełniła, na razie, najważniejszą część swoich zadań. Wskazała nielicznemu gronu istotnie pragnących nowe miary i wartości, nowe horyzonty i poziomy, rozbudziła w twórcach i czytelnikach głębsze pragnienia, wyryła na duszach żywych ślad niezatarty.

Czas teraz, aby odeszła w przeszłość, w legendę, pora, aby przestała być czasopismem, które bądź co bądź zawsze bez należytego czyta się skupienia, jako rzecz bieżącą, nie ostatnią, z myślą, że po danym zeszycie przyjdzie następny...

Norwidowskie takie PRZEMILCZENIE od dalszego jej wydawania owocniejszem być może. Gromadka jej współtwórców rozejdzie się po świecie — i zamiast jednego wspólnie promieniującego ogniska wytworzy się ich szereg. Czytelnicy znowu, nie oczekując następnych zeszytów, niejednokrotnie powrócą snadź do dawniejszych—i niejedno dawniej pominięte padnie im w duszę ziarno, bo CHIMERA była wydawana nie na dziś jeno, i treść jej po latach nic ze swej nie utraci wartości. I jak coraz dalsze kręgi na wodzie, szerzyć się będzie ten niewidzialny ducha żywot, aż gdy się znowu kiedyś potężniej wzmoże i w nowej garstce sług wiernych Grala zestrzeli,—zrodzą się, niby Euforion, syn piękna i zadumy, nowe naszej Chimery wcielenia.

Postanowiwszy uczynić zeszyt niniejszy ostatnim,—nie bez wzruszenia jednak żegnamy i sam korabl z banderą Chimery, na który—pomnicie towarzysze?—z takim w słońca wiodącym siadaliśmy zapałem, —i was, wysoka drużbo twórcza, wytrwała a niezłomna,—i was, nieliczni czytelnicy wierni, dla których księgi nasze nie rozrywką były, ale potrzebą.

Żegnajcie i pomnijcie!

ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM).

SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW,

(TOM X. — 1907.)



CHIMERA.

CZASOPISMO POŚWIĘCONE SZTUCE
I LITERATURZE.

Komplet — w 10 tomach (30-tu zeszytach), zawierających około 5000 stronic stylowego druku.
Utwory najlepszych poetów i prozaików swojskich i obcych.
Rysunki, winiety, ozdoby najwybitniejszych malarzy i rysowników.
Kilkadziesiąt plansz dodatkowych (autolitografij, akwafort, heliograwiur, światłodruków, autotypij i cynkotypij), składających się na wartościową — TEKĘ ARTYSTYCZNĄ Chimery.

WYDAWNICTWO ZAWIESZONE.
PRENUMERATA ZAMKNIĘTA.

NIELICZNE KOMPLETY wydanych TOMÓW DZIESIĘCIU są do nabycia po cenie rb. 60.
TOMY POJEDYŃCZE (z wyjątkiem I, VIII i X-go) po rb. 3.
TOM X-ty — cena rb. 4 kop. 50.
Tomy I i VIII osobno się nie sprzedają.
ZESZYTY POJEDYŃCZE, w miarę zapasu, po cenie oznaczonej na każdym.
Przesyłka każdego tomu kop. 70.

ADMINISTRACYA WYDAWNICTW CHIMERY —
WARSZAWA, WIDOK 13, m. 2.

KRONIKA.

DODATKI ARTYSTYCZNE.

OZDOBY, WINIETY, INICYAŁY.

RYSUNEK OKŁADKOWY — JÓZEFA MEHOFFERA.
KARTA TYTUŁOWA — EDWARDA OKUNIA.



Światłodruki wykonano w zakładzie chemigraficznym B. WIERZBICKIEGO i autotypie i cynkotypie — w zakładzie TOW. AKCYJNEGO S. ORGELBRANDA SY w Warszawie.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie: ALEKSANDER TATARO i FRANCISZEK GRYCZYŃSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

CENA ZESZYTÓW 28/29 — oraz 30-go po rb

CENA CAŁEGO TOMU X-go — rb. 4 kop. 5(

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WARSZAWA, WIDOK,

REDAKTOR i WYDAWCA — ZENON PRZESMY(

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.